

**Jerzy Broszkiewicz**  
**Ci z Dziesiątego Tysiąca**

Ilustrowała Elżbieta Murawska  
BIBLIOTEKA MŁODYCH

Ta książka przeznaczona jest  
dla Ciebie, młody Czytelniku.  
Mamy nadzieję, że sięgniesz  
do kolejnych tomów tej serii —  
rozpoznasz ją łatwo  
po jednolitej szacie graficznej.  
Wybierać będziemy do tej serii  
książki szczególnie wartościowe  
i popularne; zabawne i poważne;  
takie, które się czyta  
Jednym tchem, i takie, które czytamy  
powoli, smakując ich urodę.  
Słowem, będą to książki bardzo  
różne, lecz łączy je jedno:  
zostały napisane w Ludowej Polsce.

Nasza Księgarnia Warszawa 1982  
Okładka: Zbigniew Rychlicki  
Układ typograficzny: Józef Worytkiewicz  
Text © Copyright by Jerzy Broszkiewicz, Warszawa 1962  
Illustrations © Copyright by Elżbieta Murawska, Warszawa 1962

Redaktor  
MARZENNA POLLAK  
Redaktor techniczny  
MARIA ENGLICHT  
Korektorzy  
HANNA CZEMPIŃSKA GRAŻYNA MAJEWSKA  
ISBN 83-10-08084-0  
PRINTED IN POLAND

Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia” Warszawa 1982 r. Wydanie VI. Nakład 100 000 + 280 egzemplarzy. Ark. wyd. 10,2. Ark. druk. A1 10,35. Papier offsetowy kl. V, 70 g. role 55 cm. Oddano do składania w styczniu 1981 r. Podpisano do druku w lutym 1982 r. Druk ukończono w październiku 1982 r. Zamówienie 113/11/81 Z-103 Prace przygotowawcze i oprawa Drukarnia im. Rewolucji Październikowej Druk w Zakładach Graficznych „Tamka”.

## Ósmego marca

\*\*\*

Jak wiadomo, budzimy się w bardzo różny sposób. Czasem trzeba wygrzebywać się ze snu ciężko i z trudem — niczym ze śnieżnej zasy. Innym znów razem przebudzenie bywa nawet i zabawne. Jakby się bez powodu i przyczyny wzlatywało w powietrze.

Ion Soggo — od którego przebudzenia rozpoczynamy niniejszą opowieść — niemal zawsze budził się w ten drugi sposób. Od momentu w którym szeroko otwierał oczy — cieszył się sobą, życiem i światem, choć w końcu żadna z tych rzeczy nie była wyłącznie do śmiechu. Od niemowlęcych jednak czasów aż po dzień dzisiejszy, kiedy to ukończył równo czternaście lat i trzy miesiące, Ion Soggo ogromnie lubił się śmiać.

Wymagało to charakteru. Ion Soggo bowiem — ciemny blondyn o jasnej skórze, orzechowych oczach, krótkim nosie i długich nogach — śmiał się w sposób, który zdaniem jego rodziców najbardziej przypominał (cytujemy) „atak kaszlu u oszalałej z pośpiechu i ciężko zagrypionej kukułki”.

Mniej więcej przed sześcioma laty któryś ze złośliwych kolegów nagrał śmiech Iona na taśmę. Potem puścił mu ją bez uprzedzenia.

Ion słysząc dziwne odgłosy zaczął bardzo głośno się śmiać. Dopiero po dłuższej chwili zrozumiał, jak bardzo podobne do siebie są obie te muzyki. Wtedy przestał się śmiać. Rzecz w tym jednak, że taśma nie przestała.

Ion słuchał przez chwilę z wielką uwagą. Potem stwierdził:

— To potworne.

I uśmiechnął się. Przyznajmy: najchwalebniej świadczy o jego charakterze to, że nadal śmiał się chętnie i nic nie utracił ze swej wiernej radości życia.

Tego zaś właśnie ranka, który otwiera niniejszą historię, przebudził się w nastroju szczególnie wesołym, a jego wzrok padł na stojącego nad nim Robika. Robik odpowiedział uśmiechem, podniósł rękę i rzekł swym łagodnym głosem:

— Siódma trzydzieści. Dzień dobry, Ion.

Kilka następnych zdań Ion wypowiedział w sposób wielce rytmiczny. Wygłosił je bowiem w trakcie kilkuminutowej gimnastyki, którą odbywał zawsze po przebudzeniu, dla rozruszania — jak mawiał — dobrego humoru na cały dobry dzień.

Brzmiało to mniej więcej tak:

— Powinien—być—bar...trzy, cztery... dzo—dobry—i—wesoły—gdyż ...trzy, cztery, przysiad... Tak—sobie—tego—zyczymy—my—i... w górę, w dół... podskok... i—wobec—tego—postaramy—się... podskok... zasp—koić—swoje—zyczenia—zyczenia—serdeczne zyczenia.

— To wszystko nie ma sensu — powiedział Robik.

— Nie ma! — wrzasnął Ion z łazienki spod strumienia wody. — Ale co z tego?

— Nic.

— A to świetnie — oświadczył Ion wycierając się tak, jakby postanowił zetrzeć z siebie nie tylko wodę, ale i skórę.

— Łap! — krzyknął Robik.

Wpierw rzucił w stronę Iona koszulkę, potem szorty, potem jeden pantofel, drugi pantofel, kurtkę i skarpety. Ionowi udało się schwycić koszulkę, szorty, lewy pantofel i kurtkę. Prawy pantofel i skarpety przepuścił przez drzwi łazienki jak przez bramkę.

— Dwa zero — stwierdził Robik.

— Możesz się dać wypchać — powiedział Ion.

— Niestety, nie mogę — odrzekł Robik.

Potem obaj wyskoczyli przez okno na trawnik i Ion zawołał:

— Hej, Bliźniaki!

W najbliższym oknie ukazały się dwie czarnowłose, niebieskookie głowy — dwie bardzo zdziwione i bardzo ładne twarze należące do Alka i Alki Rojów.

Rojowie przybyli tu — podobnie jak Ion — na wakacje. W odwiedzinach do rodziców. Ion jednak znajdował się tutaj już od dwu tygodni. Bliźnięta zaś zjawily się dopiero poprzedniego dnia, późnym wieczorem. Nic dziwnego, że były obecnie czymś w rodzaju bliźniaczego upostaciowania Najwyższej Ciekawości.

Na widok Iona i Robika Alek przyjaźnie potrząsnął wzniesionymi w górę rękami.

— Hej, hej! — odkrzyknął.

Alka natomiast przymrużyła lekko oczy.

— Przepraszam — spytała zbyt uprzejmie. — Czy w tym miejscu „hej” oznacza „dzień dobry”?

Ion nie odpowiedział, albowiem przyglądał się Alce w zachwyceniu. Wprawdzie poznali się już wczoraj, ale trwało to bardzo krótko. Tyle, co przelotne powitanie. W dodatku wczoraj Bliźniaki były po podróży zmęczone i śpiące. Alka mimo zmęczenia zachowywała się z nieskazitelną uprzejmością i w sposób świadczący o znakomitym wychowaniu. „Nudna — ocenił Ion — jak wiersze o księżycach”.

W tej natomiast chwili Alka miała nieprzyjemny wyraz twarzy, drwinę w oczach, kpinę w uśmiechu, a równocześnie była prześliczna, zachwycająca i jakby całkowicie nowa. Nic dziwnego, że Ion zamilkł z dość głupim wyrazem twarzy.

Na szczęście Robik miał zimniejszą od Iona krew.

— Nie, droga przyjaciółko — wyjaśnił z godnością — „hej” wcale nie znaczy „dzień dobry”. Natomiast przy odrobinie dobrej woli można to uznać za „dzień dobry”.

— Dziękuję za wyjaśnienie — uśmiechnęła się zimno.

— Dzień dobry — mruknął Ion.

— Nie mówiłeś wczoraj, że jest was dwóch. To brat? Starszy czy młodszy? I jak się nazywa?

— pytował Alek, stając przed Robikiem. — Wcale nie jesteście do siebie podobni.

Alka poszła w ślady brata. Przesadziła parapet okna lekko i — jak pomyślał Ion — z niewymownym wdziękiem. Robik zaśmiał się trochę w stylu „kaszłającej kukułki”.

— Godzina ósma zero zero — powiedział. — Śniadanie na was czeka. Wcale nie jesteśmy braćmi.

Bliźniaki spojrzały na siebie oczami, w których zabłysło nagle zdumienie. Na sekundę straciły głos.

— Niemożliwe! — krzyknął w końcu Alek.

— Absolutnie niemożliwe — powiedziała Alka.

Ion spojrział na Robika z dumą. Tak bywało prawie zawsze, kiedy przybysze z dalekich stron — z okolic gdzie panowały inne niż w jego ojczyźnie zwyczaje — zaczęli orientować się, kim w istocie jest Robik.

Sam Robik uśmiechnął się z wyrozumiałą miną.

— Ależ możliwe — powiedział. — Całkowicie możliwe. Nie jesteśmy braćmi z tej przyczyny, że Ion Soggo należy do waszego gatunku i jest, oczywiście, człowiekiem... tyle że urodzonym na Saturnie.

— My, Soggowie — wtrącił z rzekomą obojętnością Ion — pochodzimy w prostej linii od pierwszych osadników saturnijskich.

— Ja zaś — ciągnął dalej Robik — należę do grupy człekopodobnych robotów. Jestem mianowicie najnowszym modelem saturnijskiego Robota Opiekuńczego, najnowszym... oczywiście jeśli chodzi o wygląd zewnętrzny. W istocie towarzyszę Ionowi od urodzenia. Przecież musieliście słyszeć o tym, że my, Roboty Opiekuńcze, jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi człowieka na Saturnie.

Mówiąc to wszystko Robik nadal uśmiechał się do zdumionych Bliźniąt swą bardzo

piegowatą twarzą rudawego piętnastoletniego chłopca.

Alek powoli i z zachwyconym szacunkiem w oczach obchodził go dookoła. Alka natomiast bardzo twardo spojrzała w oczy Robika.

— Nie wierzę — powiedziała. — Głupie nabieranie.

Ion wspiął się z lekka na palce i czekał: jak tym razem Robik zareaguje? Zaniepokoił się nawet trochę. Już chciał powiedzieć „tylko bez przesady”, kiedy Robik ugiąwszy nogi w kolanach wyprysnął nagle w górę ogromnym kilkunastometrowym skokiem.

— Co?!—krzyknęła Alka.

Robik wracał już na dół. A że miał własny regulator ciężenia, opadał o wiele wolniej, niż wznosił się w górę.

— Wspaniale!—śmiał się na całe gardło Alek. — Całkiem jak na wizjolekcji z robotyki. Robik zaś stanął tuż przed Alką i przechyliwszy głowę na lewe ramię przyglądał się jej z uwagą.

— Teraz wierzysz?

Zastanowiła się. Potem lekkim, ślicznym ruchem dotknęła jego policzka.

— Niezbyt chętnie, kochanie — powiedziała. — Ale wierzę. Robik pokiwał głową.

— Jesteś zarozumiała, kochanie, i masz przewrócone w głowie, kochanie — stwierdził z wyjątkową uprzejmością.

— Skąd wiesz?! — krzyknął entuzjastycznie Alek.

— To się widzi — odpowiedział Robik.

Alka przez chwilę patrzyła na Robika, potem zwróciła się do Iona:

— On ma, niestety, rację — powiedziała z głębokim, rzeczowym przekonaniem w głosie. — Bywam zarozumiała w wyjątkowo przykry sposób.

Alek skrzywił twarz niby ze smutkiem. Ale uczynił to w sposób tak komiczny, że Ion nie był w stanie opanować śmiechu. Nic dziwnego, że Rojowie spojrzeli nań z nagłym przestraszeniem.

— A tobie co się stało? — krzyknęła Alka.

— On się tylko w ten sposób śmieje — wytłumaczył Robik. Ion chciał przestać, ale aż się zapłakał na widok ich min.

— Moi rodzice... — wyjąkał.

— Jego rodzice — ciągnął dalej Robik — określają ten odgłos jako „atak kaszlu u oszalałej z pośpiechu i ciężko zagrypionej kukułki”.

— Niezwykle trafnie — zachwycił się Alek i teraz oni oboje wybuchnęli śmiechem. Ion zaś od razu przestał. Patrzył tylko na Alkę i słuchał jej głosu.

Ich oczy spotkały się.

— Proszę — powiedziała Alka. — W tej chwili ty sam przewracasz mi w głowie. Nie zawsze ja jestem winna.

Można było odpowiedzieć z przekorą lub z pokorą. Nim jednak się Ion zdecydował, Robik ostrzegawczo podniósł palec w górę.

— Przypominam — powiedział. — Najwyższy czas na śniadanie, bo nie zdążycie do wieży startowej.

— Ratunku! — zawołał Ion. — Jazda!

I pierwszy wskoczył na ruchomą ścieżkę, wiodącą do terasy jadalnej. Ścieżka niczym rudy wąż mknęła środkiem turkusowego trawnika, omijając kwiatowe klomby. Nad głową Alki zamigotał niebieskimi — jak jej oczy — skrzydłami niewielki motyl.

— Modraszka junosza — powiedział Robik — czyli Lysandra bellargus.

— Bardzo mi miło — uklonił się modraszce Alek.

\*

Terasa jadalna czekała na nich koło ogrodu botanicznego. Cztery fotele, trzy nakrycia — Alek

na sam widok westchnął ze szczęścia.

— Ależ tu się ma apetyt. Transgalaktyczny! — stwierdził po chwili.

Trzeba wyjaśnić, że powiedział te słowa z fatalną dykcją. Miał policzki wypchane śniadaniowymi przysmakami aż po kres ich wytrzymałości. Gdy jednak podniósł oczy i rozejrzał się dokoła — zamilkł. Na moment przestał nawet jeść.

Terasa jadalna znajdowała się w pośrodku łąki otoczonej z trzech stron stokami Zielonego Wzgórza. Na stokach Wzgórza grał, śmiał — się i krzyczał wszelkimi możliwymi i niemożliwymi barwami ogród botaniczny: palmy i brzozy, storczyki i róże, cyprysy, magnolie, sosny, tulipany... wyspy kwiatów wśród kontynentów drzew, z których każda miała własną zieleń, własny rysunek, własny cień. Alek westchnął w podziwie i Ion uśmiechnął się doń z wdzięcznością. Kiedy jednak spojrzął na Alkę, zapomniał o uśmiechu. Siedziała w swoim fotelu nienagannie wyprostowana, bardzo uprzejma i szczerze obojętna.

— No co? — spytał z rozpędu.

— Całkiem ładny widok — powiedziała.

— Całkiem? — powtórzył.

— Całkiem ładny — potwierdziła.

— Tylko spokojnie, Ion — mruknął Robik, a sam grzecznie skłonił się Rojom, życząc im „smacznego śniadania”.

Kilka następnych sekund wystarczyło, by Ionowi przeszedł cały gniew. I teraz w gruncie rzeczy miał już tylko żal do Alki.

Ion bowiem od pierwszego dnia pobytu tutaj kochał się w tym widoku. Jego ojczyzna była bardzo inna — surowsza, bezbarwniejsza. Na Saturnie istniały, wprawdzie sto razy większe i bogatsze lasy i ogrody od tego — zawsze w nich jednak było pełno. Każdy kwiat miał swego wielbiciela, każde drzewo swą rodzinę. Wprawdzie tłumiki hałasu sprawiały, iż w lasach i ogrodach Saturna panowała cisza i spokój, ale o samotności nie było co marzyć. Na Saturnie ciągle jeszcze trwało przeludnienie osad i miast — i Ion dopiero tutaj poznał smak samotnego zachwytu nad pięknem. I właśnie dziś, gdy ujrzał Alkę, zrozumiał jeszcze jedno: że taki zachwyty dopiero wtedy zyskuje swą wartość, jeśli można się z nim podzielić z kimś bliskim. Dlatego też zdecydował, żeby już przy śniadaniu pokazać im (a w istocie — Alce) ów widok. Tymczasem właśnie ona zaledwie była łaskawa nazwać "jego" widok „całkiem ładnym widokiem”. Ion opuścił głowę z uczuciem gorczy. Należało jednak zachować twarz. Robik, jak zwykle, miał pełną rację radząc: „Tylko spokojnie”.

— A może — spytał Ion z uprzejmą miną — a może chcielibyście już podczas śniadania co nieco obejrzeć?

— Świetny pomysł! — zgodził się Alek. Nawet Alka skinęła tym razem głową z rzetelnym przekonaniem.

Ion ujął w dłoń mały mikrofonik, wiszący niczym srebrna pszczoła nad oparciem każdego z foteli.

— Uwaga! — powiedział. — Chcemy zwiedzić zwykłą trasę spacerową. Wzdłuż głównych obiektów.

Mikrofonik zmienił kolor na zielony. Oznaczało to, że rozkaz przyjęto.

— Gotowi — powiedział Ion.

Słowo „gotowi” stanowiło zamknięcie rozkazu. Gdy tylko przebrzmiało, okrągły talerz terasy uniósł się w górę.

Widnokrąg nagle się poszerzył i rozjaśnił. W tej samej chwili nad terasą rozchyliła się niczym kwiat przeźroczysta czasza parasola. Wpłynęli w tęczę sztucznego deszczu: właśnie zaczął padać nad botanicznym ogrodem.

Terasa jeszcze bardziej wzniosła się w górę. Musiała bowiem przenieść ich nad Zielonym Wzgórzem. Potem, po drugiej stronie Zielonego Wzgórza, znów obniżyła swój lot. Pod nimi odchodziły wstecz drzewa, łąki, kłomby kwiatów. Deszcz ustał, nadbiegła fala ciepłego

wiatru.

Na twarzy Alki po raz pierwszy błysnęła szczerą ciekawość. Pochyliła się do przodu.

— Co to? — spytała.

— Po lewej stronie... — zaczął objaśniać Ion — nasza kolonia mieszkalna.

— A po prawej?

— Główna grupa laboratoriów. Kopuły białe: pracownie do badań nadszybkosci. Kopuły

czerwone: pracownie robotyki. Kopuła zielona: główna stacja łączności i rozkazów.

Ion spojrział na Alkę z nagłym zdumieniem. Jej niebieskie oczy... Jakby ktoś zapalił w nich jasne światła.

— Kiedy to wszystko zwiedzimy?

— Musimy otrzymać pozwolenie — powiedział niechętnie Ion.

— A ty zwiedzałeś?

— Tak.

Uczyliński taki ruch, jakby chciała się zerwać na równe nogi, i natychmiast poręcze fotela objęły ją w pasie. Byli na wysokości dziesięciu metrów.

— Ostrożnie — uśmiechnął się Robik.

— Muszę zwiedzić pracownie — powiedziała Alka ostrym głosem.

Alek westchnął.

— Siostrzyczko — rzekł z urzędową czułością. — Siostrzyczko — powtórzył — wiemy, że jesteś fanatykiem nauk ścisłych i wszyscy cię w związku z tym podziwiamy. Ale pozwól, przynajmniej do czasu, na trochę lenistwa i niepoważnych zachwyków.

Alka spojrzała na brata bardzo nieprzyjemnie. On jednak z zimną krwią pokazał jej język.

— Proszę — powiedziała. — Tacy są „poeci”.

Słowo „poeta” miało zabrzmieć jak obelga i jak obelga zabrzmiało. Alek jednak zaśmiał się z pełną pogodą ducha.

— Proszę — rzekł. — A takie są kobiety.

— Proszę was — wtrącił się Robik niezmiennie łagodnym głosem — Nie kłóćcie się. To nudne.

— Widzisz, sestro? — powiedział jeszcze Alek. — Potrafisz zanudzić nawet robota.

Alka nie odpowiedziała. Umilkli. Terasa zaś zbliżała się do drugiego z ulubionych przez Iona miejsc: do obszaru zbudowanego na wzór śródpustynnej oazy.

Otoczał ją szeroki na kilometr łańcuch żółtych i szarosrebrnych wydmi — sama zaś oaza okrężała niewielkie, turkusowe jezioro wieńcem palm, sitowia i kwitnących krzaków.

— Mijamy Oazę Wesołą — powiedział Ion głosem niby obojętnym, czekając jednak na dwa okrzyki zachwywu.

Ale tym razem nawet Alek wcale się nie ożywił.

— Istotnie — mruknął. — Oaza.

— Ładny kolor wody — przyznała uprzejmie Alka.

Ion spojrział na nich tak wrogo, że Robik położył mu rękę na ramieniu, Alka zaś, zawadziwszy wzrokiem o pobladałą twarz Iona, aż drgnęła.

— Co się stało? — spytała niespokojnie. — Boli cię coś?

— Nie — odpowiedział Ion.

Alek jednak zrozumiał. Pokiwał głową.

— A może naprawdę coś zabolalo? — spytał półgłosem.

— Nie! — powiedział ostro Ion. — Patrzcie: po lewej stronie wieża startowa głównej terasy.

Terasa niewidocznie, lecz stale przyśpieszała swój lot. Wzniosła się już na wysokość pięćdziesięciu metrów.

Ion obojętnym głosem rzucał wyjaśnienia, solidnie i uprzejmie wypełniał swoją rolę przewodnika. Mijali kolejno drugie i trzecie osiedle mieszkalne, park sportowy, halę głównych warsztatów i halę artystyczną.

— Uwaga — powiedział Robik. — Dziewięta dwadzieścia. W tej samej chwili poręcze foteli zamknęły się wokół każdego z siedzących. Był to znak, że lot terasy ulega znacznemu przyspieszeniu.

Horyzont nagle przechylił się, wokół uszu zaczął gwizdać ostry wiatr, obraz mijanych ogrodów, łąk i zabudowań zamglili się i zaczął biec pod nimi z zapierającym oddech pośpiechem. Trwało to równe pięć minut.

W ciągu owych pięciu minut Ion zdążył wszystko przemyśleć i zrozumieć. Ponieważ zaś zrozumiał powody ich obojętności — natychmiast przebaczył. Postanowił jednak trochę się odegrać.

„Należy się wam — myślał patrząc na profil uśmiechniętej lekko Alki — należy się wam mała lekcja. A równocześnie bardzo się ona wam przyda. Być może... przyda się wam ogromnie. Szczególnie tobie, moja śliczna”.

W tym właśnie momencie terasa zaczęła łagodnie zwalniać swój lot.

Oto zza horyzontu wyskoczyła smukła sylwetka głównej wieży startowej. Zbliżali się ku niej z każdą sekundą wolniej—jeszcze dwieście, jeszcze sto metrów... W końcu poręcze foteli otwarły się. Terasa bez najmniejszego wstrząsu i szelestu osiadła tuż przed bramą wieży.

Wszyscy czworo zerwali się z foteli. Brama już stała otworem. Robik powiedział:

— Dziewięta dwadzieścia pięć.

— Chodźcie — zawołał Ion i pierwszy wpadł do głównej komory wieży. Za nim pobiegli Rojowie, na ostatku zaś, z właściwą wszystkim robotom skromnością, przestąpił próg komory Robik.

\*

— Jesteście nareszcie? — powiedziała Helena Soggo.

— Jesteście! — zawołała najpiękniejsza ze wszystkich kobiet, jakie kiedykolwiek widział Ion, czyli Czandra Roj, matka Alka i Alki.

— Czyżbyście zapomnieli, że rodzicom jadącym do pracy wypada powiedzieć „do widzenia”? — spytał Orm Soggo.

Oczywiście były to żarty. Zjawili się przecież punktualnie na pięć minut przed odlotem.

Mimo to nawet Ion się speszył, Bliźniaki zaś stanęły w pasach.

Na platformie Głównej Komory wieży startowej znajdowało się sześćdziesiąt dorosłych osób. Były to dwie trzydziestoosobowe grupy stanowiące pełną załogę stacji badawczej znanej pod nazwą Pierwszego Zwiadowcy.

Sześćdziesiąt osób? To niewiele. Ale sześćdziesiąt takich osób? Trojgu młodym ludziom nic nie pomagało, nawet to, że wśród owej sześćdziesiątki znajdowali się także ich rodzice. Była to chwila wspaniała, ale równocześnie zawstydzająca.

— Jesteście jednak — uśmiechnął się pilot główny.

Wszyscy dorośli byli już w pełnej gotowości do codziennego lotu — w srebrnych kombinezonach i przezroczystych hełmach, z podręcznymi kalkulatorami w dłoniach. Grupa pierwsza, którą prowadził pilot główny Marim, ustawiła się po lewej stronie komory. Grupa druga, prowadzona przez zastępcę pilota głównego, Orma Soggo, zebrała się po prawej stronie od wejścia.

— Załogi na miejscach?—zadał tradycyjne pytanie Marim.

— Załogi na miejscach — odpowiedział Orm Soggo.

Teraz można się było pożegnać, Ion podbiegł do Orma i Heleny, Bliźniaki do swoich rodziców, a w kilka sekund później z obu stron Komory Głównej otwarły się boczne przejścia, w które jako pierwsi wstąpili obaj piloci: Marim i Orm. Jeszcze kilkanaście sekund, Helena i Czandra uniosły w górę ręce, a potem już nikt nie zwracał uwagi na trójkę młodych ludzi stojących pośrodku wielkiej hali. Po minucie ostatni członkowie załóg zniknęli w

przeciwległych przejściach, wiodących na stanowiska lotów. Ściany zamknęły się za nimi jak dwie ciche tafle wody.

— Chodźcie prędko — powiedział Ion.—Ojciec pozwolił nam wyjść na powierzchnię.

— Co?! — wrzasnęli z zachwytem.

— Prędko — przynaglił ich i pobiegł ku wyjściu. Nie przekroczył progu bramy, tylko stanął na niebiesko zabarwionym kwadracie podłogi, stanowiącym dno pośpiesznej windy.

— Jeśli nie tracimy czasu — mówił szybko Ion — zdążymy obejrzeć ich start.

— Nareszcie! — westchnęła Alka. — Nareszcie coś naprawdę ciekawego.

— Komora wyjściowa, gotowi — rozkazał windzie Ion.

Wokół nich z lekkim trzaskiem zamknęły się ścianki i wieko windy. Potem zaś nastąpiła chwila ciszy, jako że dźwigi były niezbyt miłym środkiem wewnętrznej komunikacji. Jazda nimi zawsze wywoływała zmęczenie myśli, ucisk u nasady czoła, lekki brak oddechu.

Tym razem trwało to bardzo krótko, dosłownie kilka sekund. Znowu trzasnęły ścianki windy i oto wszyscy czworo znaleźli się w okrągłej sali, której ściany stanowiła setka wąskich i wysokich, wbudowanych w ścianę szaf. Nad czterema drzwiami paliły się już zielone napisy: Alka, Alek, Ion, Robik.

— Proszę — Ion wskazał napisy. — Wejdźcie do garderób z waszym imieniem. Automaty przebiorą was w kombinezony i nie wypuszczą bez sprawdzenia.

Alek i Alka ruszyli biegiem ku swoim szafom, Ion zaś jeszcze przez chwilę został na miejscu. Z sufitu opuściła się ku niemu srebrna „pszczoła”.

Alka zawahała się.

— Czemu ty się nie śpieszysz, Ion? Co tam robisz?—spytała. Uśmiechnął się.

— Przecież muszę dać szczegółowe rozkazy — zawołał. Powiedział jeszcze do „pszczoły” dwa czy trzy ciche zdania.

Srebrny mikrofonik znowu śmignął w górę, Ion zaś rzucił się pędem ku swojej szafie.

— Wszystko w porządku! — krzyknął.

Alek zamknął się już w swojej garderobie, a w momencie, w którym Ion skończył rozmowę z mikrofonem, Alka również przekroczyła próg swojej „szafy”.

Panował tu lekki półmrok. Delikatne dotknięcia automatycznych rąk pomogły przybrać właściwą postawę: lekki rozkrok, uniesione w górę ręce, głowa prosto. Po sekundzie takiej pozycji od sufitu spłynął cichy cień: był to kombinezon próżniowy, cienki i lekki, zakończony kulistym, przezroczystym hełmem.

— No, jak tam? — odezwał się tuż koło ucha Alki głos Iona. — Słyszycie mnie?

— Tak — odpowiedział głos brata.

— Tak — szepnęła Alka.

— Oczywiście — powiedział Robik.

— Pięknie — rzekł Ion.—Zaraz zacznie się próba...

W garderobie Alki zamigotało ostrzegawcze, białe światło. Kombinezon przylegał już ściśle do ciała, na stopy zaś Alki automaty wsunęły wielkie buty o płaskiej kolistej podeszwie.

— Dlaczego tu wszystko za mnie robią automaty? — spytał na pół rozzłoszczony głos Alka.

— Nie jestem niemowlęciem.

Ktoś roześmiał się z lekkim poczuciem wyższości i Alka w pierwszej chwili nie mogła sobie uprzytomnić, kto to.

— Mój drogi — rzekł Robik — przymiarka kombinezonów próżniowych stanowi zbyt precyzyjną robotę dla ludzkich rąk.

— Oczywiście — powiedział Ion. — Czy wy pierwszy raz wychodzicie na powierzchnię?

Alka odpowiedziała z lekkim wahaniem:

— W takich warunkach... pierwszy.

— Co to znaczy: „w takich”? — spytał ze zdziwieniem Ion. — No... —zaczęła niechętnie.

Alek przerwał jej ze śmiechem.



— Moja ambitna siostra — powiedział — wstydzi się przyznać, że dotychczas nigdy nie byliśmy na prawdziwej powierzchni.

— Rozumiem—mruknął Ion.

— Kiedy wreszcie zacznie się próba? — spytała ze złością Alka. Jakby w odpowiedzi w kabinach garderób błysnęły zielone napisy „Koniec próby” i Alka usłyszała chórny wybuch śmiechu, tym bardziej złośliwy, że Alek, który miał zdolności naśladowcze, zaczął już pohukiwać i gdakać w stylu „ciężko zagrypionej kukułki”.

Jak w takiej sytuacji zachować godność? Chyba tylko poprzez milczenie. Toteż milczała. Na szczęście chłopcy od razu przestali chichotać. Drzwi kabin otwarły się — i wszyscy czworo wyszli z powrotem do sali przejściowej.

Pierwszy odezwał się Ion.

— Proszę do mnie — rzekł.

Za jego przykładem Rojowie i Robik znów stanęli na niebieskim kwadracie szybkiej windy.

— Już? — szepnęła Alka.

Ion skinął głową.

— Gotowi — powiedział. — Na powierzchnię. Gotowi. I w końcu...

— Och — westchnęła Alka: !

— No, no, no—powiedział Alek.

W ich głosach słyszało się podziw, szacunek, zachwyt, oszołomienie i także całkiem niewątpliwy, choć bardzo dyskretny strach. Nie można się im zbyt dziwić.

Znajdowali się oto w ogromnej, nieskazitelnie gładkiej, lśniącej matowym światłem płaszczyźnie. Gładkość płaszczyzny była nieskazitelna: mimo że matowa, odbijała ich sylwetki jak lustro.

A nad ich głowami otwarła się aksamitnie czarna, pełna białych iskier i zamgleń, nieobjęta i nie kończąca się przestrzeń Wielkiego Kosmosu.

Winda cofnęła się z precyzją idealną. Pozostał po niej tylko ślad: ciemniejszy kwadrat na opalizującej zielonkawej płaszczyźnie. Oni zaś stali trzymając się za ręce i milczeli. Bo nawet Ion, który jako Saturnijczyk oswojony był z takimi widokami, a jeszcze przed przyjazdem Rojów kilkakrotnie wychodził już na powierzchnię, przeżywał każde wyjście jako chwilę uroczystą.

— A więc taki jest Zwiadowca? — szepnął do siebie Alek.

— Tak — powiedział Ion.

— I to jest Droga Dziesiątego Tysiąca?

— To jest Droga Dziesiątego Tysiąca — potwierdził Ion.

— Uwaga — przerwał w końcu skupioną ciszę Robik. — Za chwilę start kosmolotów.

— W którą stronę patrzeć? — spytał Alek.

— Tam — wskazał nieomylny Robik i zaczął liczyć ostatnie sekundy — ... pięć, cztery, trzy, dwa, jeden. Start!

Zza kolistego horyzontu spokojnie i powoli wypłynęły dwie smukłe sylwetki kosmolotów niosących w sobie te właśnie grupy badaczy i naukowców, których przed chwilą żegnali w Głównej Komorze wieży startowej. Pierwszy z kosmolotów — zwany Alfą — prowadził Marim, drugi — noszący imię Bety — pilotował Orm Soggo.

Kosmoloty jeszcze chwilę stały nieruchomo nad horyzontem, w niewielkim od siebie odstepie.

— Dziesiąta zero jeden — powiedział Robik.

Dwie świetliste sylwetki zaczęły się wznosić w górę. Najpierw powoli i łagodnie, ale owa łagodność coraz bardziej zaczęła nabierać mocy, siły i pędu, i wreszcie malejące w głębi nieobjętej nocy świetliste kreski przemieniły się nagle w dwie płomieniste smugi, coraz dalsze, coraz bledsze, coraz niklejsze.

— Dziesiąta zero pięć. Pełna szybkość — powiedział Robik.

Ion spojrział na Rojów. Przezryste hełmy dawały twarzom ludzkim swój własny blask pośród najgłębszych nawet ciemności kosmicznej nocy. Toteż Ion mógł czytać w twarzach Bliźniąt z taką dokładnością, jakby po prostu siedzieli sobie teraz w pełnym blasku sztucznego słońca na tarasie jadalnej przy śniadaniu.

Alka i Alek ciągle jeszcze patrzyli w górę. Starali się oczywiście wyglądać dzielnie i obojętnie. Były to jednak tylko usiłowania, które, co gorsza, nie dawały nadzwyczajnych efektów.

Ion uśmiechnął się — na swój własny użytek. Potem lekko chrząknął.

— No co? — spytał uprzejmym i obojętnym głosem. — Całkiem ładny widok, prawda? Alka w ogóle nie odpowiedziała. Alek zaś podniósł rękę ku górze takim gestem, jakby chciał potrząść w zamyśleniu czoło. Dłoń natrafiła jednak na kulę hełmu i Alek uśmiechnął się z zawstydzeniem.

— Który dziś? — spytał nieśmiało, jakby nie wierzył sobie, im ani całemu otaczającemu ich ogromowi.

Robik oczywiście wziął to pytanie do siebie.

— Ósmy marca — odpowiedział spokojnie. — Godzina dziesiąta zero siedem.

Tu należy wreszcie złożyć wyjaśnienie na temat czasu, jak i miejsca, w którym znaleźli się czternastoletni Saturnijczyk Ion Soggo wraz ze swym Robotem Opiekuńczym — Robikiem, oraz Alka i Alek Rojowie, urodzeni przed trzynastu i pół laty na Starej Ojczyźnie Ziemi, w środkowoeuropejskim, bardzo starożytnym mieście Toruniu.

Robik przed chwilą powiedział: ósmy marca. Który to jednak rok i jaką erę ludzkiej historii ów rok odmierza?

Odpowiedź brzmi:

Ósmy dzień marca roku osiemset sześćdziesiątego drugiego. Osiemset sześćdziesiątego drugiego roku wczesnej ery kosmicznej.

Mijał bowiem osiemset sześćdziesiąty drugi rok od owego czasu, w którym pierwsza ludzka załoga statku kosmicznego z Ziemi wylądowała na czerwonych piaskach Marsa.

Co zdarzyło się w ciągu owych osmiuset sześćdziesięciu dwu lat? Pomińmy historię. Nie zdołamy bowiem w największym nawet skrócie opowiedzieć dziejów ludzkiego rodu opanowującego ojczysty system słoneczny. Od tego są filmoteki, historycy, wizjoarchiwa i tak dalej, i tym podobnie, bo na — to, by pobieżnie choćby opowiedzieć ową historię, nie starczyłoby nam nie tylko miejsca w książce, ale po prostu życia.

Powinniśmy natomiast wspomnieć o tym, że ów osiemset sześćdziesiąty drugi rok miał już wkrótce ulec niezwyklej nawet jak na ową epokę przemianie. Miał bowiem stać się rokiem... PIERWSZYM. Pierwszym rokiem nowej ery.

Minęło wszystkiego dziesięć niepełnych stuleci od dnia, w którym z Marsa ku Ziemi wybiegł pierwszy sygnał radiowy, zaczynający się od słów: W dniu dzisiejszym statek „Ziemia” osiągnął powierzchnię Marsa—minęło wszystkiego dziesięć stuleci... a na Starej Ojczyźnie pozostała już tylko drobna część ludzkości.

Ogromna jej większość w 862 roku pierwszej ery kosmicznej (zwanej też wczesną erą kosmiczną) żyła już; pracowała i wiodła wszelkie swe losy na planetach i księżycach całego układu słonecznego — na ośmiu planetach i trzydziestu siedmiu księżycach naturalnych oraz na setkach planet i księżyców sztucznych. I w końcu okazało się, że cały układ słoneczny zmalał tak bardzo, jak niegdyś, w najwcześniejszym okresie prymitywnej komunikacji raketowej, zmalała sama Ziemia. Ludzie zaś nigdy nie lubili ani małych marzeń ani małych czynów. Stało się więc jasne: oto dopiero teraz człowiek przekroczy próg rzeczywistej ery kosmicznej swej historii, czyli: wejdzie w Galaktykę.

Dlatego też w pierwszym dniu stycznia 862 roku wczesnej ery kosmicznej wyruszył poza granice układu słonecznego pierwszy zwiadowca przyszłej wyprawy galaktycznej.

Takie nosił imię: Pierwszy Zwiadowca. Był on niewielką sztuczną planetą o własnym napędzie.

Bądźmy szczerzy: drobiazg był to, a nie mechanoplaneta — wszystkiego pięćdziesiąt kilometrów średnicy. Nie rozmiary jednak decydowały o wartości i znaczeniu Pierwszego Zwiadowcy. Przemawiający przed jego startem Kierownik Przygotowań profesor Senius nazwał Zwiadowcę „szczytem osiągnięć myśli technicznej epoki” i choć mówił nudno, mówił mądrze. Istota rzeczy tkwiła bowiem w tym fakcie, że był on pomniejszonym prototypem „Ziemi”, która z końcem 862 roku miała wyruszyć w stronę gwiazdozbioru Centaura. Jak już wspomnieliśmy, Zwiadowca wyruszył z granicy układu słonecznego w dniu 1 stycznia 862 roku. W przewidzianym czasie wszedł na linię sektorów tak zwanego Dziesiątego Tysiąca, czyli na orbitę znajdującą się w odległości dziesięciu tysięcy milionów kilometrów od Słońca. Tu załoga Zwiadowcy rozpoczęła ostatnie badania i pomiary przyszłej trasy „Ziemi”.

Z jakich jednak powodów znaleźli się na Pierwszym Zwiadowcy także tacy „kosmonauci”, jak Ion wraz z Robikiem oraz Alka i Alek Rojowie?

Wy tłumaczenie tajemnicy jest proste i ściśle wiąże się z całością przygotowań do wyprawy „Ziemi”.

Wyprawa była obliczona na okres nie krótszy niż dziewięć lat, sporą zaś część załogi „Ziemi” miały stanowić małżeństwa posiadające dzieci. Rzecz prosta, postanowiono, że dzieci i młodzież wezmą udział w Pierwszej Wyprawie Galaktycznej razem z rodzicami i że tytułem próby kilkoro najstarszych spędzi pewien czas na Zwiadowcy.

Z tych właśnie powodów w ostatnim tygodniu lutego przybył na Zwiadowcę Ion z Robikiem, a w dwa tygodnie po nich zjawili się tu Alka i Alek Rojowie — którzy przed kilkoma właśnie minutami wyszli po raz pierwszy na powierzchnię mechanoplanety, by bezpośrednio spojrzeć na Drogę Dziesiątego Tysiąca.

Czy uważnie przyjrzełiście się tej scenie?

Oto cztery sylwetki w srebrzystych kombinezonach i ze świecącymi hełmami na głowach. W porównaniu z rozmiarami Zwiadowcy są tak drobne, jakby ich w ogóle nie było. Sam zaś Zwiadowca w porównaniu z otaczającym go ogromem świata jest jeszcze miliardkroć drobniejszy niż oni wobec niego!

A zatem zarówno oni, jak on wobec rozmiaru otaczających go światów są tak mikroskopijnie drobni, iż można by w ogóle wątpić w ich istnienie. Można by w nie wątpić, gdyby nie fakt, iż to właśnie ich gatunek potrafił dokonać kroków, które nawet na takich obszarach liczą się jako kroki — i że to właśnie oni mieli w przyszłości dokonać wyprawy, której rozmiar mogłyby ocenić „gołym okiem” nawet... gwiazdy.

A więc są? Istnieją? Są obecni?

Tak, potrafimy ich dostrzec nawet tutaj. Tutaj na Dziesiątym Tysiącu, pośród aksamitnej czerni wszechświata, drżącej światłami miliona galaktyk i miliarda gwiazd, wśród których niczym sygnał pamięci i pozdrowienie od przyjaciół lśni nieco wyraźniej od innych niewielka gwiazda zwana przez ludzi Słońcem.

— Całkiem ładny widok, prawda? — spytał Ion.

\*\*\*

— To jest wspaniałe — westchnął Alek. Alka skrzywiła się z lekką pogardą.

— Jako człowiek o zamiłowaniu poetyckich — powiedziała — mógłbyś wymyślić ciekawsze określenie.

Alek rozłożył ręce. Nie zamierzał się bronić. To, co teraz widział, było tysiąc razy ważniejsze od wszelkich rodzinnych złośliwości.

— To jest wspaniałe — oświadczył ze spokojem, Ion roześmiał się nie bez cichej

złośliwości.

— Nie przesadzajmy — powiedział — całkiem zwyczajny widok. Obejrzyście go sobie raz i drugi... i przywykniecie.

Nie odpowiedzieli.

On zaś nagle pochylił się nieco do przodu i odbijając się to jedną, to drugą stopą począł ślizgać się po powierzchni Zwiadowcy. A choć buty o szerokich kolistych podeszwach w niczym nie przypominały łyżew, to każdy krok (a raczej ślizg) Iona był wspaniale płynny, długi i chyba nawet szybszy niż u prawdziwych łyżwiarzy. Wystarczyło mu kilka pchnięć, by oddalić się od bliźniaków na dobre sto metrów.

Robik oczywiście bez wahania pomknął za Ionem i obie ich sylwetki nagle w ciągu kilku sekund niepokojąco zmałyły. W zielonkawej poświacie powierzchni Zwiadowcy stały się nierealne i przejryste. Na szczęście głos Iona brzmiał nadal z bardzo bliska.

— No?—śmiał się.—Na co czekacie? Róbcie tak, jak ja. To najlepsza zabawa na Dziesiątym Tysiącu... jak się człowiek dobrze rozpędzi, jednym krokiem polecą dobre sto metrów. No? Na co czekacie?

Alek uśmiechnął się w sposób świadczący, że za chwilę pójdzie w ślady Iona. Alka jednak uczuła niemiły chłód koło serca.

— Chwileczkę — powiedziała głosem, który zabrzmiał o wiele słabiej, niż zamierzała. — Czy to jest dozwolone?

— Oczywiście — powiedział kpiącym szeptem Ion i z bardzo wielkiej już odległości zamachał rękami.

— Hej!—zawołał Alek. — Poczekajcie na nas!

Ruchem podpatrzonym u Iona uczynił jeden, drugi, trzeci krok... i i już był daleko.

— Tylko ostrożnie! — zawołał ledwo, ledwo widoczny Ion. — Nie za ostro... żeby nie odpaść od powierzchni, bo...

Urwał na tym „bo”, jakby się przestraszył samych słów, które chciał wypowiedzieć. Alek jednak najwidoczniej schwycił już właściwy krok, bowiem wcale nie zwolnił biegu, i jego sylwetka również coraz to bardziej nikła i rozwiewała się w przestrzeni.

Alka zacięła wargi: nie pokaże po sobie strachu.

Bardzo chciała powiedzieć: „Nie zostawiajcie mnie samej”, ale wiedziała również, że tego zdania nie powie za nic. Gdyby przynajmniej wcześniej była nieco miłsza dla tego Saturnijczyka, gdyby choć po części okazała mu, jaki w istocie wydaje się jej miły i sympatyczny... zdanie to zabrzmiałoby w tej chwili dość naturalnie.

Ona jednak od pierwszej chwili zawzięła się: będzie go traktować tak, by się nie zorientował w jej prawdziwych sądach. Głupie to i dziecinne. Jak bardzo — widziała dopiero teraz. Jedno miała usprawiedliwienie: zdarzało się jej to po raz pierwszy.

Niezależnie jednak od wszelkich usprawiedliwień trzeba było teraz płacić za tamte dziecinady.

Spojrzała w górę. Wobec ogromu wiszącej nad nią czerni poczucie samotności stało się przez moment tak przeraźliwe, że musiała zamknąć oczy. Potem jeszcze raz szybko rozejrzała się dokoła — może jednak któryś z nich ukaże się w pobliżu?

Nic z tego. Była całkiem sama.

I właśnie wtedy strach zamienił się w złość. „Czego się boisz, idiotko?” — pomyślała. Zawsze była dumna ze swych umiejętności w naukach ścisłych i w ścisłym sposobie myślenia. Alek regularnie wysłuchiwał przytyków na temat swych skłonności do poezji i innych sztuk pięknych, a przede wszystkim na temat tego, że nie bronił się przed okazywaniem swych uczuć.

„Czego się boisz?” — powtórzyła sobie. Przecież wiadomo było, że nic złego tu się stać jej nie może. Od powierzchni nie odpadnie. Nie zgubi się w przestrzeni. Ostatecznie czego się bać? Kosmosu? Byłoby to równie niepoważne, jak gdyby zaczęła bać się morza stojąc nad

jego brzegiem. Wprawdzie Ion przed czymś ostrzegwał, teraz jednak można było sobie uprzytomnić, że była to chyba z jego strony najzwyczajniejsza złośliwość. Czego się więc tu bać? Chyba tego, że próbując ślizgu przewróci się, stłucze sobie kolano lub coś w rodzaju kolana.

i

Mimo to, choć minęły już i strach, i późniejsza złość, nadal poczucie samotności wobec Kosmosu było tak przytłaczające, że ciągle jeszcze brakło jej odwagi, żeby pobiec śladem chłopców i Robika. Bo chociaż obraz otaczającego ją świata był istotnie wspaniały, to o ileż bliższe i piękniejsze wydało się w tej chwili wspomnienie owego choćby ogrodu botanicznego, który im Ion z takim przejęciem pokazywał.

I oto w tym właśnie momencie Alka, która naprawdę umiała myśleć w sposób ścisły, zaczęła wreszcie rozumieć sens całej historyjki.

— Dobrze mi tak—szepnęła.

— Co mówisz, Alka?—spytał zdziwionym głosem Ion.

— Nie widzę was — powiedziała cicho.—W którą stronę mam ruszać? Powiedz, Ion.

Ion milczał przez kilka sekund. Była to bowiem chwila, w której zawahał się. Spojrzał nawet na Robika: może już wystarczy? Robik jednak tym razem zachował się w sposób absolutnie wyjątkowy. Po prostu bezradnie rozłożył ręce.

Ion postanowił zatem pokonać niemęską słabość serca mimo wszystko.

— Spójrz prosto przed siebie — powiedział. — Widzisz gwiazdozbiór Orła?

— Tak — szepnęła.

— A więc ruszaj prosto na jego układ centralny.

— Dobrze.

— Tylko uważaj... — przypomniał. — Nie należy zbyt szaleć na ślizgawce.

Nie spytała dlaczego.

— Jadę! — zawołała.

Wtedy Ion skinął na Robika i obaj ruszyli w przeciwną stronę niż ta, w której powinni byli ukazać się Rojowie. Po lewej stronie mignęła im sylwetka Alka, przyśpieszyli więc biegu.

— Halo, Ion — odezwała się po chwili zdyszonym głosem Alka. — Gdzie jesteście?

— Ja was też nie widzę — powiedział Alek. Ion nie odezwał się.

— Ion! — krzyknął już dość niecierpliwie Alek.—Co to ma znaczyć?

A potem oboje zamilkli.

Ion i Robik dalekim łukiem okrążyli miejsce, z którego wystartowali do zabawy w ślizgawkę. Potem przystanęli w pobliżu kwadratu opisującego stanowisko powierzchniowej windy.

Na koniec Ion odezwał się wesołym głosem:

— Ciekawe, Robik, czemu oni milczą? Chyba się nie przestraszyli.

— Chyba nie—mruknął Robik.

— Na pewno nie — ciągnął dalej Ion wesołym i spokojnym głosem. — Ostatecznie tu się zgubić nie można. A zabawa jest kosmiczna. Prawda?

— Prawda — zgodził się Robik. Potem znowu umilkli.

Po kilkunastu sekundach usłyszeli cichy wybuch śmiechu. To śmiał się Alek.

— Już was widzę — powiedział. — Wy łotry!

Istotnie. Zza opalizującej linii horyzontu wyskoczyła drobna sylwetka.

Alek pędził ku nim tak szybko, jakby uprawiał tę zabawę od lat.

— Wy saturnijskie łotry — krzyknął ze zwycięskim uśmiechem.

Wykazał przy tym wspaniałe wyczucie dystansu, bo zahamował tuż przy nich, zachowując przy tym równowagę tak pewnie i bezbłędnie, jakby był tancerzem — akrobatą od lat.

— Zapowiadam — rzekł — że będzie to moja ulubiona rozrywka.

— Brawo — powiedział Ion.

— Brawo — powtórzył Robik.

—Hej, siostrzyczko! — zawołał Alek.—Nie kompromituj rodu Rojów.

Alka odezwała się jednak dopiero po dłuższej chwili.

— Rozumiem już wszystko — powiedziała wreszcie. — I nawet się nie gniewam. Chłopcy spojrzeli po sobie.

— A za co miałybyś się gniewać? — spytał z bezbrzeżnie pocziwą miną Ion.

— Za głupie dowcipy i straszenie kobiet — wyjaśniła.

Ion uczył, że ni z tego, ni z owego się rumieni. Alka zaś ciągnęła dalej głosem tak rzeczowym, jakby właśnie wygłaszała poważną tezę naukową.

— Twierdzą przy tym — mówiła — że tylko barbarzyńcy uczyli pływać rzucając swe ofiary na głęboką wodę.

— Nie widzę tu nigdzie wody — mruknął Robik.

— Natomiast ja widzę was! — krzyknęła.

Istotne, już ją dostrzegli. Poruszała się z równą odwagą i zgrabnością, jak Alek czy nawet Ion, pędziła lekko i bardzo szybko, a Ion obserwując jej ruchy czuł, że ma coraz głupszą minę. Na szczęście zbyt zaufała pewności swych kroków i zbyt późno zaczęła hamować.

Powiedziała właśnie „uwagam, że...”, gdy zorientowała się, że niesie ją za daleko, i wtedy, tracąc równowagę, wbrew wszelkim zamiarom i chęciom — po prostu usiadła.

— Cha, cha, cha... — zaczął chichotać Alek.

— Bardzo dobra, ale trochę bolesna metoda hamowania — rzekł z powagą Robik.

Ion jednak się nie śmiał, tylko znów patrzył na nią z zachwytem. Taką widać miała Alka Roj urodę, że najładniej wyglądała właśnie wtedy, kiedy chciała przybrać najbardziej odpychający wyraz twarzy. Sam Alek spojrział w końcu na siostrę ze szczerym zainteresowaniem. I powiedział właśnie:

— Siostruniu! Najładniej wyglądasz akurat wtedy, kiedy chcesz udawać uosobienie surowości i grozy.

Puściła jego słowa mimo uszu. Jakby ich w ogóle nie słyszała. Stała natomiast tuż przed Ionem i spojrzała mu prosto w oczy.

— Powiedz — zażądała. — Co to miało znaczyć?

— Po prostu — odpowiedział — chciałem was wreszcie czymś naprawdę zainteresować. Od początku zachowujesz się tak, jakby twoim zdaniem cały Zwiadowca zasługiwał co najwyżej na opinię, że ma „całkiem ładne widoki” i zadzieraszą nosa, jakbyś miesiąc temu wróciła z Centaura. Chciałem cię trochę rozerwać.

— Tak sobie myślałem! — zawołał radośnie Alek. Ion zaś wzruszył ramionami.

— Jeśli przesadziłem — powiedział z lekkim zawstydzeniem — mogę cię przeprosić.

Ona patrzyła nań przez chwilę szeroko rozwartymi oczami. A potem po prostu uśmiechnęła się i położyła mu rękę na ramieniu.

— Nie — odpowiedziała jasnym głosem. — To my przepraszamy. Prawda, Alek?

Alek z najgłębszym przekonaniem skinął głową.

— Prawda.

— Bo my — powiedziała Alka — my z Ziemi czasem nawet nie zdajemy sobie sprawy, kiedy jesteśmy dla Mieszkańców Planet trochę... a nawet bardzo... antypatyczni.

— Ależ... — zawołał Ion w największym zmieszaniu — ależ... Nie pozwoliła mu skończyć.

— Wracamy?

— Wracamy — przytaknął.

Kiedy zaś już stanęli na kwadracie windy, jeszcze zanim Ion wydał rozkaz, uściśnęła go za rękę.

— Jesteś miły, Ion — powiedziała.

— Na co macie teraz ochotę? — spytał Ion, gdy już wyszli z kabin sali przejściowej. Rojowie spojrzeli na siebie.

— Proszę cię, siostró — powiedział uprzejmie Alek.

— Proszę cię, braciszku — odparła ze skromnym uśmiechem.

— A więc?—spytał Ion.

— Sprawa jest trudna... — zaczął Alek.

— ...bo my z reguły... — pomogła mu siostra.

— ...mamy przeciwstawne chęci — zakończył Alek.

— Wobec tego ja zdecyduję — oświadczył Ion.

— Właśnie! — odpowiedzieli jednym głosem i z idealną synchronizacją.

Ion spojrział na Robika, Robik na Iona i tym razem już wszyscy czworo oddali się napadowi „kaszlu oszalałej z pośpiechu kukułki”, bo już nie tylko Alek, ale i sama Alka mimo woli zaczęła naśladować Iona.

— Dziwna rzecz — powiedział ze smutkiem Robik—że wy, ludzie, niczego tak łatwo się nie uczyacie od innych, jak ich cech najgorszych.

Alek pokiwał głową, Alka wzruszyła ramionami. Robik zaś dopowiedział swą myśl do końca.

— Wasze organizmy — stwierdził — są nadmiernie skomplikowane i dlatego wykazują duże skłonności do psucia się.

— A cóż to znowu takiego? — spytał z zachwytem Alek.

— Poczucie humoru — odrzekł Robik.

— Co?! — krzyknęły Bliźniaki.

— Mam wbudowane poczucie humoru — wyjaśnił Robik. I od razu dodał: — Nie ma się z czego śmiać.

Zastrzeżenie nie pomogło. W końcu gdy już przestali, Ion podniósł głowę ku sufitowi i wypowiedział trochę dziwne zdanie:

— Uwaga, Pezet! Dzień dobry.

— Dzień dobry — odrzekł natychmiast jakiś głęboki i bardzo dźwięczny Głos. — Czym mogę służyć?

— Pokaż nam schemat ogólnej konstrukcji. Na początek wystarczy program godzinny.

— Bardzo proszę — odpowiedział Głos.

W sekundę później z sufitu sali opuściła się kabina o przejrzystych ścianach i stanąwszy tuż przed nimi, gościnnie otworzyła swe wnętrze.

Rojowie spojrzeli na Iona wielkimi oczami.

— Z kim ty rozmawiasz? — szepnęła Alka. — Przecież wszyscy dorośli są w pracy.

— I słusznie — potwierdził Głos, a Ionowi aż zaświeciły oczy z uciechy na widok bezbrzeżnie oszołomionych min Bliźniąt.

— Wszyscy pracownicy — ludzie są już na swoich przewidzianych stanowiskach badawczych — mówił dalej Głos — ale przecież jest rzeczą naturalną, iż ja tu pozostałem.

Nazywam się...

— Pierwszy Zwiadowca! — krzyknęła Alka.

— ...a w skrócie: Pezet. Tak jest, dzień dobry, bardzo mi miło — odezwał się Głos.

— Nam również jest bardzo miło—zawołał Alek. — Co słychać? Pierwszy zaczął śmiać się z tego pytania Robik, gdyż jako robot z wbudowanym poczuciem humoru miał najszybszy refleks.

Ostatnia zaśmiała się Alka, tym już razem całkiem po swojemu i Ion natychmiast umilkł. Cóż to był za piękny dziewczęcy śmiech! Na taki śmiech można by napisać cały cykl muzycznych improwizacji.

Tymczasem Pezet rzeczowo odpowiedział Alkowi na jego „co słychać?”

— W tej chwili wasz śmiech.

— Jesteś uroczy, Pezecie! — zawołał z entuzjazmem i z wyraźną stronniczością Robik.

W sali zrobiło się jakby odrobinę jaśniej, jak gdyby Pezet (na swój sposób oczywiście) uśmiechnął się.

— Ciesz się mną to—rzekł jego Głos. I od razu ciągnął dalej: — A teraz... zapraszam drogich

gości do obejrzenia tego, co zaproponował kolega Ion Soggo. Zgoda?

— Dziękujemy! — zawołali wszyscy czworo wchodząc do kabiny o przejrzystych ścianach. I tak to zaczęła się ich druga tego dnia podróż po Pierwszym Zwiadowcy — tym razem „od środka”.

Jak już wspomnieliśmy, rozmiary Zwiadowcy w porównaniu z setkami innych mechanoplanet i sztucznych księżyców były bardzo niewielkie. Pezet należał po prostu do najmniejszych małowielkościowych modeli. Ale miał jedną cechę, która wyróżniała go spośród wszystkich innych modeli. A mianowicie: będąc mechanoplanetą miał wszystkie cechy Robota Samodzielnego. Cała załoga Pezeta poważną część swych prac badawczo-pomiarowych wykonywała w przestrzeni kosmicznej. Kosmoloty Alfa i Beta wylatywały na odległość dziesiątków i setek tysięcy kilometrów od swej bazy, najczęściej w strony przeciwne — aby uzyskać jak najbardziej różnorodne punkty widzenia wobec przewidzianej przyszłej trasy „Ziemi”. Toteż zanim pojawili się tu Ion z Robikiem, a potem Rojowie, Zwiadowca z reguły pozostawał w ciągu ośmiu godzin na dobę całkowicie sam. Po przybyciu najmłodszych gości program zajęć Pezeta wyraźnie się skomplikował. Nikt z dorosłej załogi nie zamierzał jednak w najmniejszym nawet stopniu o to się zatroszczyć. Była to bowiem sprawa samego Zwiadowcy. I basta.

Zwiadowca sam określał swą drogę w przestrzeni i sam kontrolował szybkość lotu, sam dbał o mechanizmy naukowe w laboratoriach i o motyle w ogrodzie botanicznym, sam regulował światło sztucznych słońc i formy obłoków na sztucznym niebie, sam przypiekał ludziom grzanki na śniadanie i zbierał owoce na kolację, sam przygotowywał kosmoloty do startu i sam przyprawiał sałatki z samodzielnie wyhodowanych jarzyn.

Zwiedzanie było oczywiście bardzo pobieżne, miało bowiem podług prośby Iona trwać tylko godzinę.

Zaczęli je od zewnętrznego płaszcza Zwiadowcy. Płaszcz miał dwieście metrów grubości — dziesięć metrów pierwszej tarczy ochronnej, dalsze trzydzieści metrów przeznaczono na dwie warstwy izolacyjne i dalsze dwie wewnętrzne tarcze ochronne. Reszta z owych dwustu stanowiła wewnętrzną pokrywą sztucznego nieba i kryła w sobie zbiorniki deszczów, mechanizmy napędowe, piece słoneczne, wytwornice prądów powietrznych, fabryki atmosfery i tak dalej, i tym podobnie, aż po inkubatory kilku gatunków ptaków latających i stacje wind. Po opuszczeniu zewnętrznego płaszcza w ciągu kilku sekund przebyli kilometrowy pas atmosfery otaczający zewsząd wewnętrzną główną powierzchnię Zwiadowcy, ową miniaturkę Starej Ojczyzny Ziemi, pełną ogrodów, parków, sadów, pełną różnorodności, skomponowanych w całość tak zachwycającą, jakby jego twórcy chcieli wreszcie zrealizować pochodzącą z zamierzonych czasów legendę o rajach.

Krajobrazy te obejrzeni już podczas śniadania, toteż Pezet od razu przerzucił ich pod powierzchnię, do głównej najważniejszej swej części, tu, gdzie w istocie mieściła się ogromna większość (bo osiemdziesiąt jeden i dwanaście setnych procenta) jego mechanizmów, gdzie mieściły się główne stanowiska programów, rozkazów, łączności, pomiarów, działań i energii, nie licząc już tych wszystkich stanowisk związanych z obsługiwaniem ludzi i pielęgnowaniem roślin na powierzchni kuli wewnętrznej.

Zwiedzanie tej części Zwiadowcy trwało czterdzieści minut.

W ciągu owych czterdziestu minut żadne ze zwiedzających nie odezwało się nawet słowem. Mówił jedynie sam Pezet opisując siebie głosem skromnym i w słowach bardzo przystępnych, z rzadka tylko podając szczegółowsze liczby lub też wzory, które tłumaczyłyby zasady działania niektórych bardziej skomplikowanych stanowisk.

Na koniec zaś, gdy już wyczerpali cały program zwiedzania i kiedy z emocji, napięcia i wzruszenia uczyli po prostu głębokie zmęczenie, Zwiadowca sprawił im piękną niespodziankę. Otóż wyniósłszy ich na powierzchnię, na owo najpiękniejsze miejsce botanicznego ogrodu, zaśpiewał im po prostu słynną pieśń o sobie — pieśń napisaną przez



genialnego osiemnastoletniego kompozytora z Marsopolis do słów saturnijskiej poetki. Słuchali patrząc na aksamitną zieleń ogrodu, na płynący ekranami sztucznego nieba wielki i biały obłok.

Nad ogrodem rozkwitła niczym szklany kwiat tęcza deszczu.

Zwiadowca umilkł. A potem cicho powiedział:

— Koniec rozmowy. Do usłyszenia.

— Do usłyszenia—odpowiedzieli.

Potem na długą chwilę zapanowało milczenie.

W końcu Alka spojrzała na Iona i wskazując drobnym ruchem ręki otaczający ich krajobraz powiedziała takim szeptem, jakby chciała zwierzyć najskrytszą tajemnicę serca:

— Tu jest naprawdę pięknie.

Ion z powagą skinął głową. W pierwszej chwili chciał coś odpowiedzieć, ale zamilkł.

Uśmiechnął się tylko do niej. Odpowiedziała tym samym.

Alek leżał na plecach i patrzył w górę.

Alka z Ionem i Robikiem poszli obejrzeć jakiś niezwykle ciekawy kwiat pochodzenia ganimedańskiego, on jednak pozostał tutaj. O pół do dwunastej mieli pójść na pływalnię.

Warto byto przedtem nieco posiedzieć sobie w spokoju i ciszy.

Pozostał tutaj. Nucił melodię refrenu z piosenki Zwiadowcy i przyglądał się płynącemu nad jego głową obłokowi, który w powolnej swej drodze co chwila zmieniał kształty i był kolejno dziwną rybą, dziwnym drzewem i w końcu całkiem zwykłym obłokiem.

Na koniec Alek przymknął oczy. Był po prostu szczęśliwy. Myślał o tym dniu, kiedy po raz pierwszy, jako przysły członek młodej załogi, zwiedzać będzie „Ziemię”. Dzień dzisiejszy dał mu przedsmak tamtych chwil i Alek postanowił jeszcze przed wieczorem sięść do pracy nad niewielkim poematem, który „chodził za nim” już od dawna. W owym półwierszu — półpieśni zmieścić się miało wiele spraw i prawd: i myśli o Centaurze, i niepokój wobec oczekującej ich drogi, i wzruszenie przeżyte na powierzchni Zwiadowcy, i — przede wszystkim — radość wynikająca z faktu, że on sam jest istotą żywą, myślącą i pełną nadziei.

— Aleek!

Musiał się zamyślić aż do pogranicza snu, bo dopiero trzeci okrzyk Iona zdołał go przebudzić. Zerwał się na równe nogi.

— Co?

Ion, Alka i Robik oddalili się lekkim truchtem poprzez łąkę o aksamitnej zieleni traw. Biegli w stronę wieży do skoków, stojącej nad pobliskim basenem pływalkim.

— Goń nas! — krzyknęła Alka.

— Uciekajcie! — wykrzywił się okrutnie. — Jak dopadnę i złapię, to zabiję i zjem.

Udało mu się dopędzić tylko siostrę, Ion bardzo z tego powodu chichotał i zapytywał, czemu jej nie zabije i nie zje. Alek tłumaczył się brakiem apetytu, a potem zabrali się wszyscy czworo do pływania i okazało się, że w wodzie może Ion jeszcze jako tako konkurować z Alkiem. Z Alką natomiast konkurować nie może. Alka dawała sobie z nimi oboma radę w każdym wyścigu, na każdym dystansie i w każdym stylu.

Po kolejnej, szóstej próbie Ion postanowił uznać jej przewagę za pewnik naukowy.

— Trudno, świetnie — powiedział po szóstym przegranym wyścigu. — Muszę się z tym pogodzić.

Leżeli, ciężko dysząc, nad brzegiem basenu. I nagle Alka ze zdumieniem spojrzała na Robika.

— A ty czemu tak dyszysz? — spytała. — Przecież wy się nie męczycie.

Robik trochę ironicznie pokiwał głową.

— Ja to robię z uprzejmości — odpowiedział.

— Z uprzejmości? — spytała.

— Moja droga — wyjaśnił jedwabnym zgoła głosem. — Roboty uczą się uprzejmości o

wiele łatwiej niż ludzkie dzieci.

— Wcale to nie było uprzejme, co teraz powiedziałaś — stwierdziła sucho.

— Oczywiście — zgodził się. — To było tylko prawdziwe.

— Jeszcze lepiej — mruknęła.

— Czy u was w ogóle nieznanym jest typ wysoko kwalifikowanego Robota Opiekuńczego? — spytał Robik z cieniem ironii w głosie.

Alka chciała odpowiedzieć dość ostro, ale ubiegł ją Alek.

— Przecież musisz o tym wiedzieć — powiedział szybko — Robiku, że warunki życia na Starej Ojczyźnie są tak łagodne i łatwe, że nie można ich porównać z żadnymi innymi.

— Z wyjątkiem mechanoplanet — wtrącił Ion.

— Oczywiście — zgodził się Alek. — Dlatego u nas Roboty Opiekuńcze zajmują się wyłącznie młodzieżą w wieku przedszkolnym. Od szóstego roku życia dajemy sobie radę sami.

— No tak — mruknął Ion. — Saturn to nie Ziemia. W naszych warunkach nawet bardzo wielu dorosłych pracuje wraz ze swymi Opiekunami. I nie ma w tym nic śmiesznego. W podziemiach Saturna nie jest niebezpieczniej niż na Ziemi. Ale każde wyjście na powierzchnię...

Zamilkł.

Rojowie również milczeli. W głosie Iona brzmiała bowiem nie tylko duma, ale i gorycz. Saturn bowiem ciągle jeszcze nie dawał się okiełznać — ciągle jeszcze pochłaniał ofiary. Burze i deszcze meteorytowe, otwarte złoża promieniowań, skoki temperatur wymykające się nieraz obliczeniom — oto pokrótce rejestr tych zasadzek Saturna, które ciągle jeszcze zbierały swoje żniwo wśród ludzi i przed którymi Saturnijczycy bronili się z pomocą takich właśnie Robotów Opiekuńczych, jak Robik, z reguły towarzyszących dzieciom i młodzieży, a często i dorosłym.

— Właśnie dlatego — tłumaczył Robik — nie ma na Saturnie lepszych przyjaciół człowieka niż my.

— Nie licząc oczywiście ludzi — rzekła Alka.

— Nie licząc ludzi — zgodził się Robik.

— A poza tym warto by — wtrącił z uśmiechem Ion — warto by zmienić temat. Zwracam uwagę, że nie zdążyliśmy się sobie jeszcze w uczciwy sposób przedstawić.

— Prawda — przyznał Alek.

Alka natomiast ukazała tym razem swój najbardziej uroczy wdzięk. Z zamyśloną miną spojrzała na Iona, oczy jej zbłękitniały jeszcze bardziej i powiedziała:

— A mimo to odnoszę wrażenie, jakbyśmy się znali od lat. Alek uśmiechnął się złośliwie, ale widząc rozanieloną twarz Iona oszczędził sobie żartu. Odezwał się tylko głosem wielce rzeczowym:

— Sytuacja przedstawia się w ten sposób, że o swoich rodzicach wiemy, co trzeba. Kto się uczy w szkole o współczesnym rozwoju pilotażu wielkich szybkości, ten musi wiedzieć, kim są Orm i Helena Soggo. A kto się uczy astrochemii, ten musi coś wiedzieć o pracach Jana i Czandry Rojów. Jak brzmi „prawo Rojów”? Wiemy, wiemy. Pozostaje tylko pytanie prywatne, które my, jako dzieci Rojów, zadajemy tobie, jako potomkowi Soggo. Jacy są twoi rodzice tak „w ogóle”?

Ion uniósł dłoń z odstawionym w górę kciukiem, który to gest od niepamiętnych czasów był wśród astropilotów gestem życzącym szczęścia lub oznajmającym zwycięstwo.

— Tacy — powiedział. — A wasi?

— U nas na Ziemi — zaśmiał się Alek — było w starożytności takie powiedzenie: „w dechę”.

— Coś chyba słyszałem — zastanowił się Ion. — Czy to znaczy, że też są „transgalaktyczni”?

— O, właśnie — potwierdziła Alka.

— W porządku — ucieszył się Ion. — A zatem wszyscy tu mamy rodziny „w dechę”. Tylko... co to właściwie znaczy „decha”? — spytał ze szczerym zaciekawieniem.

Alka i Alek wzruszyli ramionami. Robik odchrząknął.

— Przykro mi bardzo — powiedział. — Ale ja też nie wiem. To jest pytanie dla specjalistów.

— Robik! — zawołał ze zgrozą Ion, a Alek i Alka spojrzeli na siebie z ironią.

— Przepraszam — odrzekł zimno Robik. — Nie macie co spojierać na siebie z ironią. Wiem tyle, ile mnie nauczono. U nas, na Saturnie, nie ma takich powiedzonek.

— Oczywiście — uśmiechnął się z lekkim przekąsem Alek. — U was, na Saturnie, w ogóle nie było starożytności.

— I owszem — zgodził się Robik. — Saturn został skolonizowany dość późno. Pierwsze lądowania w sześćset drugim roku ery kosmicznej. Ale co z tego? Ziemia też ma swoje wady.

— Nie przeczę, lecz... — zaczęła Alka.

Robik z czarującym uśmiechem nie dał jej jednak rozpedzić się do nowej sprzeczki.

— Odwołuję się do twego ścisłego umysłu, droga Alko — rzekł ze słodyczą. — Proponuję oddać głos Ionowi.

Alek pokiwał głową z podziwem: odwołanie się do ścisłego umysłu podziałało wspaniale, gdyż Alka skinęła głową z najgłębszym przekonaniem.

— Bardzo słusznie. Ion trochę się spieszył.

— Właściwie... tylko kilka słów. Wiek mój już znacie: czternaście lat i trzy miesiące. Urodziłem się w stolicy Saturna — Akrze, która, jak wiadomo, znajduje się w miejscu pierwszego lądowania ludzi na Saturnie.

— Nazwa „Akra” — wtrącił Robik — pochodzi od tego, że pierwszy astrozwiadowca na Saturnie był Afrykańczykiem i pochodził z miasta Akra.

— Wiemy — powiedziała Alka.

— Rodzice — mówił Ion — już od pięciu lat prowadzą badania na pograniczu systemu słonecznego i od pięciu lat przebywają na Saturnie tylko przez trzy miesiące w roku, a ja mieszkam w internacie szkolnym — mówił dalej. — Mieszkam oczywiście razem z Robikiem, który, moim zdaniem, jest najwspanialszym Robotem Opiekuńczym w całym systemie słonecznym.

— Przesada — uśmiechnął się skromnie Robik.

— Oczywiście, że przesada — potwierdziła Alka.

— Ale nie taka znowu wielka przesada — stwierdził sucho Robik — ponieważ najlepsze w systemie słonecznym są roboty saturnijskie, a ja osobiście, na dorocznym olimpijskim konkursie Robotów Opiekuńczych, zdobyłem dwa złote medale, za sprawność umysłową i za sprawność mechaniczną.

Bliźniaki spojrzały na Robika z niewątpliwym szacunkiem. Był istotnie robotem wyjątkowo sympatycznym, choć chwilami, jak każdy robot, zachowywał się w sposób zbyt poważny. Ale właśnie w chwili, w której tak sobie pomyślały, Robik nieoczekiwanie zachichotał.

— My, roboty z Saturna — powiedział — posiadamy poza tym dwie dodatkowe i całkowicie bezkonkurencyjne zalety.

— Jakie?

— Mamy wbudowany wdzięk i poczucie humoru.

— Skłonność do gadulstwa! — zezłościł się nagle Ion. — Czy wy mi dacie wreszcie mówić, czy nie?

— Proszę cię, mów — uśmiechnął się uprzejmie, ale nieprzyjemnie Robik.

Ion udał, że nie słyszy goryczy w jego głosie.

— Jeśli chodzi o moje zamiłowania — ciągnął dalej — interesuję się pilotażem największych szybkości. Poza tym lubię bardzo astrochemię i muzykę. W zakładzie do badania zainteresowań i zdolności doradzono mi wybór jednego z dwóch zawodów, do których

wykazuję najwięcej uzdolnień. Będzie to albo pilotaż wielkich szybkości, albo studia kompozytorskie.

— Co? — krzyknęła Alka. — I ty się w ogóle wahasz?

— Waham się — powiedział Ion.

— Ludzkość musi upaść — stwierdziła z rezygnacją Alka. — Co drugi mężczyzna interesuje się poezją, muzyką, filmem albo literaturą. To się źle skończy.

Ion, Alek i nawet Robik roześmiali się szyderczo.

— Moja droga — rzekł Robik wyrozumiale.

— Moja kochana — powiedział zjadliwie Alek.

— Moja miła Alko — uśmiechnął się dobrotliwie Ion. — Jesteś nieco staroświecka z tym swoim lekceważeniem zjawisk artystycznych. To było dobre w okresie wczesnej kolonizacji planet. Ale teraz? Dzisiaj każde niemowlę wie, że ludzkość może się rozwijać w sposób właściwy tylko wtedy, kiedy rozwija się wszechstronnie.

— Och — wzruszyła ramionami. — Proszę mi tu nie recytować mądrości na poziomie przedszkola.

— Ion — szepnął ze szczerym smutkiem Alek. — Na nią nie ma sposobu. Jest tylko jedno wyjście z sytuacji.

— Jakie? — zdziwił się Ion.

— Żeby się zakochała.

— Wypraszam sobie! — krzyknęła Alka, a na jej policzkach pojawiły się rumieńce. — Absolutnie sobie wypraszam!

Robik z najwyższym zdumieniem uniósł w górę brwi.

— Co sobie wypraszasz? — spytał. — Przecież każdy normalny człowiek w swoim czasie się zakochuje. Jeśli myślisz w sposób przyrodniczy, musisz przyjąć tę możliwość.

Alce na chwilę odebrało głos. A potem ustąpiła. Jej uśmiech jednak wcale nie był przyjemny.

— Przyjmuję tę możliwość — rzekła. — Pociesza mnie jednak fakt, że mam jeszcze sporo czasu i że nie grozi mi zakochanie się w żadnym z was.

Robik był jednak uparty.

— Rozumiem — powiedział. — Ani twój brat, ani ja się nie liczymy. Ale Ion?

— Przestań, Robik! — krzyknął Ion. — Wróćmy wreszcie do tematu. To jest rzeczywiście rozmowa na poziomie przedszkola.

Robik z urazą skłonił się wszystkim trojgu.

— Proszę bardzo — powiedział. — Mogę w ogóle się nie odzywać. Nastąpiła trochę niezręczna chwila milczenia. Przerwał ją dopiero Alek, który jedyny w całej tej sytuacji najwidoczniej świetnie się bawił.

— A więc pora na nas, siostruniu — rzekł ze skrytym śmiechem w głosie. — Jesteś starsza o godzinę, zaczynaj.

Skinęła poważnie głową.

— Mamy po trzysta lat, siedem miesięcy i dwadzieścia dni — zaczęła. — Urodziliśmy się w Starej Ojczyźnie, w okręgu Europy, mieście Toruniu.

— Miejsce urodzin Kopernika — wtrącił Robik—przedhistorycznego astronoma, który pierwszy stwierdził...

— Wiemy, wiemy — jęknęli zgodnie Alek z Ionem.

— ... że ziemia i pozostałe planety tworzą system heliocentryczny — ciągnął nieubłagany Robik. — Główne dzieło nosi tytuł „O obrotach...”

Alka z pobłażliwością w oczach odczekała jeszcze chwilę, ale Robik na szczęście umilkł.

— Urodziliśmy się w Toruniu, w rodzinnym mieście ojca. Ale od czasu kiedy i nasi rodzice przenieśli się do pogranicznych laboratoriów układu słonecznego i na Ziemi spędzają tylko czas wakacyjny, mieszkamy u siostry matki, Indry, w Delhi.

— Zaraz, zaraz — przerwał Ion. — Nie mów, gdzie to jest. To jest... to jest w A...

— No, no? — ucieszył się Alek.  
— W Azji! — zawołał radośnie Ion.  
— Zgadza się. Skąd znasz naukę o Ziemi?—zdziwiła się z uznaniem Alka, ale dalszy wątek podjęła nie czekając na odpowiedź:  
— Jeśli chodzi o zamięłowania: mnie interesuje mikrofizyka, i to głównie dział neutronów. Oprócz tego, z zawodów praktycznych — pilotaż wielkich szybkości. I astrogeologia.  
— A mnie — wtrącił Alek — nie interesuje ani astrogeologia, ani teoria gier, ani ten cały wasz wspólny pilotaż wielkich szybkości. Interesuję się poezją i geometrią kwantową.  
— W zakładzie do badania zainteresowań — znów zabrała głos Alka — doradzono mi, tak jak tobie, Ion: pilotaż wielkich szybkości.  
— Tylko pilotaż? Nic więcej?  
Alek zaśmiał się dość złośliwie.  
— Oczywiście, że nie tylko. Alka ma bardzo ładny głos i jest ogromnie muzykalna.  
— Ale nigdy nie będę śpiewaczką — oburzyła się.  
— Bo nie potrafisz?  
— Potrafię.  
— Więc czemu mówisz: nie?  
Alka na chwilę zamilkła. W końcu powiedziała z anielskim spokojem:  
— Daj mi spokój. Ja po prostu bardzo nie lubię muzyki.  
Alek spojrział na Iona, Ion na Robika. Robik z zakłopotaniem pokiwał głową.  
— Wszyscy trzej odnieśliśmy wrażenie — rzekł półgłosem — że nie powiedziałaś prawdy.  
Alka zacięła usta i odwróciła głowę, Ionowi zrobiło się jej żal.  
— Każdy ma prawo czegoś nie lubić — powiedział. — Albo przynajmniej twierdzić, że nie lubi.  
Podziękowała skinieniem głowy, skierowanym jednak nie wiadomo czemu w stronę najbliższej, nastroszonej niczym ogon zielonego strusia — palmy.  
— Mnie zaś radzono — rzekł z dumą Alek — żebym w pierwszym rzędzie starał się rozwijać swoje uzdolnienia poetyckie. Powiedzieli, że w sztuce, jak to w sztuce: żadnej gwarancji nie dają. Ale zawsze mi pozostaje jeszcze geometria kwantowa. Tam jest mniej do zrobienia niż w poezji, ale zawsze... coś jeszcze dla mnie zostało.  
I roześmiał się nie wiadomo z jakiego powodu, chyba po prostu z samej radości, jaką miał w sobie. A potem nagle i od razu posmutniał.  
— Zgłodniałem — powiedział.  
— Właśnie — przytaknął mu Robik. — Jedenasta zero pięć. Najwyższy czas na drugie śniadanie.  
— Racja! — powiedziała cała trójka jak jeden mąż.  
A potem rozsiedli się nad brzegiem basenu, na wywołanych z domu latających leżakach. Śniadanie było jak zazwyczaj najwyższej klasy. Zwiadowca był bowiem równie znakomitym kucharzem, jak kosmonautą, ogrodnikiem, przyrodnikiem i tak dalej, i tak dalej, i tym podobnie.  
— Ale śniadanie — rozmarzył się Alek.  
— Bardzo dobre — zgodziła się Alka.  
— Yhym — zabulgotał pełnymi ustami Ion.  
Leżaki łagodnie kołysały się nad kwietnikiem. Mały obłok przesłonił wieżę startową. Nad ogrodem po raz piąty tego ranka padał deszcz.  
Od strony domu rozległa się muzyka.  
Po deszczu słońce przygrzało mocniej — zbliżało się południe. Była to znowu chwila ciszy i lenistwa, w którym jednak „ścisty umysł” wytrzymał jedynie trzy minuty.  
Po takim właśnie upływie czasu Alka powiedziała zdanie, które właśnie dla niej samej było zaskoczeniem:

— Muszę bezstronnie przyznać, że na Zwiadowcy wszystko jest rzeczywiście klasy trans— i supergalaktycznej. Ale muszę wam też powiedzieć coś innego: ja myślałam, że tu będzie o wiele ciekawiej.

— Coo?! Przecież Zwiadowca... — oburzył się Ion.

— Wiem — przerwała Alka. — Zwiadowca jest zjawiskiem w skali wszechświatowej.

— Ubóstwiam Zwiadowcę — westchnął lirycznie Alek.

— Powiedz nam, Robik — powiedziała surowym głosem Alka — czego Zwiadowca nie potrafi?

— Tego co ja — uśmiechnął się Robik.

— To znaczy?

— Nie potrafi wymyślić siebie.

— Spodziewam się. A poza tym?

— Wszystko.

Alka wyciągnęła rękę i wskazujący palec w stronę Iona, a wyglądało to jak pokazowy gest oskarżyciela publicznego.

— A więc wszystko — powiedziała groźnie. — Zwiadowca potrafi zrobić i robi wszystko. Co więc dla nas zostanie? Nic? Trochę mało.

Nastała chwila ciszy.

Ion zaś natychmiast zrozumiał: ona ma rację. W gruncie rzeczy ich bezczynność — z góry przewidziana i założona nawet wakacyjna bezczynność — była właśnie na Dziesiątym Tysiącu bardzo męcząca, chwilami bardzo przykra. Do momentu, w którym Alka nie nazwała sprawy po imieniu i wprost, Ion ukrywał to nawet przed sobą samym. Ona jednak okazała się odważniejsza. A nawet uczciwsza.

„Stchórzyłem — myślał. — Nie potrafiłem się przyznać nawet przed sobą, że dla mnie... dla nas... nie ma tu nic do roboty. Oczywiście — myślał dalej — są tu najpiękniejsze miejsca na całym znanym świecie. Można się im przyglądać bez końca, można się w nich nawet zakochać i... Właśnie: i co z tego? Co dalej?”

— Jesteśmy przecież na wakacjach — powiedział niepewnie, aby jakoś ratować nastrój.

Alka nie chciała się zgodzić na żadne wykrety.

— Nie przeczę. Wakacje są niezwykle. Zwiadowca jest pierwszym cudem świata i na pewno będzie tu jeszcze co oglądać, czym się zachwycać i podziwiać. Ale jeśli chodzi o nas... o to, co nam tu pozostało... to myślałam... że będzie tu nieco ciekawiej.

— To jest prawda — powiedział surowo Alek.

— Ja również — powiedział w końcu Ion — ja również myślałem, że tu będzie o wiele ciekawiej.

Robik zaś zachowywał się tak, jakby w ogóle nie słyszał, o czym tu się mówi.

Tu mógłby ktoś zarzucić Ionowi i młodemu Rojom, że przewróciło im się w głowach w sposób kosmiczny.

Sprawa nie przedstawiała się jednak tak prosto.

Prawdą jest, że wakacji na Zwiadowcy zazdrościły im miliardy dzieci, tak jak miliardy dorosłych zazdrościły ich rodzicom zaszczytu należenia do załogi Pezeta. Była to zaś zazdrość zdrowa i zrozumiała. Na Zwiadowcy przecież prowadzono ostatnie obliczenia i badania przygotowujące lot „Ziemi” ku gwiazdozbiorowi Centaura. Czy trzeba więcej?

O Zwiadowcy i jego pracach już od miesięcy mówiono i słuchano na uniwersytetach i stadionach, w podziemiach Neptuna i podwodnych portach Wenus, na pustyniach Marsa i w krystalicznych dżunglach Merkurego.

Dlatego też już od pierwszego dnia, w którym stało się wiadome, że rodzice rozpoczną pracę w załodze Zwiadowcy, cała trójka marzyła, śniła i bezustannie myślała o tym, jak to będzie wspaniale, gdy wreszcie oni sami wylądują na jego powierzchni, kiedy osobiście znajdą się na najsławniejszej ze wszystkich mechanoplanet „ludzkiego wszechświata”.

Będzie przesadą, jeśli powiemy, że już wtedy cały system słoneczny świecił. Prawdą jest jednak, że od tysięcy sztucznych księżyców i tysięcy sztucznych słońc, od dziesiątków tysięcy stacji i węzłów kosmicznych, od setek kolonii mechanoplanet szedł wspólny drżący blask jak od jednej ogromnej komety. Dopiero za Neptunem światła wygasły i biegła tędy już tylko jedna wielka trasa plutońska. Neptun bowiem stanowił końcową stację wszelkich podróży kosmoturystycznych w rodzaju: „Przez osiem planet”, „Przez trzydzieści księżyców” czy wreszcie „Od Merkurego do Neptuna”. Pluton bowiem był planetą zaludnioną, lecz niemieszkalną — za dużo uranu, za dużo liczników Geigera, zbyt wielka radioaktywność. Świeciły jeszcze księżycy Plutona, księżycy księżyców, ich trasy i stacje. Ale dalej? Dalej był już tylko ocean pustki. Lata świetlne pustki, cisza i czerń. I właśnie na tym oceanie odbywał swój samotny lot Pierwszy Zwiadowca ludzkości, która postanowiła osiedlać gwiazdozbiór Centaura — Pierwszy Zwiadowca Nowej Ery. Dlatego też z odległości tysięcy milionów kilometrów wydawało się, że nie ma nic wspanialszego niż wakacje na Pierwszym Zwiadowcy, i każdy to powinien zrozumieć.

Niestety — trzeba też zrozumieć, że tak się jedynie wydawało. Po przybyciu na miejsce okazało się, że wcale nie jest tu tak wspaniale i niesłychanie, i galaktycznie ciekawie, jak marzyli i myśleli każdy u siebie: Ion na rodzinnym Saturnie, Bliźniaki na rodzimej Ziemi.

Z dorosłymi było inaczej. Wylatywali na ultraszybkich kosmolotach daleko poza sektor Dziesiątego Tysiąca, prowadzili najbardziej odpowiedzialne badania w całym układzie słonecznym. Oni zaś — Ion i Rojowie — mieli pozostawać na Zwiadowcy, na którym nie pozostawiono im nic, ale to absolutnie nic do samodzielnego, pożytecznego działania. Zwiadowca sam robił wszystko: od pomiarów astrofizyko—chemicznych po... sałatkę z cytryn. W dodatku — towarzyszył im najczulszy opiekun, ideał w sztucznej skórze: Robik. Nie mieli n i c do roboty poza tym, co się zwykle robiło podczas wakacji — co się robiło od stu tysięcy lat.

W każdym innym wypadku byłyby to najpiękniejsze wakacje we wszechświecie. Szczególnie dla Iona, który pochodził z Saturna i po raz pierwszy w życiu stykał się z tak cudownie zaprojektowanym wnętrzem mechanoplanety. W każdym innym wypadku zarówno Ion, jak Bliźniaki miałyby co opowiadać i wspominać miesiącami.

A przecież i mimo wszystko coś się w tym rachunku nie zgadzało. Jak na wielkie sprawy Pierwszego Zwiadu było tu za ładnie, za pięknie, za cicho i za wygodnie.

Leżaki nadal łagodnie kołysały się nad kwiatowym klombem, mały obłok znów wpłynął na słońce, nad ogrodem mignęła kolejna srebrna fala deszczu.

Ion podniósł głowę i spojrzał na Alkę. Słońce rozgrzało jej policzki. „Jaka śliczna” — pomyślał. A powiedział:

— Może się coś jeszcze zdarzy. Robik aż usiadł na leżaku.

— Nic się może zdarzyć.

— Dlaczego?

— Na Pezecie nic się zdarzyć nie może. Pełna gwarancja bezpieczeństwa.

— Przepraszam cię — powiedziała Alka. — Ale każdemu wiadomo, — że najlepszy nawet system gwarancji nie może zapewnić całkowitego bezpieczeństwa.

— Zgoda — powiedział niechętnie Robik. — Mimo to Zwiadowca daje maksimum możliwego bezpieczeństwa w porównaniu z wszystkimi innymi sztucznymi planetami wziętymi razem.

— W porównaniu — stwierdziła Alka. — Sam mówisz: w porównaniu. A nie: w ogóle. Robikowi coś dziwnego zamigotało w oczach.

— Robik! — krzyknął ze zdumieniem Ion.

— Co?

— Ty się denerwujesz?!

— I owszem.

— Jak to możliwe?!—zawołał zachwycony Alek. — Przecież wam się to nie zdarza. Wy jesteście zawsze tacy...

— Zawsze—nie zawsze, tacy—nietacy... — burknął Robik. — A Zwiadowca i ja pochodzimy z tej samej pracowni projektowej.

— Ahaaa — powiedzieli we trójkę i z radosnym zdumieniem Alka, Alek i Ion.

Wtedy Robik oburzył się naprawdę. Zeskoczył z leżaka:

— Proszę ze mną — powiedział.

Wpierw pobiegli do domu. Tam Robik wyświetlił na ścianie instrukcyjną mapę Pezeta.

Przed wszystkim zwrócił uwagę na siłę i wytrzymałość głównej czaszy ochronnej. Potem zaś raz jeszcze opisał cały system alarmowy.

— Proszę sobie zapamiętać — mówił z naciskiem — raz na zawsze! Przy najmniejszym niebezpieczeństwie zderzenia z ławicą meteorów czy jakimkolwiek innym ciałem lecącym z szybkością nie większą niż przeciętna szybkość kosmiczna, działają natychmiast następujące alarmy: a) sztuczne słońce zmienia blask i migocze raz światłem czerwonym, raz niebieskawym, co trwa dziesięć sekund, b) odzywają się głosy instruktorów mechanicznych, c) roboty ratunkowe przenoszą ludzi w bezpieczną strefę, d) przy ostatnim zagrożeniu całości poszczególne części Zwiadowcy usamodzielniają się i jako oddzielne kosmoloty uciekają w przestrzeń, e) od pierwszej sekundy alarmu wszystkie stacje pomocy są zawiadomione o kolejnych potrzebach Zwiadowcy.

Cała trójka słuchała wpatrując się w oczy Robika, w których drżało jakieś migotliwe światełko. Alka jednak w końcu spytała:

— A powiedz mi, mój drogi, czy stopień bezpieczeństwa rodziców jest równy naszemu?

— Nie.

— A jaki jest stosunek?

— Jak jeden do dziewięćdziesięciu sześciu.

— To znaczy, że my jesteśmy blisko sto razy bezpieczniejsi niż oni?

— Tak.

— Słuchajcie, chłopcy... — zaczęła zmarkotniałym nagle głosem Alka. Ale Robik jej przerwał.

— Zachowaj nadal spokój w swym ścisłym umyśle, Aluniu — powiedział nieco zjadliwie.

— Jeśli my jesteśmy sto razy bezpieczniejsi niż oni, to wcale jeszcze nie znaczy, że oni są w niebezpieczeństwie.

Alka jednak najnieoczekiwanej w świecie tupnęła nogą.

— Przestań! I bądź łaskaw opisać także system alarmowy na wypadek awarii kosmolotów. Jest? Czy nie ma go?

Robik czekał przez chwilę. Nie usłyszał jednak „przepraszam”. Mimo to powiedział:

— Nie szkodzi. Nie gniewam się. Alka jednak ani drgnęła.

— Na wypadek awarii kosmolotów — zaczął jedwabistym głosem Robik — system alarmowy działa następująco: a) sztuczne słońce zmienia blask i migocze raz światłem czerwonym, raz białym, b) automatyczna stacja ratunkowa startuje na ratunek po upływie dwu sekund, c) sam Zwiadowca wyrusza na poszukiwanie kosmolotu, d) zostaje wezwana pomoc ze stacji ratunkowych, e) szczegółowe posunięcie od pierwszej sekundy alarmu opracowuje główny mózg Zwiadowcy.

Tu Robik rozejrzał się po wpatrzonych w siebie twarzach i parsknął śmiechem:

— Co się tak gapiacie? Strach was oblatuje?

— Zwariowałeś?! — krzyknął Alek.

— Nie jest możliwe, abym zwariował — powiedział spokojnie Robik.

Ion jednak stanowczo chciał uniknąć jakichkolwiek zadrażnień między Robikiem a Bliźniętami, które przecież nie były przyzwyczajone do Robotów Opiekuńczych.



— Robik — wtrącił się, by zmienić temat — która godzina? Czy nie czas na tenisa?

— Jedenasta dwadzieścia — powiedział Robik. — Zaraz przyniosę rakiety. Idźcie na kort. Przyniósł rakiety, piłki, owoce, stroje tenisowe i automatycznego sędziego. Mimo to był na korcie przed nimi.

— Nie gniewasz się? — spytała Alka.

— Oczywiście, że nie — powiedział. — Jak gramy?

Ustalili, że Alka będzie grać z Robikiem przeciw Ionowi i Alkowi. Pierwszy serw należał do Alki: piłka strzeliła jak z katapulty, tuż obok linii, Ion chwycił ją z największym trudem.

Odbił. Robik poszedł do siatki, ale Alek, jak w natchnieniu, prawie leżąc, chwycił skróconą piłkę i posłał ją obok Robikowego łokcia na samą linię autową.

— Zero do piętnastu — ogłosił automatyczny sędzia.

O godzinie dwunastej zero siedem chłopcy prowadzili w gemach sześć do pięciu. Serwować miał tym razem Alek.

— Uwaga! — krzyknął.

Podrzucił piłkę w górę. Jego rakieta aż zaśpiewała od uderzenia. Serw był wspaniały, ale mimo to Robik powinien był przynajmniej ruszyć w stronę piłki. On jednak nawet nie drgnął. Miał twarz taką, jakby wsłuchiwał się w jakieś dalekie zawołanie.

— Robik! — krzyknęła Alka ze złością. — Uważaj!

Robik nie odpowiedział. Stał wciąż bez ruchu. Co dziwniejsze — automatyczny sędzia również milczał. Minęła sekunda, potem druga.

Nagle słońce zmieniło blask — jego światło gwałtownie ściemniało, a potem zaczęło migotać szerokimi wahaniami barwy. Było to tak przerażające, jak rytm śmiertelnie zmęczonego serca: blask czerwony, blask biały, blask czerwony, blask biały, blask czerwony...

— Rodzice! — krzyknęła Alka. — Mamo!

Cały Zwiadowca lekko zadrżał. Był to widocznie moment ostrego startu automatycznej stacji ratunkowej.

Słońce migotało nadal: blask czerwony, blask biały, blask czerwony, blask biały...

— Dwunasta zero osiem — powiedział martwym głosem Robik.

— Uwaga! Uwaga! — rozległ się głos dzwiczący w powietrzu jak przedhistoryczne dzwony. — Mówi Pezet. Awaria kosmolotu Alfa. Ludzie na Zwiadowcy udają się z Robotem Opiekuńczym do Stacji Głównej.

— Słyszeliście? — krzyknął Robik.

W czerwonym i białym świetle słońca mignął lśniący blask platformy alarmowej.

Wylądowała na środku kortu. Robik kilkoma ruchami po prostu wepchnął Alka i Alkę na platformę, a potem trzymając Iona za rękę sam na nią wskoczył.

Platforma poderwała się w górę.

— Kłaść się! — krzyknął Robik.

Dwudziestokilometrową drogę do Stacji Głównej przebyli w dwie sekundy. Lądując platforma otwarła dno. Stanęli na taśmie transportera, który wyniósł ich po chwili do komory w Stacji Głównej Zwiadowcy.

Od momentu w którym Robik nie odbił serwu Alka, zaś sztuczne słońce po raz pierwszy ściemniło swój blask, by rozjarzyć się czerwonym i białym światłem alarmu — minęło dokładnie trzydzieści dziewięć sekund.

\*\*\*

Tak zaczął się alarm Zwiadowcy.

W trzydziestej dziewiątej sekundzie alarmu taśma transportera wniosła Iona, Rojów i Robika do alarmowej komory w Stacji Głównej.

Głos Zwiadowcy powiedział:

— Uwaga! Łączę kosmolot Alfa.

Przy słowie „uwaga” rozświetliła się wielka, półkolista ściana ekranowa, pod którą kończyła się taśma transportera. Tuż za nimi podniosły się fotele stojące naprzeciw ekranów, Robik łagodnie ujął Iona i Alkę za ramiona.

— Siadajcie — szepnął.

— Uwaga, łączę — powtórzył Głos Zwiadowcy.

Ion wpatrując się w ekran czuł, że braknie mu tchu. Na Kosmolocie Alfa była jego matka. Ten alarm był więc jego alarmem. Był alarmem dla wszystkich — bo Zwiadowca słał w przestrzeń sygnał: Do wszystkich! Do wszystkich! Do wszystkich! — ale w istocie ów sygnał głównie dla niego był przeznaczony. Przede wszystkim i przed wszystkimi — dla niego! Minęła zaledwie sekunda. Trwała jednak bardzo długo, bo ekran zamiast dać obraz Alfy — kabinę pilota czy kabinę łączności — jedynie zamigotał ulotnymi cieniami i od razu zgasł.

— Co to? — spytał Ion.

Robik położył mu rękę na ramieniu.

— Ion — szepnęła Alka.

Nie dosłyszał jej szeptu. Zagłuszył go Głos Zwiadowcy.

— Uwaga — mówił Zwiadowca. — Zakłócenia łączności. Włączam linię dodatkową. Ekran znowu rozświetlił się seledynowym blaskiem. Ale tym razem przed ich oczami nie zamigotały nawet cienie cieni.

Na szczęście jednak odezwał się głos. Był to głos Heleny Soggo!

— Ion! Słyszysz mnie?

— Słyszę — szepnął Ion.

— Ion! Słyszysz mnie?—powtarzała raz po razie.

— Słyszę! — krzyknął. — Słyszę!

Ona jednak jeszcze trzy razy pytała: „Czy mnie słyszysz?” Ion zamknął oczy. Tamci dwoje również odwrócili wzrok od ekranu, z którego szedł tylko głos, a na którym nie widziało się nikogo. Było to tak nieludzkie i przerażające jak kalectwo. Tym bardziej że na Alfie nie słyszano w ogóle ich odpowiedzi.

— Ion, kochanie — zaczęła mówić Helena. — Nie słyszymy was, nie widzimy. Ale jeśli mnie słyszysz, wydaj rozkaz Zwiadowcy, aby zaczął bezpośrednio przekazywać nasz raport do Bazy na Trytonie.

— Dobrze — szepnął Ion.

— Ion, kochanie—mówiła dalej — powtarzaj za mną formułę rozkazu.

— Tak, Heleno — powiedział Ion. Helena podniosła nieco głos.

— Uwaga, Zwiadowca! Przygotować się na przyjęcie rozkazów alarmowych.

Ion wstał.

— Uwaga, Zwiadowca... — i powtórzył tamto zdanie.

— Tak jest — odezwał się Zwiadowca. — Przyjmuję.

Helena mówiła:

— Od tej chwili...

Ion:

— Od tej chwili...

Helena:

— ... należy, po pierwsze: wszelkie raporty z kosmolotu Alfa przekazywać bezpośrednio do kosmolotu Beta, z którym utraciliśmy łączność, oraz do Bazy Głównej Tryton. Koniec rozkazu pierwszego.

Ion powtarzał słowo po słowie.

Z każdym zaś słowem stawał się coraz spokojniejszy. Nie ma tu miejsca, nie ma teraz czasu na żadne dziecięce krzyki, strachy, zamykanie oczu. Jego głos stwardniał.

— Koniec rozkazu pierwszego!—powiedział.

— Rozkaz przyjęty—odrzekł Zwiadowca.

Potem Ion zaczął za głosem matki powtarzać rozkaz drugi.

— Zwiadowca przechodzi pod bezpośrednie rozkazy obecnych na nim Iona Soggo, Alki Roj i Alka Roj. Koniec drugiego rozkazu.

— Rozkaz przyjęty — rzekł Zwiadowca.

— Ion — powiedziała Helena — mam nadzieję, że nasze słowa do was docierają. Bądźcie rozważni i odważni. Alfa pozdrawia was.

I od razu rozległ się lekko ochrypy głos pilota Alfy, Marima.

— Uwaga, Zwiadowca! Uwaga! Baza na Trytonie! Uwaga, wszyscy notujący! Mówi Alfa ze Zwiadowcy! Podajemy dane.

Na ekranie ponownie zamigotały iskry i cienie, linie i zygzaki. Głos pokrył się lekkim szumem. Na szczęście mimo owego szumu każde słowo było dokładnie słyszalne.

Kiedy Marim powiedział: „Uwaga, wszyscy notujący!” — Robik wstał.

— Notuję — rzekł.

Ion i Rojowie wstrzymali oddech.

Oto padł apel, którego działanie znali tylko z opowiadań o dawnych czasach i z ogólnych przepisów bezpieczeństwa. Ktokolwiek bowiem rzucał w przestrzeń takie właśnie hasło, każdy mechanizm pamięciowy, do którego ono dotarło, miał obowiązek notować wszelkie informacje i dane, słowa, symbole, liczby lub sygnały. Właśnie dlatego — mimo że słowa Marima zapisywała już wspinała pamięć Zwiadowcy i że biegły one w stronę Bazy na Trytonie — Robik także zaczął je zapamiętywać.

— Tu Alfa Zwiadowcy — mówił Marim. — Awaria kosmolotu na skutek zagarnięcia kosmolotu przez rzekę meteorów. Nie jesteśmy w stanie o własnych siłach wyrwać się z nurtu. Szybkość rzeki: najwyższa przypuszczalna rzędu osiem. Szerokość pasa: półtora, siedem, dziewiętnaście, koma, jeden. Kierunek...

Marim mówił szybko, lecz wyraźnie. Ekran znów był czysty. Trójka siedziała bez ruchu w fotelach. Tylko Robik stał wyprostowany i tak nieruchomy, że dopiero dzięki owej nieruchomości można było spostrzec, iż nie jest on człowiekiem, a tylko bezbłędną i doskonałą maszyną.

Marim powtarzał liczby i symbole. Podawał współrzędne miejsca, w którym Alfa została zaskoczona przez meteory — podawał dane o wielkości groźnego strumienia i kierunku, w którym ów ogromny strumień pędził przez sektory Dziesiątego Tysiąca.

Ion popatrzył na swoje ręce — drżały. Kiedy jednak spojrział w oczy Alki, zdołał się nawet uśmiechnąć. Zrozumiał, że musi być spokojny, bo oni są jeszcze przerażeni. Tak przerażeni, jak on sam przed chwilą. To znaczy: bardzo.

— Spokój — powiedział. — Czekają nas małe zajęcia. Nie ma czasu na smutki.

— Rozkaz przyjęty — uśmiechnął się dość blado Alek.

Alka milczała. W końcu powtórzyła to najgorsze zdanie z raportu Marima:

— Awaria kosmolotu na skutek zagarnięcia go przez rzekę meteorów.

— Słyszałem to już — powiedział Ion.

— Och, Ion, co dalej? — szepnęła Alka.

— Co dalej?—powtórzył Ion. — Jesteśmy na Dziesiątym Tysiącu.

— To trochę zobowiązuje — dodał Alek.

— Przepraszam — szepnęła Alka.

— Koniec raportu — mówił Marim. — Przypominam: Alfa nie ma łączności. Nie wiemy, czy nasz raport został przez kogokolwiek przyjęty. Od tej chwili Alfa nadawać będzie tekst raportu bez przerwy. Prosimy o pomoc wszystkich, którzy są w stanie jej udzielić. Beta, gdzie jesteś? Beta, gdzie jesteś? Tą Alfa.

— Uwaga na Alfie! Uwaga na Alfie! — zawołał jasny męski głos. Była to chwila wielkiej radości. Usłyszeli bowiem głos pilota Bety, czyli głos... Orma Soggi.

I oto ekran rozświetlił się obrazem czystym i jasnym: ujrzeli kabinę sterowniczą Bety. Przy tablicy sterów siedział Orm odwrócony do nich bokiem. Na powitanie skinął im tylko dłonią. Natomiast tuż nad nim wychylała się z ekranu poważna i pełna wielkiej czułości twarz Czandry Roj. Na jej widok Bliźnięta zerwały się z miejsc.

Czandra uciszyła ich jednym gestem.

— Ion — powiedziała. — Odebraliśmy alarm i raport Alfę w całości. Jesteśmy w drodze do nich. Nie znamy dokładnie stopnia ich awarii, ale chyba już na kolację przyholujemy Alnę do was. Bądź spokojny, Ion.

— Jestem spokojny — powiedział. Czandra uśmiechnęła się.

— A zatem do zleceń Heleny dodaję polecenia dodatkowe.

— Słuchamy! — krzyknęły Bliźnięta. Czandra spoważniała.

— Nie będziemy w stałej łączności z wami. Potrzebna jest nam cała własna energia i cała własna uwaga. Ale wy nie powinniście być pozostawieni sami sobie. Proszę się przenieść do Komory Centralnej. Macie prawo: jesteście teraz trójką jej dowódców. Proszę podzielić stanowiska podług wieku.

— Tak jest! — odpowiedzieli z powagą.

W głębi obrazu Soggo powtarzał bez przerwy: ... Uwaga na Alfie. Tu Beta... Uwaga na Alfie. Tu Beta..." Ani razu nie spojrzął w ich stronę. Dla niego istniała tylko tablica sterów.

Czandra mówiła:

— W Komorze Centralnej uzyskacie połączenie z Bazą na Trytonie. Oni wami pokierują. Zgoda?

— Jedno pytanie — powiedział Ion. Czandra dała znak oczami, że słucha.

— Czy z Alną jest bardzo źle?

— Nie wiem — padła odpowiedź. — Sądzę, że wkrótce ją do was przyholujemy. A jak tylko dowiemy się czegoś konkretnego, otrzymacie wiadomość. Bądź naprawdę spokojny, Ion.

— Będę — powiedział Ion.

Uśmiech Czandry rozświetlił cały ekran. Podniosła rękę.

— Do zobaczenia, dowódcy Zwiadowcy. Ekran zgasł.

Ion rozejrzał się po twarzach towarzyszy. „A więc nadeszła chwila próby — pomyślał. — Na kogo mogę liczyć?”

Jasne, że mógł najbardziej i najpewniej liczyć na Robika. Ostatecznie Roboty Opiekuńcze tworzono przede wszystkim z myślą o takich właśnie chwilach próby.

„Czy mogę liczyć na siebie? — myślał dalej. — Obiecałem” — odpowiedział sam sobie.

Potem spojrzął w oczy Rojów. I wtedy poczuł nagły przypływ nadziei: „Ach, damy sobie radę, ostatecznie jesteśmy ludźmi z Dziesiątego Tysiąca”. Od razu potem powiedział:

— Obejmuję dowództwo jako najstarszy. Bliźnięta skinęły głowami.

— Jako młodszy o godzinę od Alki będę drugim zastępcą — rzekł Alek.

— Tak — potaknęła Alka. — Podług wieku jestem pierwszym twoim zastępcą, Ion.

— Będę stanowić waszą załogę, dowódcy — rzekł Robik. Ion skłonił się:

— Dziękuję. Proponuję taki porządek postępowania: a) przejście do Komory Centralnej, b) uzyskanie od Zwiadowcy wyjaśnień na temat położenia i sytuacji Alfę podług raportu Marima, c) połączenie z Bazą na Trytonie i uzyskanie dalszych poleceń, d) o ile to możliwe

— stałe obserwowanie Bety. Zgoda?

— Zgoda — skinęły głowami Bliźniaki. Robik natomiast potrząsnął głową.

— Proszę o wydanie Zwiadowcy rozkazu w mojej sprawie. Ja, jako robot, nie mam prawa wstępu do Komory Centralnej bez wyraźnego rozkazu dowódcy. Proszę o uprawnienia człowieka.

Ion już chciał wydać rozkaz, ale uprzedziła go Alka.

— Przepraszam — Mam uwagę.

— Słucham — rzekł Ion.

— Jestem za tym, żeby dać Robikowi tylko część uprawnień.

— Słusznie — rzekł Alek.

Ion chciał się oburzyć. Jak mogła okazywać nieufność wobec Robika?!

— Pełnię uprawnień — mówiła Alka — może otrzymać tylko pełny człowiek. Robik nie jest człowiekiem.

Ion mimo wszystko był trochę obrażony — za Robika, który oczywiście wcale obrażony nie był.

— Jaką część? — spytał Ion nieco ironicznie.

— Do pierwszego zastrzeżenia — odpowiedziała. — To mój wniosek.

— Zgoda — rzekł Alek.

Ion jeszcze chwilę milczał. Już musiał ustąpić — był w mniejszości. Chciał jednak zgodzić się z własnej woli. Trwało to sekunde.

„Istotnie, tylko pełny człowiek...” — pomyślał jej słowami.

— Zgoda — rzekł. Potem podniósł głos:

— Uwaga, Zwiadowca, wydaję rozkaz.

— Przyjmuję — rzekł posłuszny Głos Zwiadowcy.

— Od chwili obecnej do pierwszego zastrzeżenia zgłoszonego przez któregokolwiek z ludzi obecny tu Robot Opiekuńczy pochodzenia saturnijskiego, nr 169371, seria WCA, otrzymuje prawa człowieka.

— Przyjęte — powiedział Zwiadowca.

Robik wyprostował się tak, jak to czynią ludzie dumni z zasłużonego zaszczytu.

— Teraz — mówił dalej Ion — proszę przenieść nas wszystkich do Komory Centralnej.

— Tak jest — odpowiedział Głos. — Proszę usiąść w fotelach. Usiedli.

Fotele ruszyły z miejsca i ustawiły się w czworobok. Czworobok przesunął się na powierzchnię widniejącego w pośrodku komory błękitnego kwadratu szybkiej windy.

Natychmiast z podłogi wyskoczyły ścianki i daszek windy. Znowu nastąpiła chwila zmroku, lekkiego zamglenia myśli, lekkiego zmaczenia oddechu.

Po dwu sekundach znaleźli się w stosunkowo niewielkiej, okrągłej sali o lekko świecących ścianach i wielkim wielopłaszczyznowym ekranie.

— Tu Pierwszy Zwiadowca — odezwał się Głos i tym razem odzywał się tuż przy nich, niemal szeptem i z bliska. — Jesteście w Komorze Centralnej.

Głos dodał jeszcze, po ledwo uchwytej pauzie:

— Gotowy do przejmowania zleceń.

— Dziękuję — odpowiedział Ion.

Wszyscy pięcioro — to znaczy: Alka, Alek, Ion, Robik i Zwiadowca — jeszcze przez sekundę milczeli. Zza przezroczystych ścian Komory Centralnej płynęła delikatna, przypominająca światło ziemskiego księżycy poświata.

Było bardzo cicho.

\*\*\*

Sygnal alarmu dotarł już do Marsa, a wkrótce miał osiągnąć Ziemię. W tym czasie w Komorze Centralnej Zwiadowcy Ion wydał pierwszy swój rozkaz.

— Uwaga, Zwiadowca — powiedział Ion. — Rozkazuję przetłumaczyć nam liczbowy raport Marima z Alfya na określenia potoczne.

Głos odezwał się z minimalnym jakby opóźnieniem:

— Czy to rozkaz dowódców?

— Tak, tak, tak—padły trzy szybkie odpowiedzi. Robik w zamyśleniu pochylił głowę. Jedna ze ścian zaczęła nieco mocniej pulsować światłem.

Głos mówił:

— W sektorze AM, 1128, 43, OS, 11... na drodze Dziesiątego Tysiąca kosmolot Alfa został zaskoczony przez rzekę meteorów. Podejrzewa się błąd w aparatach wykrywających. Opóźnienie było rzędu dwadzieścia dwie setne sekundy, a więc bardzo duże. Na skutek tego kosmolot Alfa dostał się w główny nurt rzeki meteorów. Doznał przy tym awarii środków telełączności, głównie zespołów radarowych. Z tego też powodu musiał zastosować swój kurs i swoją szybkość do rzeki meteorów.

— Leci wraz z nią?—spytał bardzo cicho Ion.

— Tak jest. Przy każdej próbie wyjścia z nurtu może kosmolotowi grozić zderzenie. A nawet rozbitcie.

— A w którą... — zaczęła Alka nowe pytanie — ... w którą stronę dąży rzeka?

Głos od razu i bardzo uprzejmie odpowiedział:

— Poza granicę systemu słonecznego.

— Z jaką szybkością?! — krzyknął Ion.

— Około stu tysięcy na sekundę. Oczywiście — dodał głos — stu tysięcy kilometrów. W chwili nadawania raportu było to mniej więcej dokładnie...

— Stop — przerwał Ion, a w jego głosie chyba po raz pierwszy dziś odezwało się echo rzeczywistej rozpaczy. — Mów: jakie są szanse ratunku? Kto przy tej szybkości może dogonić i uratować Alfę? A przede wszystkim: jak ją można uratować?

Zwiadowca przez dłuższą chwilę musiał pracować nad odpowiedzią. Pytania były trudne.

Przez moment wydawało się, że tuż obok nich słychać jego lekko wysiłony oddech.

— Uwaga, odpowiadam — powiedział w końcu Głos. — Szansę ratunku istnieją. Musi być jednak spełniony szereg warunków. Bardzo trudnych warunków.

Ion z najwyższym trudem powstrzymał się przed okrzykiem "jakich?", Alka przesłoniła usta dłonią, Alek zamknął oczy. Jeden Robik siedział rozparty wygodnie w fotelu.

Patrząc na jego spokojną, mądrą twarz Ion poczuł, że raz jeszcze wraca mu żywa nadzieja. „Pomożesz, przyjacielu — myślał. — Prawda?”

Robik zaś, jakby usłyszał to nieme pytanie, skinął w odpowiedzi głową.

— Jeśli chodzi o ratunkową rakietę — mówił dalej Głos — to ze względu na awarię łączności na Alfie rakietą jest prawie bezradna. Nie potrafi ich odnaleźć.

Alek zerwał się na nogi.

— Co to za „ratunkowa” rakietą? — krzyknął. — Wystarczy, żeby łączność wysiadła, i co? Od razu szmelenie?!

— Ależ — odpowiedział grzecznie Głos — łączność się nigdy nie psuje.

— Przecież teraz się zepsuła.

— Tak. Ale w istocie nigdy się nie psuje. Ion zmęczonym ruchem ujął Alka za ramię.

— Daj pokój. On ma rację.

— Odpowiadać dalej?—spytał Zwiadowca.

— Odpowiadaj.

— O wiele większe szansę od rakiety ma kosmolot Beta — ciągnął dalej Głos. — Ale i jego szansę nie są zbyt pewne.

— Jaki jest stopień prawdopodobieństwa, że akcja Bety się uda? — pytał dalej Ion.

Głos się zawahał.

— Na razie brak bliższych danych — odrzekł dopiero po chwili namysłu. — Ale przypuszczam, że mniej więcej jak jeden do dwustu lub dwustu pięćdziesięciu.

— A jak z... z bezpieczeństwem Bety? — spytała niby obojętnie Alka.

— Wszystko zależy — odpowiedział — od rodzaju akcji, jaką Beta podejmie.

W Głosie brzmiało coś jakby rozbawienie. Pytanie nie było zbyt ścisłe.

— Odpowiadaj dalej — powiedział przez zęby Alek.

— Tak jest — pośpiesznie przytaknął Głos. — Odpowiadam.

Z Bazy na Trytonie — mówił Głos — wystartowały cztery eskadry Wielkiego Pogotowia, czyli w sumie osiemdziesiąt kosmolotów. Ich odległość jednak od miejsca katastrofy jest zbyt duża. Pogoń mogłaby trwać zbyt długo i im samym zagrozić niemożnością powrotu do Bazy. Dlatego też ich szansę są około pięćdziesiąt razy mniejsze niż w wypadku Bety.

— Mów natychmiast — powiedział Ion. — Czy ktoś w ogóle potrafi pomóc Alfie? Tu nagle wtrącił się Robik.

— Mieliśmy połączyć się z Bazą—powiedział.

Zwiadowca, umilkł. Robik miał obecnie uprawnienia człowieka — i jeśli wyraził sąd odmienny niż tamci, Zwiadowca musiał czekać na decyzję głosowania dowódców.

— Jak możesz?! — krzyknął Ion. — Robik! Ale natychmiast opanował się.

— Dlaczego przeszkadzasz w takiej chwili? — spytał.

— Przypominam tylko — tłumaczył się nieśmiało Robik — co mówiła Czandra.

Ion uderzył pięścią w kolano.

— Baza może jeszcze chwilę poczekać. Ja żądam odpowiedzi. Uprzedzam — tu głos Iona stał się jak lód. — Głosują tylko dowódcy.

— Żądam odpowiedzi — powiedziała Alka.

— Ja również — dodał po chwili wahania Alek.

— Tak jest, odpowiadam — powiedział Głos. — Bardzo poważne szansę ma... — I nagle urwał.

Natomiast na ekranie telekomunikacji zabłysnął nagle czerwony jak blask Marsa sygnał.

— Uwaga, uwaga! — rzekł spiesznie Głos. — Baza Główna na Trytonie żąda natychmiastowego połączenia. Łączyć czy... odpowiadać dalej?

Ion trochę bezradnie spojrzał na Rojów, ale widać było, że i oni nie wiedzą, co właściwie odpowiedzieć. Robik również milczał. Usta mu się jednak ułożyły jak do słowa „łączyć”.

— Łączyć — powiedział Ion.

Przed chwilą Zwiadowca powiedział, że „bardzo poważne szansę ma...”

Kto? Kim jest ów ktoś, kto ma bardzo poważne szansę?

Czyżby w okolicy znajdował się jeszcze jakiś inny astrozwiadowca?

— Łączyć! — zawołał z nagłą radością Ion, bo pomyślał, że ci z Bazy pewnie już wiedzą.

— Łączyć! — powtórzyły zgodnie Bliźniaki.

Na ekranie Komory Centralnej ukazało się wewnątrz niewielkiej sali, a w niej dwoje ludzi. Na ich widok Ion i Rojowie wstali.

— Witajcie — zawołał wspaniałym basem mężczyzna. Kobieta tylko z uśmiechem skinęła głową.

Byli to główni projektanci Zwiadowcy i „Ziemi” — Dolores Li oraz Mike Antonow. Ruda, w średnim wieku kobieta o skośnych oczach i oliwkowej cerze oraz wspaniały olbrzym o grzywie siwego lwa.

— Witajcie — powiedział Ion.

Wszyscy czworo wraz z Robikiem pochylili głowy w ukłonie. Było się komu uklonąć.

Mike wszedłna sam brzeg ekranu. Było to tak, jakby znalazł się już w komorze.

— Łączyliście się z opóźnieniem — powiedział, Ion skinął głową.

— Chcieliśmy znać sytuację. — Znacie?

— Najogólniej.

Mike spojrzałna Dolores. Potem zwrócił głowę w bok — przyglądał się jakiemuś niewidocznemu dla tych ze Zwiadowcy ekranowi. Równocześnie, kiedy Mike umilkł, usłyszeli w głębi bezustanny, przyciszony głos jakichś raportów: liczby, liczby, liczby... Mike znów zwrócił twarz ku wpatrzonym w niego nowym dowódcom Pezeta.

— Czy Zwiadowca wytłumaczył wam, kto przede wszystkim potrafi uratować Alfę?

Ion potrząsnął głową.

— Nie zdążył.

Mike znowu poradził się wzrokiem Dolores. Ona też podeszła bliżej do brzegu ekranu.

— Macie jeszcze czas — powiedziała niby do nich, ale w gruncie rzeczy do Mika.

Ion zacisnął zęby.

— Przepraszam — odezwał się ostrzejszym nieco głosem, niż zamierzał. — Jestem zdania, że już teraz powinienem dowiedzieć się, kto ma szansę uratować moją matkę.

Antonow skinął głową.

— Masz rację, Ion — powiedział.

Jego wielka, czarna twarz o ściągłych, prostych rysach pełna była serdecznego współczucia.

— Masz rację — powtórzył. — Rzecz tylko w tym, że aby uzyskać naprawdę ścisłą odpowiedź, musimy jeszcze trochę poczekać.

— Więc jak wolicie? — spytała z powagą Dolores. — Czy znać pół prawdy już teraz? Czy całą za...

— Za? — spytała Alka..

— Za osiemnaście minut.

— To bardzo długo — powiedziała Alka.

— Poczekamy — powiedział Ion.

Dolores i Mike kiwnęli z uznaniem głowami.

— Masz rację, Ion — powtórzył z dyskretnym szacunkiem Antonow. I nagle uśmiechnął się, co było aż niesamowite: dwa rzędy olśniewających zębów błysnęły w czarnej twarzy jak biały ogień.

— Zwiadowca ma nowych dowódców — powiedział.

I nagle coś wpadło mu do głowy, coś tak nieoczekiwanego, że aż uderzył się w czoło.

— Przecież... — powiedział ze zdumieniem — przecież każde nowe dowództwo Zwiadowcy ma prawo żądać od nas, z Bazy Głównej, raportu. W sytuacji alarmowej jesteście moimi przełożonymi.

— Mike — powiedziała ostro Dolores.

— Czekaj — przerwał jej. — Bywasz, siostrze, geniuszem technicznym. Ale jeśli chodzi o umiejętności wychowawcze, to nie wyszłaś poza epokę przedpotopową. — A ty?!

— A ja jestem już co najmniej w piątym wieku naszej ery — rzekł łagodnie Antonow.

Potem zaś stanął naprzeciw nich, prostując pochyłe plecy, spojrzał na Dolores tak, że już bez słowa stanęła obok niego, i przemówił głosem tak poważnym, iż wszelkie żarty z góry można było wykluczyć.

— Kierownictwo Bazy Głównej w osobach Mika Antonowa i Dolores Li melduje się nowemu dowództwu Pezeta. Jesteśmy do waszej dyspozycji.

Ion i Alek w takiej sytuacji po prostu stracili głowy. Obaj zaczerwienili się niczym płomieniste piwonie z ogrodów Zwiadowcy. Natomiast Alka uśmiechnęła się swym najgrzeczniejszym i najbardziej antypatycznym uśmiechem.

— Bardzo nas to cieszy. Ale co w istocie znaczy „do dyspozycji“?

Dolores zachnęła się gniewnie, Mike jednak chwycił ją za przegub dłoni.

— Proszę — powiedział. — Mamy obowiązek złożyć wam raport na każdy temat, jakiego zażądacie.

Ion nagle drgnął. Uprzytomnił sobie, co to może znaczyć „raport na każdy temat“. Musiał odchrząknąć. Na moment ze wzruszenia zawiódł go głos.

— Chciałbym się dowiedzieć — powiedział w końcu — czy macie już sprawozdanie z wypadku Alfy... na wizji?

— Ach — westchnął Alek. — Rozumiem.

— I czy będziecie mogli dać nam we właściwej porze pełny obraz akcji Bety? — spytała szeptem Alka.

Antonow skinął głową.

— Tak.



— Jestem przeciwna — powiedziała nienaturalnie ostrym głosem Dolores.

Ion podszedł do samego ekranu. Było to tak, jakby stanął tuż obok niej.

— Dlaczego? — spytał cicho. — Dlaczego nie jesteś naszym przyjacielem?

Dolores bardzo zbladła.

— Ion! — powiedziała. — Niczego nie rozumiesz. Potrząsnął nieufnie głową.

— W takim razie... wytłumacz. Żebym zrozumiał. Rozłożyła bezradnie ręce. Brakło jej słów.

Zmarszczyła swą mądrą twarz jak w nagłym ataku bólu.

— Ja po prostu... ja chciałam oszczędzić wam tych wszystkich widoków.

— Dlaczego?

— Bo... mi was żal.

Ion opuścił w nagłym zmieszaniu wzrok. W oczach Dolores Li — wielkiej Dolores — ujrzał nagle dwie łzy. A przecież widok Dolores Li płaczącej był widokiem absolutnie przez nikogo nie oczekiwanym.

— Rozumiem — powiedział cicho Ion. — Ale my powinniśmy wiedzieć i widzieć możliwie najwięcej.

— Żądamy tego — rzekł twardo Alek. Dolores spojrzała na Antonowa.

— A widzisz? — powiedział.

Skinęła głową.

— Poza tym — mruknął Antonow — to, co zobaczą może mieć duże znaczenie na później.

Ion od razu chciał zapytać, dlaczego to może mieć duże znaczenie na później, ale nie zdążył, bo obraz Mika i Dolores nagle się zmniejszył i przesunął w dolny, boczny segment ekranu.

— Uwaga — powiedział Mike — nadajemy na wizję sprawozdanie z wypadku kosmolotu Alfa.

Ion jeszcze na sekundę zamknął oczy.

W tym momencie poczuł w swojej dłoni dłoń Alki.

— Ion — szepnęła. — Przecież to już było. „Nieprawda — pomyślał. — To jeszcze ciągle trwa”. Antonow powiedział:

— Raport nasz stwierdza, iż dzień pracy kosmolotu Alfa rozpoczął się normalnie.

Na ekranie znowu otwarła się czarna brama kosmicznej przestrzeni. Był to sektor AM, 1128, 43, 08, 11 — sektor przewidzianych na ten dzień zajęć i badań Alfę.

W głębi — za oceanem czerni, mrozu i ciszy — lśniły i świeciły białym światłem gwiazdozbiory Centaura, Łucznika i Orła.

Potem, w planie pierwszym, ukazał się niewielki, świecący zielonkawym światłem wrzecionowaty kształt. Była to Alfa.

Kosmolot wypłynął z lewej strony ekranu i zatrzymał się nieruchomo.

Ekran dokonał zbliżenia. Teraz kosmolot ukazał się już całkiem wyraźnie. Widać było nawet zupełnie dokładnie drobne sylwetki kilku członków załogi opuszczających statek.

Antonow odezwał się znowu:

— O godzinie jedenastej zero zero — mówił — Alfa zajęła pozycję stałą w przewidzianym na dzień dzisiejszy sektorze. Ośmiu członków załogi, wśród nich Helena Soggo, opuściło Alfę i rozpoczęło wykonywanie przewidzianych namiarów. Oddalili się od Alfę na odległość nie większą niż sto kilometrów. Do godziny jedenastej pięćdziesiąt dziewięć załoga kosmolotu pracowała bez przeszkód.

Obraz przez kilka sekund drgał jak zmacona wiatrem tafla wody, bo Antonow gwałtownie przyspieszył odtwarzanie obrazu, by jak najszybciej przeskoczyć do właściwego momentu.

Ion splótł palce, aby ukryć ich drżenie. „To już było — powtarzał sobie. — To wszystko, co tu widzisz — myślał — stało się już wcześniej i teraz tylko wraca z przeszłości”. Cóż jednak

mogły pomóc te rozsądne tłumaczenia. Prawda, że wszystko już się stało. Ale przecież patrzył na zdarzenie, które w sposób śmiertelny groziło najbliższemu na świecie człowiekowi. Helena

— spokojna i mądra, zawsze myśląca o tym, by nie było między matką a synem tajemnic, w najgorętszych okresach pracy pamiętająca o godzinnej rozmowie z synem, jeśli nawet byli od siebie oddaleni o miliony kilometrów. Helena, wielki, wspaniały pilot Helena Soggo — a zarazem przyjaciel i współnik każdej zabawy, współtowarzysz wycieczek na powierzchnię Saturna, najweselszy z przyjaciół.

Ion chciał po prostu zamknąć oczy. Odetchnąć głęboko raz i drugi. „Jesteś tu najstarszy — upomniał sam siebie — jesteś tu dowódcą. Pamiętaj, że na drodze Dziesiątego Tysiąca nie ma miejsca dla płaskiwych mazgajów. Nie jesteś sam”.

Czuł obok siebie obecność przyjaciół, słyszał ich oddechy. Przez myśl — jak promień światła i blask nadziei — przemknęło przypomnienie Pierwszego Prawa Wszystkich Kosmonautów: Nikt nie jest sam i nikt nie pozostanie samotny wobec niebezpieczeństwa Kosmosu. Podniósł głowę.

— O jedenastej pięćdziesiąt dziewięć aparaty wykrywające ogłosiły alarm — powiedział swym niezwykłym basem Antonow.

Na ekranie sylwetka Alfę zamigotała alarmowym światłem. Pozostający na zewnątrz ludzie zostali ściągnięci do kosmolotu w mgnieniu oka — pozostawiając za sobą tylko smugi alarmowych świetlnych pasm.

Równocześnie w głębi ekranu ukazał się jakiś cień.

Była to chmura czerni — widoczna tylko dzięki temu, że od chwili wejścia w pole ekranu zaczęła się przesuwac coraz bardziej ku jego środkowi, kolejno przesłaniając światła dalekich mgławic i gwiazd.

Kosmolot — widać to było wyraźnie — już wystartował. Nie zdołał jednak w dostatecznym czasie osiągnąć szybkości, która pozwoliłaby mu uciec przed nadchodzącą kosmiczną falą. I oto czarna chmura ogarnęła Alfę ze wszystkich stron.

Kosmolot próbując ucieczki wystrzelił jedną, drugą, trzecią serię przeciwmeteorowych płomieni. W ich olśniewającym blasku rozsypywały się w popiół ogromne bryły — Czarna Rzeka zapłonęła nagle na cały ekran srebrnym światłem. Obrona była jednak w gruncie rzeczy daremna, Alfa jedynie zdołała przebić, sobie przez ścianę meteorów drogę do ucieczki. Potem jeszcze rozbłysły dwie dalsze serie — i koniec: Alfa była bezbronna.

Teraz mogła już liczyć tylko na pomoc z zewnątrz.

Jeszcze przez chwilę wszyscy patrzyli w milczeniu, jak w czarnej fali migocze drobne, wrzecionowate światełko — i Antonow nagle przerwał wizję.

— Oto na razie wszystko — rzekł. — Uważam, że należał się wam obraz prawdy.

— Dziękuję — powiedział Ion.

— Jak to się mogło stać? — spytała Alka.

Antonow rozłożył ręce. Wskazał na Dolores, która zmrużyła nieco oczy.

— Od pierwszej chwili prowadzimy śledztwo — rzekła.

— Śledztwo? — zdumiał się Alek. — Przeciw komu? Dolores skinęła głową.

— Jedyne tłumaczenie tego, co widzieliśmy, to niedokładność w działaniu aparatów wykrywających. W tej chwili przeprowadza się śledcze badania wszystkich zespołów maszynowych wytwarzających aparaty tego typu, jakie ma Alfa.

— Oczywiście — mruknął Robik — znowu wszystko będzie na maszyny.

Alek udał, że nie słyszy. Inni zaś naprawdę nie dosłyszeli. Tym bardziej że Alka zwróciła się do Antonowa:

— Kiedy Beta wejdzie do akcji?

Antonow skierował wzrok na tarczę wielostopniowego zegara kosmicznego. Chwilę milczał. Potem rzekł:

— Od tej chwili... za cztery minuty Czy włączyć jej obraz już teraz?—spytał.

— Tak — powiedział twardo Alek.

— Tak — powiedziała Alka.

W tej chwili do sali w Bazie Głównej wszedł niski, drobny mężczyzna o charakterystycznej, ceglastej cerze ludzi z Marsa. Poznali go od razu. Był to jeden z najgłośniejszych pilotów wielkich szybkości, słynny niszczyciel meteorowych ławic, mistrz bojowego pilotażu. Nazim Sumero.

— Witajcie — rzekł.

Odpowiedzieli ukłonami. Potem spokojnie usiedli w fotelach.

Nazim był jednym z najodważniejszych ludzi świata. Miał za sobą kilka takich lotów w bezpośredniej bliskości Słońca, które dały bezcenny materiał nauce, a które równocześnie stały się żywą legendą o ludzkiej odwadze. W obecności takiego człowieka nie można sobie było pozwolić na dziecinady.

— Włączam obraz Bety — powiedziała Dolores.

A więc znowu ukazały się na ekranie pustka i czerń, znowu wionął od niego mróz głuchej przestrzeni.

— Jeszcze dwie minuty — powiedział Mike.

W lewej stronie ekranu ukazała się zielona smuga. Była to lecąca w nadszybkości Beta. Na Zwiadowcy i w Bazie widok jej rozedrganej pędem sylwety przywitało skupione milczenie. Oto bowiem w głębi obrazu znów ukazał się wielki, czarny cień rzeki meteorów, która porwała Alfę. Wśród brył owego nurtu znów zamigotało jasne wrzeciono pierwszego kosmolotu.

Beta zaczęła szerokim łukiem i nieco skośnie podchodzić do skrajów ciemnej chmury.

— Tak — powiedział po chwili Nazim. — Orm chce wykorzystać — jedną jedyną szansę.

Da się porwać przez nurt i lecąc wraz z nim będzie próbował wybić drogę do Alfy.

Potem już nie odezwał się nikt ani słowem.

Beta weszła w nurt rzeki meteorów — gładko jak igła w wodę. Wydawało się, że to normalny, codzienny manewr. Dopiero po chwili błysnęły jej bojowe ognie.

Orm, pilot Bety, od pierwszego starcia postępował o wiele rozważniej niż Marim z Alfą.

Nie torował sobie drogi całymi seriami przeciwmeteorowych płomieni. Strzelał pojedynczo.

A każdy błysk sięgał celu. Jedna za drugą płonęły bryły meteorów, przemieniając się w obłoki rozjarzonej mgły i świecących popiołów.

Był to widok wspaniały, jak na pokazie. Mogło się wydawać, że po prostu oglądają instruktażowy film dla użytku pilotów bojowych, którzy od wieków już mieli za zadanie oczyszczać drogi komunikacyjne z meteorowych ławic, ochraniać planety i księżycy przed niespodziankami wędrujących przez nieskończoność meteorowych strumieni.

Ale oto nagle w pewnej chwili Beta musiała jakby uskoczyć w bok i natychmiast potem wystrzeliła po raz pierwszy całą serią płomieni. Widać jednak było, że tu coś nie jest w porządku. Rzeka meteorów rozjarzyła się wielkim słupem ognia, Beta zaś znalazła się tuż przy Alfie.

Jeszcze jedna seria i jeszcze jedna, i... nagle Beta musiała cofnąć się gwałtownym skokiem, po którym nastąpił drugi i trzeci. Widać było, że kosmolot musi dokonywać szybkich jak myśl uskoków, że zapewne w którymś momencie zagroził mu cały ciąg zabójczych zderzeń. Kosmolot mógł się obronić przed nimi tylko w jeden sposób: a mianowicie wielką serią pozytronowych płomieni.

A zatem wyczerpał amunicję! I oto tak, od tej właśnie złej chwili, w pułapce Czarnej Rzeki znalazły się oba kosmoloty. Co gorsza — w sekundę później martwe milczenie przyglądających się owej scenie ludzi przerwał niespokojny Głos Zwiadowcy:

— Uwaga, uwaga! Beta traci łączność. Beta traci łączność!

— Co, u miliarda parseków?! — zaklął wściekle Antonow. — Co znowu z ich łącznością?!

— Podejrzewam — powiedziała Dolores — że Rzeka ma jakieś szczególne właściwości, które...

— To pewne — przerwał jej Nazim. Chciał coś jeszcze dodać, ale umilkł. Oto bowiem Alka podeszła aż do samego ekranu, do tego samego miejsca, co przedtem Ion. Potem wyciągnęła rękę do Antonowa.

— Mów — powiedziała. — Mów, co teraz?

Ale zanim Mike zdołał odpowiedzieć, do Alki podbiegł jej brat.

— Teraz my, Alka — powiedział. Antonow zachnął się ze zdziwieniem.

— Domyśliłeś się? — spytał.

— Tak — powiedział Ion. — Ja też. Szansę Bety były zbyt małe. Natomiast jedyne i bardzo poważne szansę uratowania ich wszystkich mają tylko ci, którzy od pierwszej chwili alarmu podążają na pomoc. To znaczy: Zwiadowca i my.

— Czy tak? — spytała Alka.

— Tak — odpowiedzieli jednym głosem Mike Antonow i Nazim Sumero.

— Radźcie, co robić? — zażądała Alka.

\*\*\*

Alarm Zwiadowcy dotarł już do Ziemi, a wkrótce miał osiągnąć strefę Merkurego i Stacje Przysłoneczne. Tak więc sprawę Zwiadowcy poznała już ogromna większość ludzkości. Po upływie niewielu minut wszędzie, gdziekolwiek znajdowali się ludzie — wiadano o katastrofie na Dziesiątym Tysiącu. Zewsząd biegły ku sektorowi Dziesiątego Tysiąca ludzkie myśli, niepokoje i nadzieje. Pierwsze Prawo Kosmosu, ustanowione jeszcze w początkach ery, brzmiało: „Nikt nie pozostaje sam wobec Kosmosu”. Ludzie byli wierni temu prawu. A myśleć o katastrofie znaczyło przede wszystkim: myśleć o sposobach pomocy.

Tak też było.

Najwybitniejsi uczeni ludzkiego świata, najznakomitsi piloci bojowi, najbardziej doświadczeni ratownicy kosmiczni wysilali swe umysły, by wynaleźć sposób ratunku dla zaginionych w meteorowej rzece załóg ze Zwiadowcy.

W bilionach ludzkich osiedli i mieszkań ludzie kierowali swą myśl ku nawiedzonym katastrofą tym z sektora Dziesiątego Tysiąca. Biliardy teleekranów przekazywały zapierające dech w piersiach raporty z obu wypadków porwania kosmolotów przez „rzekę” (znaną później ogólnie pod nazwą Czarnej Rzeki). Nie będzie żadnej przesady w twierdzeniu, że od chwili, w której alarm ze Zwiadowcy dotarł do całej ludzkości, ogromna jej część poświęcała tym z Dziesiątego Tysiąca najgorętsze swe uczucia i najbystrzejsze myśli.

Równocześnie jedna tylko prawda była pewna i rozumieli ją niemal wszyscy.

Mówiły o niej mechanomózgi. Powtarzali ją ludzie. Myśleli o niej też i ci, których Czarna Rzeka niosła w niepojętą pustkę Wszechświata. A mianowicie: że jedynymi ludźmi, którzy mają naprawdę poważną szansę uratowania obu kosmolotowych załóg, byli ci, którzy właśnie w tej chwili znajdowali się na Zwiadowcy.

Czyli: Ion Soggo — czternastoletni chłopiec urodzony w saturnijskiej stolicy Akrze — oraz para Bliźniąt z Ziemi, czyli Alek i Alka Rojowie.

Z łatwo zrozumiałych względów nie włączono na ogólnoswiatową wizję obrazu Komory Centralnej Zwiadowcy, w której znajdowała się ta trójka. Obraz ten jednak przy swoich ekranach obserwoowało w najwyższym napięciu kilka tysięcy rzeczoznawców, powołanych do sztabu Akcji Ratowniczej. Niezależnie bowiem od ochotniczych zgłoszeń z wszystkich księżyców i planet — oni właśnie byli tymi, których wezwano do obmyślenia najlepszej akcji ratunkowej.

Trzeba tu dodać, że kiedy Alka spytała: „Co mamy robić?”, i kiedy we troje podeszli do ekranu patrząc na Antonowa i czekając rozkazów, myśli ogromnej większości wszystkich ludzi potoczyły się tym samym torem.

Wyglądały zaś owe myśli mniej więcej tak: „Bardzo byłbym dumny (lub: byłabym dumna),

gdyby to były moje własne dzieci".

Antonow pochylił ku Alce swą piękną czarną twarz.

— Byłbym dumny — powiedział dudniąc basem jak wzruszonym dzwonem — gdybyście byli moimi dziećmi.

Alce błysnęły oczy.

— Wybacz — rzekła. — Ale ja przed chwilą spytałam: co mamy teraz robić? Czemu nie odpowiadacie?

Antonow skłonił się tak głęboko, że pasmo włosów znów opadło mu na oczy.

— Przepraszam was — i przeprosił także gestem. — Ale miałem prawo jeszcze chwilę poświęcić pochwałam. Pozostał nam dość poważny zapas czasu, zanim Zwiadowca dogoni rzekę i zanim będziecie mogli wejść do akcji.

— Jaki zapas? — spytał Ion.

— Sto pięćdziesiąt sześć minut — odpowiedziała z uśmiechem Dolores. — Pozwólcie powiedzieć sobie, że ja też byłabym bardzo dumna, gdyby...

Alka zachnęła się tak, że Dolores po prostu urwała swoje zdanie w pół słowa, a uśmiech zamarł jej na wargach. Alka jednak przeprosiła ją już po sekundzie.

— Wybacz — powiedziała. — Zachowuję się jak dziecko. Ale jestem naprawdę zdenerwowana. Bo ja... — Tego ostatniego zdania nie dokończyła.

Jak miało brzmieć dalej? Specjaliści obserwujący całą tę scenę w dziewięćdziesięciu wypadkach na sto podali taki dalszy ciąg owego zdania: „(bo ja)... bardzo kocham Czandrę i Jana”. Pozostali twierdzili, że miało brzmieć: „(bo ja)... bardzo ogromnie kocham Czandrę i Jana”.

Alka jednak nie byłaby sobą, gdyby podobne zdanie wypowiedziała na głos. Potarła tylko dłonią czoło i to był taki gest, jak płacz.

— Mike — powiedział Ion. — Jesteśmy oczywiście bardzo dumni z tego, że wy bylibyście bardzo dumni, gdyby, i tak dalej. Ale najbardziej chcielibyśmy poznać swoje możliwości i wreszcie się dowiedzieć, co mamy do zrobienia.

W tej chwili w salce dowództwa Bazy, w której znajdowali się Mike i Dolores, rozległy się dwa głębokie uderzenia gongu. Był to sygnał świadczący, że Supermózg Bazy skończył opracowywać powierzone sobie zadania.

— W samą porę spytałeś — powiedział Nazim, Mike zaś zwrócił się do Alki z przepaszającym uśmiechem.

— Widzisz, kochanie? — rzekł. — Nie byliśmy tak bardzo winni, jak się wam wydawało. Po prostu też czekaliśmy na... niego.

Tu wskazał ruchem głowy zielone światelko świecące w tylnej ścianie salki. Było to oko Supermózgu, które z łagodną satysfakcją oraz poczuciem dobrze spełnionego obowiązku mrugało do nich zieloną swą źrenicą.

A więc — powiedział głębokim basem Mike — uwaga.

Ion w ułamku sekundy pomyślał o tym, że cokolwiek i kiedykolwiek w życiu przeżyje — jeśli w ogóle uda mu się przeżyć ten dzień — to ta właśnie chwila rozpoczyna największe zdarzenie jego życia.

Antonow mówił:

— Program działania, który tu usłyszycie, jest dziełem pracy ośmiu tysięcy specjalistów Bazy. Od pierwszej chwili alarmu na Zwiadowcy przedłożyli oni szereg wniosków Supermózgowi Trytona. Supermózg dokonał wyboru, aby znaleźć najlepszy z najlepszych.

— Musicie wiedzieć — powiedział Nazim — że w programie tym uwzględniono również wnioski przekazane ochotniczo z wszystkich planet i księżyców systemu słonecznego. Około stu milionów.

— Dziękujemy — powiedziały Bliźnięta.

— Przy okazji — dodała Dolores — jedna informacja: otrzymaliście kilkaset razy więcej pozdrowień i życzeń.

— Dziękujemy — powiedziały Bliźnięta. Mike Antonow mówił dalej:

— Zadaliście pytanie: co macie robić?

Tu zwrócił się ku świecącemu oku Supermózgu.

— Hej, Super—mruknął. — Daj no nam schemat.

Super bez słowa wyświetlił najprostszy i najbardziej przejrzysty schemat miejsca katastrofy. Była to zwykła biała mapa nieba z naniesionymi informacjami. Mapa nieba oglądanego z sektora Dziesiątego Tysiąca.

Na tle tej mapy Super wyświetlił długą, czarną, grubą wstęgę, która rojem swych ciemnych punktów otaczała dwie jasne mikroskopijne kreseczki.

— Proszę — rzekł Mike. — Tak w ogólnym zarysie przedstawia się sytuacja — wskazał ciemną wstęgę. — oto Czarna Rzeka. Największa i najszybsza ze znanych dotychczas rzek meteorów, jakie do tej pory zawadziły o okolice naszego systemu. Składa się ona z meteorów o średnicy od pięciuset metrów do dziesięciu kilometrów. Miejscami występują ławice bardzo drobnych meteorów o silnym skupieniu.

Tu zwrócił swą zatroskaną twarz ku słuchającym.

— Istnieje jednak czynnik w tym wszystkim nieznanymi i stanowiący Bardzo poważne niebezpieczeństwo. Rzeka tworzy zakłócenia w łączności. Łamie fale radiowe i telewizyjne i jeśli nawet je przepuszcza, to z takimi zakłóceniami, że stają się one całkowicie nieczytelne. Zarówno Alfa, jak Beta co chwila próbują jeszcze porozumieć się z wami i z nami, niestety bez skutku. Słowa zamieniają się w trzaski, obrazy w migotanie.

— Czy... oni żyją? — spytał Alek.

— Na pewno — powiedziała Dolores.

Mike stanął nieco z boku od białej mapy nieba, przeciętej czarną wstęgą meteorowego roju. Na skraju mapy ukazała się okrągła plamka.

— W tej chwili — mówił Mike fraszobliwie pocierając czoło, i wskazał ową plamkę — Zwiadowca jest jeszcze o sto pięćdziesiąt minut lotu od tego miejsca Czarnej Rzeki, w którym utkwily oba kosmoloty. Zwiadowca jest jedynym statkiem, który przy takiej szybkości, jaką ma Czarna Rzeka, może ją dogonić, nie narażając się, że pogoń wyczerpie jego napęd i że nie potrafi już nigdy wrócić.

— Jak wynika z obliczeń — wtrąciła Dolores — każdy inny statek czy mechanoplaneta nie potrafiłby dogonić rzeki wcześniej jak za... osiem lat.

— Za ile? — spytał Alek.

— Za osiem lat — powtórzyła Dolores.

— A więc — powiedział Mike — wyobraźmy sobie chwilę, w której Zwiadowca znajdzie się na wysokości ugrzęzłych w rzece kosmolotów. Będzie to za...

Na ekranie wyskoczyły liczby 138, 71, 68. A zatem do chwili, o której mówił Mike, miało upłynąć już tylko sto trzydzieści osiem minut, siedemdziesiąt jeden sekund oraz sześćdziesiąt osiem setnych sekundy.

„Jak strasznie mało” — pomyślała Alka.

„Jak strasznie dużo” — pomyślał Ion.

— Właśnie — rzekł Mike. — Znajdziecie się wtedy tutaj.

Mała plamka zwiadowcy przesunęła się w miejsce, w którym wśród roju meteorowych punktów Czarnej Rzeki widniały dwie jasne kreseczki: Alfa i Beta.

— Teraz powiększenie — zażądał Mike.

Super powiększył ów fragment schematu, na którym widniały Zwiadowca i część Czarnej Rzeki z kosmolotami. Mike cofnął się i zaprosił ruchem ręki Nazima.

— Obecnie ma głos Nazim — rzekł ustępując miejsca temu, jak wiadomo, najodważniejszemu z ludzi. Ów najodważniejszy wyglądał jednak całkiem nie po bohatersku;

ni to człowiek, ni to stara wrona z wielkim nosem i sprytnymi oczami.

— A więc — powiedział Nazim — teraz kolej na was. Macie do zrobienia rzecz drobną. Jedno z was powinno naprowadzić w określonym miejscu Zwiadowcę na flankę Czarnej Rzeki i zacząć ogień z całej artylerii Pezeta, aby przerąbać w rzece bruzdę głębokości pięciuset kilometrów.

— Drobiazg — mruknął Alek.

— Natomiast dwoje z was — mówił dalej Nazim mrużąc swoje nieco wylupiaste i bardzo mądre oczy — musi wylecieć do tego miejsca — pokazał punkt na mapie dużo powyżej sylwetek Alfy i Bety — i musi postępować tak, jak to robiła Beta.

— Dać się porwać przez rzekę? — spytał Ion.

— Tak — skinął głową Nazim. — Dać się porwać, a potem doszedłszy siłą bezwładu do Alfy i Bety, pełnym ogniem wyrąbać przejście. Przy odpowiednim zgraniu ognia wasz ogień spotka się z ogniem Zwiadowcy i przejście będzie otwarte. A wtedy, jeśli nawet Alfa i Beta mają awarię napędu, Zwiadowca sam je wyciągnie z rzeki sztucznym polem przyciągania.

— To wszystko? — spytał Alek.

— Tak.

Alek uśmiechnął się bardzo gorzko.

— To rzeczywiście... absolutne drobiazgi — powiedział.

— Alek! — upomniała go siostra. Potem zwróciła się do Nazima: — Czy to wszystko będą robić za nas automaty?

— Tak — powiedział Nazim. — O ile..

— O ile... co?—spytała.

— O ile — powiedział zamiast Nazima Ion — o ile się nie okaże, iż rzeka zakłóca ich pracę do tego stopnia, że trzeba będzie samemu i własnoręcznie sterować i strzelać. Czy tak? — spytał w stronę tamtych z Bazy Głównej.

— Tak — powiedzieli wszyscy troje.

— Wobec tego mamy nie więcej niż jedną szansę na milion — powiedział Alek.

— Nie — zaprzeczył Nazim.

Ion spojrział na Alkę i Alka. Uśmiechnęli się lekko do niego, on do nich. Rozumieli się doskonale. „Nie cofniemy się przed niczym — mówił ich wzrok — ale przecież teraz jest jasne: nie przeżyjemy tego dnia. A oni, rodzice i wszyscy tamci?”

— Nie! — powiedział Nazim, jak usłyszał owe myśli. — Mylicie się.

— Dlaczego? — spytał Alek.

Jeszcze się bał, że tamci stosują jedynie metodę „dobroczynnego” ukrywania prawdy.

Równocześnie jednak już rodziła się w nim niespokojna, tłumiąca głos nadzieja.

— Po pierwsze — powiedział Nazim — zbadaliśmy wasze noty z lotnictwa i kosmolotnictwa. Alka i Ion mają wyniki znakomite, z wskazaniem szczególnych zdolności. A Alek, który jest słabszy, nie będzie latać. Zostanie na Zwiadowcy. Będzie tylko strzelał. W sumie... macie szansę.

Alka skinęła głową.

— Rozumiem. A w wypadku zakłóceń i blokady automatycznego sterowania ile ich nam dajecie?

Nazim spojrział na Mika. Mike rozłożył ręce z takim wyrazem twarzy, jakby właśnie powiedział: „Trudno, mów prawdę”.

— W każdym razie — powiedział Nazim — w każdym razie nie mniej niż osiemnaście.

— Osiemnaście na sto? — spytał Robik.

— Cicho, Robik — mruknął Ion.

— Dziękuję ci, Nazim — powiedziała Alka. — Widzę, że sprawa zaczyna wyglądać nareszcie rozsądnie.

Nazim skinął głową.

— W wypadku zakłóceń będziecie pracować podług dokładnego planu czasowego. Uzgodnicie działania co do jednej sekundy... i cześć.

— I co? — spytał Alek.

Nazim uśmiechnął się z nagłym zażenowaniem.

— I cześć! To znaczy: i do roboty.

— Aha.

— Wszystko pięknie — wtrącił Ion. — Ale my nie umiemy strzelać.

Nazim nagle poweselał. Roztarł dłonie szybkim ruchem, jakby mu zmarzły.

— Mamy jeszcze dwie godziny czasu — powiedział. — Zaraz zaczynamy naukę.

— Co?! — krzyknął Alek.

— A cóż ty się właściwie tak dziwisz? — zdziwiła się Alka.

— On się nie lubi uczyć na wakacjach — mruknął Ion.

— Nazim roześmiał się.

— Moi kochani — rzekł — sprawa jest prosta. Każde z was zobaczy specjalny, przydatny do celów szkoleniowych wizjofilm. Zwiadowca dostarczy wam trzy modele przyrządów celowniczych.

— Tak jest—powiedział Głos Pezeta.

— Patrząc na wizjofilmy, będziecie równocześnie strzelać do makiet meteorów. Uwaga, Zwiadowca.

— Słucham — powiedział Pezet.

— Proszę dostarczyć swym dowódcom trzy hełmy wizjofilmowe oraz trzy modele celownicze.

— Czy dowódcy potwierdzają rozkaz? — spytał Głos. Padły trzy szybkie „tak”.

W minutę później taśma transportera wniosła do Komory Centralnej trzy lekkie hełmy do oglądania wizjofilmów oraz trzy niewielkie mechanizmy, będące modelami przyrządów celowniczych.

— Świetnie — powiedział Nazim. — Dziękuję, Pezet.

— Tak jest—powiedział Głos.

— Czy hełmy i modele są już zestrojone ze sobą? — spytał jeszcze Nazim.

— Tak jest — powtórzył posłuszny Głos.

— Dziękuję — powtórzył Nazim. — A więc: uwaga!

Rojowie i Ion włożyli na głowy hełmy, potem ustawili przed sobą aparaty modeli celowniczych.

— Sprawa jest całkiem prosta — mówił Nazim. — Alka i Ion znajdą się za chwilę w bojowych kosmolotach i będą atakować ławice meteorowe. Alek będzie dowodzić ogniem baterii na mechanoplanecie. Proszę wziąć w ręce ster celowniczy. Dwa stery były najzwyczajszymi w świecie poprzecznymi drążkami, z których każdy dał się obracać w dowolnym kierunku.

— Stopy proszę oprzeć na nożnych klawiszach aparatów — mówił Nazim. — Właśnie tak. Ion rozejrzał się po Komorze Centralnej. Oboje Rojowie siedzieli w białych kaskach wizjofilmów, które opadały głęboko na oczy i uszy. Był to widok nieco śmieszny. Robik przyglądał się temu wszystkiemu w milczeniu, lecz bez aprobaty.

Ion oparł ręce na drążkach celowniczego steru, a stopy na nożnych klawiszach.

— A więc będzie się wam wydawało — powtórzył Nazim — że siedzicie w kabinach strzelców kosmolotowych. Drążki sterownicze służą do kierowania ogniem. Kiedy na ekranie pokaże się świecący krąg, oznacza to gotowość strzelecką. Wtedy przez poruszanie sterem należy nakierować go na cel. Kiedy najdzie na cel... należy nacisnąć pedał nożny. Każde naciśnięcie prawego pedału to strzał pojedynczy, naciśnięcie obu pedałów to seria. Jasne?

— Jasne — odpowiedzieli.



- A więc... — zawołał Nazim — łączę wizję! Uwaga!
- Uwaga! — powtórzył Ion.
- Uwaga! — powiedziała Alka. Alek tylko poruszył wargami.

Ion znalazł się nagle sam i sobie tylko pozostawiony w sterowniczej kabinie rozpedzonego kosmolotu bojowego. Kosmolot gonił na pełnej bojowej szybkości za ławicą meteorów zagrażającą jednemu z głównych szlaków komunikacyjnych.

Ion otrzymał rozkaz: zniszczyć ławicę.

Aparaty wykrywające chwyciły już na ekran obraz ławicy, Ion znajdował się jednak zbyt jeszcze daleko, by strzelać. Musiał czekać na pojawienie się na ekranie świetlistego krążka gotowości strzałowej kosmolotu.

Ion czekał na tę chwilę w napięciu.

Oczywiście, ogólnie rzecz biorąc, dobrze pamiętał, że to tylko wizjofilm, którego przebiegiem kierują instruktorzy z Bazy na Trytonie, że to wszystko jest czystym złudzeniem. Pamiętał też o tym, że równocześnie i Alka, i Alek przeżywają podobną wizjofilmową przygodę. Pamiętał jednak o tym wszystkim jakby nieco z boku i z daleka — jak o kimś innym. W tej chwili najważniejsze było to, by zniszczyć groźną ławicę.

Jak celować? Jak strzelać? Dobrze pamiętał instrukcję: „Kiedy na ekranie celowniczym pokaże się świecący krążek gotowości strzałowej, należy naprowadzić go na cel. Potem przycisnąć pedał nożny. Prawy pedał — to strzał pojedynczy, oba — to seria”.

To było wszystko. Niewiele.

Ion kilka razy głęboko i spokojnie odetchnął. Chciał rozpocząć walkę w takim stanie, kiedy myśli są szybkie, mięśnie za to swobodne i oddech spokojny.

Uwaga!

Na ekranie pojawiły się rosnące w oczach jasne punkty. Równocześnie w samym dole ekranu wyskoczył świetlisty krążek. A więc odległość nadaje się już do pierwszego strzału, a automaty kosmolotu znajdują się w gotowości strzałowej.

Ion spróbował manewru drążkami steru. Za mocno. Świecący krążek potoczył się po całym ekranie nie zatrzymując się na żadnym z punktów celu.

A więc delikatniej? Dobra.

Nie wiedząc nawet o tym, zagryzł wargi niemal do krwi. Krążek umykał mu co chwila spod kontroli. Popychał go po ekranie rączkami steru to za mocno, to za słabo, czas pędził wielkimi skokami, a Ionowi nie udało się jeszcze nakryć żadnego z punktów.

Promienie aparatu wykrywającego uchwyciły obraz ławicy już całkiem dokładnie: wielkie bryły szarych złomów skalnych wyrzuconych w przepaść przez nieznaną katastrofę kosmiczną.

— O tak — szepnął Ion.

Uchwycił wreszcie jedną z nich w świetlny krążek celownika. Nacisnął pedał.

— Jest! — krzyknął.

Trafiona bryła znikła z ekranu, jakby nigdy jej na nim nie było. Ion zaś coraz lepiej panując nad ruchem krążka naprowadził go na drugi, trzeci... dziesiąty... piętnasty punkt...

W końcu dostrzegł większe ich skupisko. Troskliwie i uważnie nakrył je świetlnym krążkiem. „Teraz seria” — pomyślał.

Kosmolot lekko zadrżał. W ławicy pojawiła się wielka wyrwa, Ion zaśmiał się bezgłośnie a triumfalnie.

— Bardzo dobrze — powiedział ktoś.

Ion był jednak zbyt zajęty naprowadzaniem celownika na nowy cel, by zwracać uwagę na jakieś postronne, nieistotne w tej chwili głosy.

W identyczny sposób zresztą zachowała się Alka, która oglądając ten sam wizjofilm co Ion, miała o pięć trafnych strzałów więcej od niego, mimo że zaczęła strzelać o dwie sekundy

później.

\*

Natomiast siedzący tuż obok nich Alek znajdował się w całkowicie odmiennej sytuacji. On bowiem nie był pilotem rozpedzonego kosmolotu, lecz znajdował się na mechanoplanecie: w kabynie celowniczej artyleryjskiej baterii przeciwmeteorowej. Czekał.

Promienie wykrywające wychwyciły już na ekran zbliżający się strumień potężnych meteorów. Miał jeszcze kilkanaście sekund czasu. Wiedział zresztą, że nie musi niszczyć strumienia w całości. Wystarczy, jeżeli uderzy go z boku długotrwałą serią. Rozpruje go tym sposobem — rozpędzi na kosmiczny proch i pył.

Alek stulił wargi, jakby chciał zagwizdać jakąś melodię. Ale nie zagwizdał jej.

Na ekranie rozbłysnął świecący krążek celownika. Alek — czując, że prowadzić go trzeba przez ekran tak delikatnie, jak delikatnie prowadzi się oddechem przez powietrze bańkę mydlaną — bardzo powoli, ale bardzo pewnie naprowadził krążek na skraj rysującego się na ekranie kamiennego strumienia.

Potem, z zamyślnym i triumfalnym uśmiechem, nacisnął oba pedały.

W przestrzeń runęła biała smuga ognia.

— Wspaniale — powiedział jakiś głos i nagle skończyło się wszystko.

Alek wcale nie kierował baterią, Ion i Alka wcale nie pędzili w bojowych kosmolotach w pogoni za ławicami zagrażającymi szlakom komunikacyjnym.

Znowu wszyscy troje siedzieli w Komorze Centralnej Zwiadowcy.

— Bardzo dobrze — powtarzał uśmiechnięty Nazim. — Wspaniale. Rojowie i Ion z trochę wystraszonymi uśmiechami zdjęli hełmy wizjofilmowe z głów.

— Naprawdę dobrze? — spytała niepewnie Alka. Nazim z zapałem pokiwał głową.

— Naprawdę świetnie — odpowiedział. — Ty osiągnęłaś notę najlepszą, Ion i Alek okazali się nieco gorsi, ale biorąc pod uwagę, że była to pierwsza wasza próba, muszę wszystkie wyniki ocenić na „bardzo dobrze”.

Spojrzeni po sobie z nadzieją w oczach.

— Wasze szansę rosną — rzekł Mike. Potem podszedł do samego ekranu.

— Teraz się rozstaniemy — powiedział zniżając głos. — Zostało wam już nie za dużo czasu. Musicie się udać na swoje stanowiska. Ion i Alka do wieży startowej do kosmolotu bojowego, Ion obejmie stanowisko pilota. Alka będzie strzelcem pokładowym. Zwiadowca ma zanotowany dokładny plan czasowy waszego działania. Poda go wam na dziesięć minut przed startem.

— Tak jest — odezwał się Zwiadowca.

— Alek — ciągnął dalej Nazim — zajmie stanowisko w kabynie artyleryjskiej. Rozpoczyna akcję w osiem minut piętnaście i dwie dziesiąte sekundy po starcie kosmolotu. Dodatkowe rozkazy i odmienne zasady postępowania na wypadek jakichś niespodzianek Zwiadowca ma już przygotowane przez naszego Supera.

— Czy to jest rozkaz dowódców? — spytał Zwiadowca.

— Tak — powiedział Ion, a za nim Rojowie jak dwa pośpieszne echa.

— To jest na razie wszystko — rzekł Nazim.

Nastąpiła chwila ciszy naprawdę głębokiej i naprawdę poważnej. Dorośli z Bazy patrzyli w twarze trojga dzieci stojących w Komorze Centralnej Zwiadowcy. Patrzyli na siebie z jak najbliższej odległości przez przejrzystą ścianę ekranu.

W istocie jednak dzieliła ich już przestrzeń ponad sześciu tysięcy milionów kilometrów — taka bowiem odległość dzieliła Bazę Główną na Trytonie od sektorów Dziesiątego i Jedenastego Tysiąca, przez które pędził Zwiadowca w pogoni za Czarną Rzeką.

Antonow, Dolores i Nazim unieśli wspólnym ruchem dłonie w górę.

— Szczęścia — powiedział gorąco Mike. — Życzymy wam szczęścia. Do widzenia, przyjaciele!

Mike Antonow nazwał ich przyjaciółmi. Odpowiedziały mu trzy poważne skinięcia głowy. Pierwszy dowódca Zwiadowcy, Ion Soggo, odpowiedział w imieniu pozostałych:

— Do widzenia.

I oto zgasł ekran Komory Centralnej.

— A więc — powiedział Ion — jesteśmy znowu sami.

Alek roztarł ręce takim ruchem, jak to niedawno robił Nazim.

— Mamy przy tym co nieco do zrobienia. Tu skrzywił się.

— Ion, zostaw mi Robika. Ty będziesz miał towarzystwo Alki. Ion zwrócił się do Robika:

— A więc? Zgoda, Robik?

Robik niespokojnie rozejrzał się dookoła siebie, jakby nieposłuszne myśli rozpiezchły mu się na wszystkie strony. Potem jego twarz znowu wygładził stary, poczciwy uśmiech.

— Ależ zgoda — powiedział. — Tak jest, dowódcy. Oczywiście, że zgoda. Czas przystąpić do działania.

Ion skinął głową.

— Alka i ja jedziemy wprost do wieży startowej. Wy obaj udajecie się na stanowiska baterii.

Potem Ion jeszcze zwrócił się ku sufitowi.

— Rozkaz dla Zwiadowcy — powiedział. — Utrzymuj stałą łączność dźwiękową między nami.

— Przyjęty — powiedział Głos.

Ion z Alką stanęli na kwadracie pośpiesznej windy, Ion, zanim wydał rozkaz „wieża startowa”, pokiwał ręką do Alka i Robika, którzy na swoje stanowisko mieli wyjechać transporterem.

— No to cześć — uśmiechnął się. — Ostrożnie. Żeby nie było jakiegoś nieszczęścia.

— Zapomniałeś — powiedział cicho Robik — że w mojej obecności żadne nieszczęście nie może się wam przydarzyć.

Znikli sobie z oczu.

\*\*\*

Do chwili, w której miała rozpocząć się akcja przeciw Czarnej Rzece, pozostało równo sześćdziesiąt jeden minut.

— Sześćdziesiąt jeden — oświadczył Głos Zwiadowcy w tym właśnie momencie, w którym winda wynosiła Alkę i Iona do Głównej Komory w wieży startowej.

— Patrz — powiedział Ion wskazując ekran.

W głębi ekranu ukazała się drobna jeszcze i mglista, ale już widoczna wstęga Czarnej Rzeki. Przez krótką chwilę przyglądali się owej mglistej smudze. Potem w głębi komory otwarło się przejście. Zwiadowca wskazywał drogę do kosmolotu bojowego.

Mały korytarz kończył się osłoniętym pomostem. Jego kolisty wylot pokrywał się z otwartym wchodem do bojowego kosmolotu. Spiralny korytarzyk zaprowadził ich prosto do kabiny pilota i strzelca.

Kosmoloty bojowe prowadzili z zasady piloci automatyczni. Tak jak walkę z meteorami prowadził automatyczny strzelec. Bywały jednak chwile, kiedy żywy człowiek musiał ujmować w ręce ster maszyny lub kiedy przyrządy celownicze mogły być posłuszne jedynie świadomej woli ludzkiej.

Alka i Ion stanęli przed dwoma prostokątnymi pulpitemi. Każde z nich miało swój własny ekran oraz własny aparat sterowniczy.

Z lewej strony znajdowało się miejsce dla pilota. Z prawej: dla strzelca bojowego. Od zwykłej

kabiny pilota w zwyczajnych kosmolotach badawczych czy komunikacyjnych kabina tego kosmolotu różniła się jedynie rodzajem, a raczej „krojem” foteli.

Kosmoloty bojowe musiały być — jak wiadomo — przygotowane na każdą ewentualność. Na nieprawdopodobne przyśpieszenia, skoki, zmiany kierunków, wybuchy temperatury sięgającej szczytów wielkiej topliwości. Z tej to przyczyny znajdujące się tu fotele pilota i strzelca w minimalnym stopniu przypominały prościutkie i zwykłe siedzenia ze zwykłych kosmolotów. Były to ogromne skafandry ochronne, w których człowiek chował się całkowicie, w których nawet w wypadku katastrofy, eksplozji lub rozbicia kosmolotu mógł przez dłuższy czas przebywać w przestrzeni kosmicznej.

— Uwaga — odezwał się Głos Pezeta. — proszę zająć miejsca.

— Dziękuję — mruknął Ion. I zwrócił się do Alki:

— Siadamy. Każdy na swym miejscu. Skinęła głową.

— Pięćdziesiąt siedem — powiedział Głos, który miał obowiązek meldowania każdej pełnej minuty.

Alka usiadła pierwsza. Wtedy fotel, który dotychczas przypominał gąbczasty, zwiedły kielich jakiegoś ogromnego kwiatu, natychmiast zamknął się na niej. Znikła śliczna, drobna dziewczyna. Przed ekranem kosmolotowego strzelca siedział wielki słoniowaty stwór.

Stwór ów zaśmiał się głosem Alki:

— Zabawne uczucie.

Ion zajął swoje miejsce naprzeciw pulpitu pilota. Skafander podniósł się, otulił go ze wszystkich stron. I oto okazało się, że jest przejrzysty jak powietrze i nie cięższy niż lekka koszula.

— Rzeczywiście — powiedział. — Zabawne.

— Nie mów tak głośno — poprosiła Alka. — Wrzeszczysz mi prosto w uszy.

Istotnie — jej głos Ion słyszał tuż koło siebie.

— Przepraszam cię — powiedział. — Jestem pierwszy raz w dwuosobowym kosmolocie bojowym. A w jednoosobowym też byłem tylko raz. I to tylko na wizjofilmie. I to przed godziną.

— Wyobraź sobie, że zgadłam — odpowiedziała. — Ale co dalej?

— Spróbuj, jak ci się manipuluje sterem celownika.

Sam położył obudowane masą ochronną skafandra ręce na sterach pilota. I dopiero wtedy przeżył chwilę zadziwiającego uczucia; jakby skafander miał własny system nerwowy, który się włączył do systemu nerwowego Iona. Mimo decymetrowej grubości rękawic Ion czuł w rękach drążki sterowe z taką dokładnością, jakby położył na nich gołe dłonie.

— To jednak niezwykle — mruknął.

— Ja też po raz pierwszy odczuwam coś podobnego — odpowiedziała Alka.

— Możesz swobodnie poruszać celownikiem? — spytał.

— Całkowicie swobodnie.

— No to... — zastanowił się, nim zdecydował, co dalej — ... no to teraz zejźmy do ekranu w wieży startowej.

— A jak zdejmiesz skafander?

Ion przez moment uczuł drgnienie paniki: i co teraz? Mimo to całkiem pewnym siebie głosem powiedział:

— Zwiadowca, wyłączyć skafandry. Cisza.

„Co to znaczy?” — mignęło mu przez głowę.

— Zwiadowca — powtórzył — wyłączyć...

— ... fotele — powiedziała Alka

Tak, dopiero „fotele” okazały się słowem właściwym. Skafandry lekko opadły z ich postaci. Wstali z miejsc, a spojrzawszy na siebie po prostu parsknęli śmiechem, pozostał im bowiem w oczach jeszcze całkiem wyraźny cień przestrachu.

— To było głupie — przyznał się Ion.

Alka zaś ni z tego, ni z owego zmarszczyła się w ów sposób, który był zarówno antypatyczny, jaki i uroczy.

— I co byś zrobił beze mnie? — powiedziała. — Ech, wy poeci i muzycy. Mężczyźni od stuleci tylko niewieścieją. To straszne.

Pokiwał głową.

— Masz rację, że to straszne.

— Co? — spytała trochę nieufnie.

— Że mówisz takie głupstwa — wyjaśnił uprzejmie.

— Oświadczam ci — powiedziała — że jeśli przeżyjemy całą tę historię, natychmiast potem przestaję z tobą rozmawiać. Czy wy na Saturnie w ogóle nie znacie się na grzeczności?

— Pięćdziesiąt minut — powiedział Głos Zwiadowcy.

Ion uśmiechnął się do gniewnych i niebieskich oczu Alki.

— Zejdźmy na dół.

Skinęła głową i poszła przodem.

Wyszli z kosmolotu na pomost łączący maszynę z wieżą startową. Potem zapuścili się w korytarzyk prowadzący do Komory Głównej. Znow uchyliły się przed nimi drzwi. Alka minęła je i wtedy stało się coś, co zaczęło być jak ze złego snu.

Oto nagle odezwał się Głos Zwiadowcy. Był w nim popłoch. A nawet strach.

— Uwaga! — zawołał. — Uwaga...

I to drugie „uwaga” rozlało się nagle w niedołączony bełkot. Drzwi, które minęła Alka, zaczęły się nagle zamykać, mimo że Ion właśnie miał je minąć. Ledwo zdążył cofnąć nogę. Nie zatrzasnęły się zresztą całkowicie, lecz wstrzymały nagle swój ruch. Pozostała w nich szpara na szerokość dłoni, przez którą mignęła zbieleła twarz Alki.

— Zwiadowca! Daję rozkaz! — wrzasnął Ion mocując się ze znieruchomiłym skrzydłem drzwi.

Nikt jednak nie odpowiedział: „Przyjmuję”. Raz jeszcze zabełkotał nieprzytomny i obłąkany Głos owo uprzednie: „Uwaaaa”... i nastąpi cisza.

— Ion, co to może znaczyć? — spytała gorączkowo Alka. — Ion!

— Zwiadowca, rozkaz! — krzyknął Ion. Znowu nic. Wokół nich trwała cisza i bezruch.

Na szczęście w Komorze Głównej wieży nadal ciemnił się obrazem kosmicznej przestrzeni wielki ekran, zaś z otwartej bramy lał się blask sztucznego słońca! Oznaczało to zatem, że Zwiadowca nie przerwał swych podstawowych funkcji. Mimo to stało się chyba coś bardzo groźnego. Właśnie teraz, kiedy pomoc Zwiadowcy, jego instrukcje i wskazówki nabierały największego znaczenia — on nagle oniemiał.

— Alka! — mówił Ion. — Zostaw mnie tutaj. Pędź do Robika. Spróbuj... może uda ci się przedostać od nich, do baterii artyleryjskiej, windą. Jeśli nie, musisz obieć dookoła wieżę startową. Zejdźcie do baterii znajduje się tuż koło laboratoriów. Pod czerwoną kopułą. Pędź do Robika. Teraz to już tylko on jeden potrafi nam pomóc.

— Czekaj na mnie — powiedziała. — Trzymaj się, Ion. Zaraz wrócimy.

Wskoczyła na błękitny kwadrat pośpiesznej windy. Winda jednak nawet nie drgnęła.

Alka skinęła tylko ręką i wybiegła przez szeroko rozwartą bramę wieży startowej na dwór. Nastąpi cisza.

— Zwiadowca! — zawołał Ion raz jeszcze. — Zwiadowca, daję rozkaz!

Tym razem rozległo się bełkotliwe: „Uwaaa... uwaaa...” — a nawet drzwi zaczęły lekko ustępować pod naciskiem rąk Iona. Po chwili jednak znowu wszystko zamarło.

Mimo to Ion odetchnął z ulgą. Szpara w przejściu poszerzyła się tak dalece, że chyba udałoby się teraz przez nią prześliznąć.

Zatrzymał się jednak: co będzie, jeśli w chwili, w której on zacznie się przez nie przeciskać, drzwi znowu się zamkną?

Nie wolno ryzykować. Alka powinna dostać się do Robika w trzy, cztery minuty. Robik zaś przecież pomoże we wszystkim. Nie ma w całym Wszechświecie lepszych przyjaciół człowieka niż satumijskie Roboty Opiekuńcze.

Po prostu nadal trzeba zachowywać spokój. Bo przecież mimo nowej przeszkody powinni jednak zdążyć na przewidzianą godzinę akcji.

Wykręcając nieco głowę w szparze rozchylonych drzwi Ion spojrzął na ekran.

Mglista plama Czarnej Rzeki znów nieco wzrosła. Zbliżyli się do niej wyraźnie. Do początku akcji ratowniczej pozostało im jeszcze około pięćdziesięciu minut czasu. Ależ tak! Właśnie wtedy, kiedy przemówili się z Alką — Zwiadowca powiedział „pięćdziesiąt minut”. A więc mają jeszcze teraz sporo, sporo czasu.

— Zwiadowca? — spytał dla próby. Cisza.

Nagle Ion drgnął: co to było?

Właściwie nie stało się nic szczególnego. Nie rozległ się żaden dźwięk, nie odezwał się niczyj głos. Było tylko tak, jakby przez moment w bramie wejściowej mignął jakiś cień.

— Hej! Jest tam kto? — zawołał Ion. Nadal cisza.

Ion przymknął oczy.

Czy ów przelotny cień na progu startowej wieży był tylko złudzeniem? We wspomnieniu wyraźnie zachował się jakiś ciemny, niewyraźny kształt, który na ułamek sekundy mignął na tle jasnego prostokąta bramy wejściowej. Teraz, gdzieś tuż koło wejścia, usłyszał delikatny szelest.

— Kto tam?! — krzyknął. Nikt nie odpowiedział.

„To niemożliwe — myślał gorączkowo Ion — to niemożliwe, to nieprawda”. Nie chciał jeszcze w nic wierzyć ani niczego podejrzewać, czego jeszcze nie sprawdził. A mimo to...

Przecież nie od dziś i nie od wczoraj krążyły tajemnicze opowieści

O tym, jak to będzie, kiedy wreszcie człowiek spotka w Kosmosie jakąś istotę innego niż on rodu, pochodzenia i obyczaju. Czyżby właśnie tu, na Zwiadowcy, na pograniczu Dziesiątego i Jedenastego Tysiąca, z dala od skupisk ludzkich, pojawili się jacyś groźni i nieznani obcy? Wszystko to przecież wyglądało co najmniej podejrzanie: owe zakłócenia łączności w Czarnej Rzece, porwanie obu kosmolotów teraz zaś... Co to za cień mignął znów w bramie wyjściowej?

— Czekaj — powiedział do siebie głośno Ion. — Nie bądź głupim dzieckiem. Nie opowiadaj sobie bajek. Masz poważniejszą sprawę do załatwienia.

Następnie powoli, z namysłem zdjął z siebie kurtkę i koszulę. Nie dbał obecnie o to, czy drzwi, przez które postanowił już teraz się prześliznąć, nie chwycą go w kleszcze i nie zgniotą na miążgę. Przymierzył się bokiem do szpary. Na szczęście był nieco spocony, skóra była śliska.

Wystarczyło raz i drugi dobrze szarpnąć. Czuł wprawdzie, że ociera sobie naskórek na łopatkach, ale wreszcie udało się: był w Komorze Głównej. Potem spokojnie wdział koszulę i wyszedł ostrożnym, lecz nie strachliwym krokiem prosto w jasne światło sztucznych słońc Zwiadowcy.

Rozejrzał się uważnie, nikogo.

— Co teraz? — spytał w głos.

Postanowił przed wyruszeniem na poszukiwanie za tamtymi spojrzeć jeszcze w ekran: jak daleko jest Czarna Rzeka? Wrócił więc do Komory Głównej. Wrócił i nim spojrzął na ekran, krzyknął wściekłym głosem.

Brama bezszelestnie zamknęła się za nim.

— Uwaga! — przemówił spanikowany Głos Zwiadowcy. — Ostrzegam! Uwa... wa... wa...

— Zwiadowca! — wołał Ion bijąc pięściami w bramę wejściową. — Zwiadowca! Przed kim ostrzegasz?

Głos jednak znów umilkł.

Ion również ucichł. Cóż to był za idiotyzm z jego strony: bić pięściami w odrzwia startowej wieży.

— Jesteś głupim dzieckiem, Ion — powiedział do siebie złym głosem.

„Musisz szybko obieć wieżę dookoła. Zejście do baterii znajduje się tuż koło laboratoriów. Pod czerwoną kopułą”.

Alka wybiegła z wieży pędem. Ale natychmiast zwolniła kroku.

— Będziemy się śpieszyć powoli — mruknęła do siebie. Istotnie, byłoby to nierozsądne, gdyby zaczęła pędzić na oślep.

Przecież w ogóle nie знаła Zwiadowcy. Obejrzała go tyle co podczas śniadania. Gdyby teraz kazano jej odnaleźć na przykład ogród botaniczny...

Alka aż przystanąła — tak niepokojące stało się na moment poczucie bezradności i zagubienia wobec tajemnic Zwiadowcy. Łatwo było wszędzie dotrzeć i wszystko odnaleźć, kiedy jego Głos uprzejmie wskazywał drogę, a windy, ruchome ścieżki i pośpieszne transportery niosły, gdzie tylko rozkazano.

Teraz jednak Głos milczał. Winda w wieży startowej nie działała. Jak więc trafić do miejsc, których się nigdy jeszcze nie widziało, nie odwiedzało?

— Ach! — krzyknęła Alka. Ujrzała, jak o kilka kroków od niej zaczyna się nagle poruszać pomarańczowa wstęga ruchomej ścieżki. Podskoczyła w tamtą stronę i ... cofnęła się niemal ze strachem.

— Dokąd? — upomniała siebie samą. — Dokąd, ty głupie stworzenie? Przecież nie wiesz, dokąd ona jedzie.

„»Musisz obieć wieżę dookoła«, powiedział Ion. A więc obejdźmy ją — pomyślała — z namysłem i spokojnie”.

Ruszyła w lewo. Jakby na złość ruchomej ścieżce — w przeciwnym niż jej bieg kierunku. Z namysłem i spokojnie szła po sprężystym, gęstym jak dywan trawniku. Minęła kępkę drzew, na której liściach lśniły jeszcze krople niedawnego deszczu.

W pewnej chwili znów na moment przystanąła. Zdawało się jej, że ktoś z daleka coś krzyknął. Był to jakby głos Iona.

Nadsluchiwała przez kilka sekund, ale wołanie nie powtórzyło się. Ruszyła dalej.

Po przejściu kilkunastu kroków, wbrew uprzednim swym zamierzeniom i postanowieniom, nagle zaczęła biec. Oto w głębi otwierającej się przed nią alejki ujrzała niewielkie kępy krzewów. A wśród nich widok na pewno znajomy: kolorowe kopuły laboratoriów.

Zaczęła biec pędem jak do wyścigu. Ale oto w powietrzu zadźwięczał dziwaczny, przerażony i bełkotliwy Głos Zwiadowcy (był to zaś ten sam okrzyk, który usłyszał w wieży startowej Ion).

— Uwaga! — wołał Głos. — Ostrzegam! Uwa...waa... I znów skończyło się na niedołącznym bełkocie. Alka wstrzymała bieg tylko na moment.

— Przed kim ostrzegasz? — krzyknęła ile sił, a nie słysząc odpowiedzi znów rzuciła się pędem w stronę kopuł laboratoriów.

To była bardzo szczęśliwa chwila, kiedy pośród białych kopuł laboratoryjnych dostrzegła też ową niewielką, lecz tak ważną — czerwoną kopułę baterii artyleryjskiej.

Biegła więc ku niej, jakby ścigał ją najstraszliwszy z wszystkich potworów Kosmosu, w które zresztą nikt już od setek lat nie wierzył. Wiedziała bowiem jedno: niezależnie od tego, przed kim czy przed czym Zwiadowca ją ostrzega, jej obowiązkiem jest jak najprędzej odnaleźć Alka i Robika, a przede wszystkim Robika, który na pewno stokroć szybciej i lepiej niż oni potrafi znaleźć wyjście z sytuacji. Przecież sam powiedział, że „żadne niebezpieczeństwo nie może wam w mojej obecności zagrażać”.

Alka dopadła do niewielkiej i płaskiej jak kapelusz czerwonego grzyba kopuły. Obiegła ją z rozpędem dookoła.

— Alek! — krzyknęła — Alek! Robik!

Nikt jej nie odpowiedział. To było jeszcze do zniesienia. Ale nie do zniesienia okazało się to, że kopuła zamknięta jest na głucho, że absolutnie nie wiadomo, jak do niej się dostać.

— Och, Zwiadowco — szepnęła Alka. — Co się stało?

Musiała nateńczyć całą siłę woli, by po raz pierwszy od niepamiętnych czasów — po prostu się nie rozplakać. Udało się, skurcz w gardle minął, myśli się przejaśniły.

— Co teraz?—spytała siebie.

Trzeba się przez moment zastanowić: co teraz i co dalej. Alka na kilka sekund zamknęła oczy szukając dobrej odpowiedzi, dobrej i ścisłej odpowiedzi. Potem obeszła dookoła kopułę, z największą dokładnością przyglądając się jej spojeniom. W końcu znalazła miejsce, w którym cieńsza niż włos szpara świadczyła, że tu właśnie płat kopuły uchyla się do wejścia.

Rozejrzała się uważnie za czymś ciężkim i twardym. Nic podobnego nie było widać w pobliżu. Krawężnik ścieżki był jednolity i gładki, choć niby wyglądał tak, jakby się składał z szeregu zwykłych, pojedynczych kamieni. Gdzie Alka widziała prawdziwe kamienie? Aha — w potoku za ogrodem. Ale do ogrodu daleko. Czym więc wystukać sygnał do zamkniętych pod kopułą Alka i Robika? Może wyłamaną gałęzią najbliższego drzewa? Też nie.

Co robić? Z poczuciem całkowitej bezsensowności swego gestu uderzyła raz, drugi i trzeci w zamknięte na głucho wejście.

A natychmiast potem otworzyła szeroko usta i wytrzeszczyła oczy. Albowiem natychmiast po trzecim uderzeniu wejście do kopuły otwarło się niczym na rozkaz.

— Dziękuję — mimo woli powiedziała Alka. — Już wchodzę.

Ale zamiast wejść cofnęła się o pół kroku. I krzyknęła z całej siły:

— Alek! Robik! Robiiiiik!

Skrzydło wejściowych drzwi od kopuły z lekka się kołysało jak wahadło. Jakby niezdecydowane, czy zamknąć się znowu, czy pozostać otwarte.

— Nie wejdę — powiedziała Alka. — Nikt mnie nie zaprasza. I znów krzyknęła, jak mogła najgłośniejsz:

— Alek! Robiiiiik!

Nikt jednak nie odpowiedział. Wnętrze kopuły było ciche i ciemne. Alka przez chwilę poczuła atak dzieciennego strachu.

— Och, Ion — szepnęła.

Ale już po sekundzie Alka była znów Alką: Alką o ścisłym umyśle, Alką powściągliwą w uczuciach, Alką o stalowych nerwach przyszłego pilota wielkich szybkości.

— Udała sama przed sobą, że to całkiem ktoś inny szepnął: „Och, Ion”, cofnęła się o jeszcze jeden krok od wejścia i rozejrzała się z wielką uwagą.

— Przed kim ostrzegasz, Zwiadowco? — spytała.

Ciemne wnętrze kopuły milczało. Była to nie dopowiedziana groźba, nieme ostrzeżenie.

— Przed czym ostrzegasz? — zmieniła swe uprzednie pytanie Alka.

Ale i teraz nie otrzymała odpowiedzi. Już nie namyślając się dłużej, zaczęła biec z powrotem, w stronę wieży startowej.

Biegła, wyraźnie omijając wszelkie miejsca, w których mogłyby działać jakiegokolwiek automaty i mechanizmy Zwiadowcy. A więc przeskoczyła pas ruchomej ścieżki, ominęła starannie znajdującą się koło niej platformę pośpiesznej windy, zamiast przebiec przez mały wahadłowy mostek przeskoczyła wąziutki strumyk, który kilka metrów dalej rozlewał się w niewielką sadzawkę.

Wreszcie znów znalazła się pod wieżą. Tu przystanąła. Rozejrzała się uważnie. I nagle bez żadnego zagrożenia z całkiem spokojną twarzą, ale głosem za to straszliwie przerażonym krzyknęła:

— Ratunku! — i jeszcze raz: — Ratunku! — i jeszcze raz: — Ratunku!

Nie spodziewała się odpowiedzi, bo zaraz potem zaczęła biec dalej, wokół wieży, aby znów



znaleźć się przy jej głównej bramie. Teraz już pędziła z całych sił. Tu bowiem, przy wieży, z której powinni byli mniej więcej za pół godziny wystartować, znów ogarnął ją niepokój. „Mniej więcej za pół godziny? Cóż to znaczy? — pomyślała przyśpieszając biegu. — To przecież nic nie znaczy, wtedy kiedy trzeba działać z dokładnością do "jednej dziesiątej i jednej setnej sekundy".

Dobiegła właśnie do szerokiej alejki, która prowadziła ku wejściowej bramie wieży startowej. Tu stanęła jak wryta: brama była zamknięta. Dopiero teraz twarz Alki przybrała taki wyraz, jaki powinna była mieć wtedy, kiedy krzyczała „ratunku!” Nie krzyknęła jednak. W tej chwili to absolutnie nie miało sensu.

W ogóle nic nie miało sensu. Po raz pierwszy w życiu pomyślała właśnie tak: „To wszystko absolutnie nie ma sensu. Nie ma i nigdy go nie miało”.

Po raz pierwszy w życiu ogarnęło ją poczucie całkowitej bezradności wobec wszystkiego, co ludzie stworzyli na użytek ludzi. Oto najwspanialszy sztuczny księżyc wszystkich czasów, najpiękniej zaprojektowana mechanoplaneta, najsłynniejszy ze wszystkich i ze wszystkich „najodważniejszy” Zwiadowca — zamienił się nagle w pułapkę. W pułapkę na trzy bezradne, oddzielone od siebie i samym sobie pozostawione ludzkie myszy.

— Czekaj — upomniała siebie w głos. — Masz jeszcze chwilę czasu na rozpacz. Pomyśl: co to wszystko znaczy?

Potarła dłonią czoło.

— Jesteś histeryczką, moja droga — szepnęła w zamyśleniu. Ostatecznie Zwiadowca ogólnie rzecz biorąc działał jak należy:

sztuczne słońca zachowały pełny blask i ciepło, powietrze nadal było czyste, przejrzyste jak kryształ, całość vegetacji na Zwiadowcy toczyła się torem zwyczajnym i właściwym. I gdyby to, co ostatnio tu zaszło, zdarzyło się w dniu zwyczajnym i w zwykłych okolicznościach, całą sprawę można by uznać za nadprogramową rozrywkę. Oczywiście z punktu widzenia technicznego byłby to skandal na skalę ogólnoludzką. Ale z ludzkiego punktu widzenia? Nie był to jednak dzień zwyczajny. Dlatego w tej chwili wydarzenia na Zwiadowcy stały się już nie skandalem, lecz nieszczęściem.

Czy Zwiadowca w obawie o swój własny los wypowiedział ludziom posłuszeństwo?

Niegdyś krążyły na ten temat zarówno żarty, jak groźne i tajemnicze prorocтва: „Przyjdzie dzień, kiedy one (maszyny) się zbuntują” — powiadali dowcipni plotkarze.

„Ale czy coś podobnego jest w ogóle niemożliwe? — pomyślała Alka. — Jeśli w aparatach wykrywających Alfę mógł się zdarzyć błąd produkcyjny, to czy Zwiadowca również nie ma w sobie jakiegoś błędu, jakiegoś zwarcia, które pcha go do buntu przeciw ludziom?”

— To niemożliwe — powiedziała głośno.

„Ale czy na pewno? — pomyślała. — Czy na pewno jest to niemożliwe?”

W tej jednak chwili, jak na specjalne zamówienie, odezwał się Głos Zwiadowcy:

— Uwaga, dowódcy! Uwaga, dowódcy! Należy natychmiast...

— Co należy? — wrzasnęła z wściekłością Alka, bo po słowie „natychmiast” nastąpiła wprawdzie chwila pauzy, potem Zwiadowca powiedział jeszcze: „natychmiast... na...miast... tych... miast...miastami” — i umilkł.

Mimo to twarz Alki zajaśniała niczym trzecie, dodatkowe słońce Zwiadowcy. Bo oto w tym samym czasie, kiedy Zwiadowca daremnie próbował przekazać nie dokończony raport swym dowódcom — udało się mu dokonać przynajmniej jednej rzeczy: otwarła się brama wieży startowej.

Wybiegł stamtąd, prosto ku Alce, Ion.

— Nareszcie! — krzyknął. — Widziałas ich?

— Nie.

— Tego się spodziewałem.

— Ale co teraz? Co robimy? Chwycił ją za rękę.

— Jeszcze nie jestem pewien — powiedział. — Jeszcze... nie jestem. Ale musimy natychmiast zacząć działać. Mamy już bardzo mało czasu. Widzisz?

Przez otwarte skrzydła bramy widać było ekran. Prawie połowę jego ogromnej płaszczyzny zajmował rosnący z każdą niemal sekundą cień Czarnej Rzeki.

— Co rozkażesz, dowódco? — spytała Alka.

— Mamy tylko dwie możliwości — mówił szybko. — Albo próbować wrócić do kosmolotu, albo starać się dostać do Komory Centralnej i tam zbadać sprawę. Co radzisz?

— Komorę Centralną.

— Dlaczego?

Alka nie namyślała się nawet przez ćwierć sekundy.

— To proste — zaczęła mówić z szybkością „naddźwiękową”. — Jeśli nawet dostaniemy się z powrotem do kosmolotu i wystartujemy na czas, to i tak nie mamy żadnej pewności, że Zwiadowca będzie postępował podług ustalonego programu, że nie zgubi nas w przestrzeni, że nie ucieknie z niebezpiecznej strefy i tak dalej.

Ion skinął głową.

— Trzeba dostać się do Komory Centralnej — mówiła dalej — bo tylko tam...

— Tylko tam — przerwał jej — można połączyć się z Bazą.

— A nawet samemu usunąć awarię.

— Biegniemy — zdecydował.

Pobiegli krok w krok. Ion prowadził. Nagle uchwycił ją za ramię, zatrzymał.

— Patrz! — powiedział wskazując ruchomą ścieżkę, tę samą, którą przed kilkoma minutami Alka ostrożnie ominęła.

— Co?

— Porusza się w przeciwną, niż powinna, stronę — powiedział.

Alka skinęła tylko głową.

— Teraz tędy — mruknął i skręcił w bok od laboratoriów. Biegli prostą alejką o elastycznej jak bieżnia nawierzchni.

— Jak myślisz? — spytała. — Co to wszystko znaczy?

— Niczego nie można wykluczyć — powtórzył.

Biegli jedno obok drugiego jako para zgranych ze sobą średniodystansowców: prędko, lecz bez pośpiechu, równomiernie, lecz w napięciu. Wymieniali krótkie, porwane oddechem zdania.

— Niczego nie można wykluczyć — powtórzył.

— Czy to... sam Zwiadowca?

— Nie.

— Oczywiście — zgodziła się. — Próbuje nas ostrzec. Ale...

— Ale? — spytał.

— Czy to nie może być z jego strony zwykłe udawanie?

— A jak ty sądzisz? — odpowiedział pytaniem.

— Nie.

Ion skinął głową. Twarz miał jednak pochmurną.

— Niczego nie można wykluczyć — powtórzył po raz trzeci.

— O czym teraz myślisz?

Nie odpowiedział. Dopiero kiedy wybiegli z zarośli otaczających zespół laboratoriów i przez wielką, pełną kwiatów łąkę zaczęli biec w stronę widocznej z dala wielkiej kopuły Komory Centralnej, odezwał się przyciszonym głosem:

— Początkowo myślałem, że to... obcy.

— Jacy obcy?

— Z Kosmosu?

Alka aż przystanąła. On jednak nie zaczekał na nią. Dopędziła go z trudem. Przebiegli już

blisko kilometr.

— Nonsens! — krzyknęła zdyszonym głosem.

Znów nie odpowiedział. Biegł dalej równym, spokojnym krokiem. Coraz trudniej było jej nadążyć.

— Ion, trochę wolniej — poprosiła.

Natychmiast się zatrzymał, a gdy chciała biec dalej — przytrzymał ją za rękę.

— Odpocznij.

Nie mogła już nawet odpowiedzieć, oddech nie pozwalał. Skinęła tylko głową.

— A widzisz — mruknął. — Idziemy dalej... krok za krokiem.

On też stracił oddech, ale na Saturnie chętnie i dobrze biegano. Już po kilku metrach mógł mówić całkiem swobodnie.

— Niczego nie można wykluczyć. Ale — zgodził się — ja też uważam, że obcy, że ich pojawienie się... i w ogóle że te wszystkie małe złośliwości... że to nonsens. Ktoś, kto by przybył do nas, zacząłby od porozumienia.

— Może „oni” tylko badają Zwiadowcę.

— Jacy „oni”? Co to znaczy „badają”?

— Ja, jak byłem mała — odpowiedziała niby bez sensu — chciałam zbadać każdą zabawkę. I każdą psułam.

— Aha — zastanowił się. — Więc myślisz...

— Nie — powiedziała. — Uważam, że to bzdura. Roześmiał się.

— Odpoczęłaś?

— Tak.

— No to jazda! Znów pobiegli.

— Najważniejsze — mówił Ion — żeby naprawić tę awarię... żeby... sobie z tym poradzić.

— Z czym? — spytała.

— Z tym „czymś”!

— Zresztą... nie musimy się nawet tak strasznie śpieszyć — zauważyła.

Ion zrozumiał, co chciała powiedzieć, dopiero po chwili. I wtedy klepnął ją w plecy z radości, tak że omal się nie przewróciła.

— Racja! — krzyknął.

— Wiem, że racja. Ale nie musisz... — wytchnęła z siebie — przy tej okazji... łamać mi żeber.

On jednak nie zwrócił uwagi na te słowa.

— Przecież — myślał głośno—ważne jest tylko to, że dopędzimy Rzekę. Jeśli nie zdążymy uwolnić ich teraz, zdążymy to zrobić trochę później. Co najwyżej poprosimy Bazę o nowy program. Przecież...

Spojrzała nań znowu w sposób dość antypatyczny.

— „Przecież, przecież”... — zaczęła go przedrzeźniać. — Przecież to było jasne od początku.

Nagle Ion stanął jak wryty. Miał taką twarz, jakby ujrzał rzecz straszną.

— Przecież to było jasne od początku — szepnął.

Alka ze strachem patrzyła, jak Ion blednie. Co go tak przeraziło?

— Co się stało?—spytała.

Potrząsnął głową, jak człowiek ogłuszony nieoczekiwanym ciosem.

— To niemożliwe.

— Ale co? Powiedz, co? — prosiła.

Ujął ją za ramię. Uścisk jego ręki był aż bolesny. Wyrwała mu się.

— Mów! — powiedziała ostro.

Spojrzał na nią jak na obcego. Ciągle miał trochę nieprzytomne spojrzenie.

— Chodź — powiedział. — Zaraz ci powiem.

Dokoła nich kwitła najpiękniejsza z łąk Zwiadowcy. W górze zagwizdał jakiś ptak, a w

trawach śpiewały świerszcze, krzykliwe i gadatliwe, całkiem jak na Ziemi w południowym cieple.

— Boję się — powiedział Ion. — Bardzo się boję, że będę musiał krzyczeć o pomoc.

— Coś ty powiedział? — spytała. — O pomoc?

Szedł dalej, nie odpowiadając. Do celu pozostało im już tylko kilka kroków.

— Rozumiem — powiedziała Alka. — Ja już krzyczałam „ratunku!” Ale nie pomogło.

\*

Co zaś działo się w tym czasie z Alkiem i z Robikiem?

Trzeba się cofnąć do momentu, w którym Alka i Ion stanęli w Komorze Centralnej na błękitnym kwadracie pośpiesznej windy.

Alek patrzył na nich mrugając powiekami. Oni zaś — po prostu — znikli mu z oczu.

Alek trącił łokciem Robika.

— No — powiedział. — Artyleria, baczność.

— Spocznij — zaśmiał się Robik i pocieszenie skrzywił twarz. Alek z podziwem przyjrzał się zmarszczkom i piegom Robikowej twarzy.

— Wy, roboty saturnijskie — rzekł — jesteście istotnie absolutnie bezkonkurencyjne. Nigdy bym nie zgadł, że nie jesteś człowiekiem.

— A czy to dobrze? — spytał Robik.

— A czy ja wiem? — odpowiedział pytaniem Alek. Robik uśmiechnął się nieco melancholijnie.

— Wszystko zależy od okoliczności.

W tym właśnie momencie Zwiadowca podał dokładny czas, który pozostał do chwili przewidzianej przez Supera akcji.

— Sześćdziesiąt minut — powiedział Głos.

— Jedziemy — powiedział Alek.

Transporter, na którym stali, łagodnie ruszył, ale już po chwili zaczął ostro przyspieszać.

Taśma przesunęła się w tunel podziemny. Aksamitna gąbka ścian migiała świetlnym wzorem.

Transporter leciutko kołysał się pod nogami. Alek z uśmiechem spojrzał na Robika.

— Czy ty zawsze tak sympatycznie wyglądałeś? — spytał.

— Nic podobnego — zaprzeczył Robik. — Przecież wiesz, że my, Roboty Opiekuńcze, rośniemy na swój sposób razem z wami. Ale... — zawahał się — ...sądzę, że lepiej będzie pomówić trochę o...

— Na razie nie — przerwał mu Alek.

I zaraz z powagą wyjaśnił, o co mu chodzi: — Mam nadzieję, że nie robię ci tymi pytaniami przykrości. Ale jesteś pierwszym robotem saturnijskim, jakiego w życiu widzę. Nasze ziemskie wyglądają o wiele gorzej. Więc przepraszam cię, ale...

— Proszę cię bardzo — uśmiechnął się Robik. — Nie szkodzi. Chcesz wiedzieć, jak wyglądałem? Po prostu. Kiedy Ion był bardzo mały, przypominałem ruchomy skład zabawek. Zamiast nosa śpiewający bąk, oczy z ruchomych świetlików, ręce z grzechotek...

— Musiałeś być bardzo piękny! — krzyknął z zachwytem Alek. Robik skromnie skłonił głowę.

— Nie mogłem się skarżyć — powiedział. — Byłem bardzo funkcjonalny, ale także bardzo zabawny, Ion lubił mnie ogromnie.

— No, teraz też cię lubi — wtrącił Alek.

— Zacząłem być człekopodobny od momentu, w którym Ion zaczął rozróżniać ludzi. Od tego czasu „rośniemy” razem, z tym że ja...

Nie dokończył. W tym bowiem momencie transporter, wyraźnie i ostro hamując, wniósł ich do przestronnej, okrągłej sali.

— Stanowisko artylerii — powiedział Głos Zwiadowcy.  
— Meldujemy przybycie — zawołał śmiejąc się Alek. Zapamiętał to komiczne powiedzenie z jakiegoś wizjofilmu o przedhistorycznych tak zwanych „armiach”.

— Przyjmuję rozkazy — odparł Głos, który wyraźnie nie zrozumiał ostatnich słów Alka. Alek pokiwał głową.

— Uprzejmie proszę — rzekł — o wskazanie mi steru oraz ekranu celowniczego do obsługi głównego miotacza.

— Czy to rozkaz?

— Rozkaz.

— Przyjęty — stwierdził Głos. — Proszę na stanowisko środkowe.

— Rozumiem — powiedział Alek.

W sali będącej głównym stanowiskiem baterii przeciwmeteorowej Zwiadowcy znajdowały się trzy ekrany oraz trzy pulpity dla artylerzystów pokładowych.

— To niepedagogiczne — powiedział Alek ze skargą w głosie. — Normalnie zabraniano mi się bawić podręcznym stosikiem atomowym, a teraz nagle dostaję do dyspozycji miotacz pozytronowy najwyższej mocy.

Robik parsknął śmiechem, ale zaraz zrobił się bardzo poważny.

— Ty, zdaje się, błaznujesz — powiedział tonem oskarżycielskim.

— Żadne zdaje się — westchnął Alek. — Na pewno.

— Dlaczego?

Alek spojrział na Robika trochę bezradnie.

— Albowiem — powiedział — albowiem, mój drogi Robiku, trochę się boję. Rozumiesz?

— Nie całkiem — odparł sumienny Robik.

Alek uśmiechnął się i usiadł przy środkowym pulpicie. W momencie w którym usiadł, natychmiast rozświetlił się przed jego stanowiskiem wielki, kolisty ekran.

— A więc to ona — szepnął Alek.

— Kto?

— Czarna Rzeka — powiedział Alek.

— Pięćdziesiąt minut — odezwał się Głos Zwiadowcy.

Alek zaś wskazał w głębi ekranu drobną jeszcze i mglistą, ale już całkiem wyraźną wstęgę meteorowej Czarnej Rzeki. Przez bardzo krótką chwilę obaj w milczeniu przyglądali się owej dalekiej, wyraźnej smudze.

— Zwiadowca — powiedział Alek.

— Słucham.

— Proszę mi dać strzał próbny.

— Tak jest.

Na ekranie ukazał się świetlny krążek celownika ręcznego. Oczywiście było zbyt daleko, aby dosięgnąć Rzeki. Alek wybrał sobie jednak na próbę drobne zagęszczenie punktów na jej sylwetce. Chciał sprawdzić, jak szybko uda się mu naprowadzić na nie krążek celownika. I od razu uśmiechnął się triumfalnie. Wystarczył drobny ruch, nawet nie dłonią, a dwoma palcami, by świetlny krążek natychmiast i posłusznie nakrył wybrane na cel zagęszczenie punktów Czarnej Rzeki.

— Świetnie — powiedział Robik. Alek nacisnął lekko dźwignię.

Na ekranie mignął jasny błysk — mignął szybciej niż ziemską spadająca gwiazda.

Alek stulił wargi do radosnego gwizdu, bo wreszcie mu się przypomniała melodia pewnej piosenki, zapomnianej, a bardzo sympatycznej. Nie zdążył jednak jej zagwizdać ani nawet przypomnieć sobie.

Robik nagle drgnął całym ciałem — tak jakby usłyszał jakąś nieoczekiwaną obelgę lub nawet groźbę.

— Co się stało? — spytał Alek.

— Nie wiem — odpowiedział Robik.

— Więc czemu...

— Czekaj — powiedział Robik uciszając Alka ostrym ruchem ręki. Widać było, że czegoś słucha. Czego?

„A czyż człowiek może to sprawdzić?” — pomyślał z zazdrością Alek. Nie można było przecież w ogóle porównywać sprawności ludzkich zmysłów ze zmysłami przeciętnego robota, nie mówiąc już o fenomenach saturnijskich. Choćby słuch: „one” słyszały ultradźwięki i fale radiowe, i tele—, i fale—onion, i jeszcze dziesięć tysięcy innych rzeczy. Alek zawsze twierdził, że roboty nie umierają ze śmiechu wobec ludzkiego niedołęstwa tylko dlatego, że maszyny z natury rzeczy mają łagodne charaktery. Teraz więc z cichą pokorą czekał na wyjaśnienie Robika. Czekał z pokorą, ale i niecierpliwie. Ostatecznie nawet dziś była to rzecz niezwykajna: niepokój robota.

Okazało się jednak, że Robik nie zamierzał wyjaśniać, co go zaniepokoiło.

„Wygląda jak pies, który zwęszył węża”—pomyślał Alek, gdyż Dingo babki z Delhi nie znosił nawet potulnych i pocziwych węży wodnych.

Robik zaś poprosił tylko:

— Poczekaj tu chwilę na mnie.

— Jak to? — spytał Alek.

— Zaraz wracam — powiedział Robik i stanął na taśmie transportera z kierunkiem „powierzchnia”. Transporter ruszył od razu i ściana zamknęła się za nim jak cień.

Alek pokiwał fraszobliwie głową.

— Trochę nerwowe te wakacje — powiedział w stronę ekranu i nadal zamierzał wygłupiać się w tym stylu, ale jakoś nie wychodziło.

— Jak tak dalej pójdzie — powiedział głośno — gotowi nam przedłużyć wakacje. Człowiek zanudzi się na śmierć.

Ta jednak możliwość, że człowiek mógłby się zanudzić na śmierć, była tak nieprawdopodobna, że Alek wybuchnął śmiechem. A zaraz potem przypomniał sobie „atak kaszlu u oszalałej z pośpiechu kukułki” i aż się ze śmiechu zapłakał.

Nagle umilkł. W jednej chwili. Oto bowiem rozległ się Głos Zwiadowcy, a było w owym Głosie coś takiego, jak popłoch. Może nawet strach.

— Uwaga! — zawołał Głos. — Uwaaa...

To drugie „uwaga” rozlało się w obrzydliwy, niedołężny bełkot.

— Co? — spytał Alek.

Nikt nie odpowiedział. Tylko raz jeszcze zabełkotał nieprzytomny i obłąkany Głos swe uprzednie „uwaaa...”, a potem nastąpiła przeraźliwa cisza.

Alek wstał. Rozejrzał się dookoła.

— Ja śnię — powiedział. — Alek, zbudź się! Cisza.

W głębi ekranu, powoli a milcząco, rosła i zbliżała się wstęga Czarnej Rzeki.

Najgorsze jednak było to, że „coś” zaczęło się dziać. Że to „coś” chyba działo się dalej. A działo się już teraz w całkowitej ciszy i w milczeniu, którego nie można było ani zrozumieć, ani znieść.

— Robiiiik! — wrzasnął Alek. Nic. Ani echa, ani głosu.

— Przestań wrzeszczeć — doradził sobie Alek. — Ani to ładne, ani to mądre. Pomyśl, co dalej?

Chwilę zastanawiał się z najgłębszą powagą. Z powagą i bez słowa.

„Co zaniepokoiło Robika? — pytał siebie. — Czego przestraszył się Robik?” — pytał dalej. Potem powiedział głośno:

— Będę mówił na głos. Łatwiej mi się myśli. Podniósł głowę do sufitu.

— Jeśli mnie słyszysz, Zwiadowco, zapisuj. Zaczynam rozmowę sam ze sobą. Uwaga.

Rozmowa była prosta: pytanie, odpowiedź, pytanie, odpowiedź... Oto pytanie pierwsze:

— Co mogło zaniepokoić Robika? Odpowiedź:

— Nie wiem.

A potem już potoczyło się sznureczkiem:

— A co podejrzewasz?

— Mogła go zaniepokoić zwykła awaria Zwiadowcy.

— Nie sądzę.

— Dlaczego?

— Bo zwykłą awarię Zwiadowca naprawia sobie sam.

— A więc?

— Po pierwsze: albo Zwiadowca zwariował i odmawia sobie pomocy, a nam posłuszeństwa...

— Albo?

— Albo po drugie: „to” przyszło z zewnątrz. I że... to są obcy.

— Bzdury!

— Dlaczego bzdury? Po pierwsze: w niesprzyjających warunkach zdarzały się przypadki utraty przytomności nawet u bardzo wybitnych supermechanomózgów. Ostatecznie znajdujemy się w warunkach co najmniej nie sprzyjających spokojowi umysłu. Zwiadowca jest wrażliwy, może nawet nieśmiały...

— Błądniesz?

— Nie. Bo może oba podejrzenia są słuszne? I to, że na Zwiadowcę dostali się jacyś obcy, jacyś nieprzychylni i złośliwi obcy z Kosmosu, ci, którzy na przykład kryją się we wnętrzu Czarnej Rzeki, którzy złowili już jak na wędkę Alfę i Betę, a teraz łowią nas... I może... właśnie na skutek tej ich obecności Zwiadowca nie mogąc się obronić... zwariował. To ostatnie słowo Alek krzyknął z najgłębszym przekonaniem i na chwilę przerwał ów dialog ze sobą.

„Bzdury, bzdury, bzdury...—pomyślał kilka razy z uporem i złością. A potem już spokojnie:

— należy czasem mówić na głos bzdury. Właściwie dopiero wtedy — myślał — można dobrze ocenić swoje myśli, jeśli się je wypowie na głos, po cichu potrafią się przycisnąć”.

Niewiele mu jednak na razie z całej tamtej rozmowy przyszło. Stracił kilka bezcennych minut na nieco głupkowatą zabawę z samym sobą. Po to, by zrozumieć tylko tyle, że mówił bzdury. Zaraz, kiedy z a c z a ł je mówić?

Przecież pierwsze pytanie było prawidłowe.

— Popatrz, popatrz!—rzekł tonem strofującym.—Czy... aby...

Nie zdołał jednak dokończyć pytania. Oto znów odezwał się przerażony — najwyraźniej przerażony! — Głos Zwiadowcy:

— Uwaga, dowódco! Uwaga, dowódco! Należy natychmiast...

— Co?! Co natychmiast?! — wrzasnął Alek z wściekłością, bo po słowie „natychmiast” nastąpiła wprawdzie chwila ciszy, potem Zwiadowca powiedział jeszcze: „Natychmiast... na... miast... tych... miast... miastami...” — i umilkł.

Coś jednak zaczęło się dziać. Oto nagle ruszyła taśma przechodzącego przez sam środek sali transportera.

Wtedy Alek raz jeszcze powtórzył na głos pierwsze pytanie ze swej uprzedniej rozmowy. A potem — już bez żadnego namysłu, bez zastanowienia, skoczył na taśmę rozpędzającego się coraz bardziej transportera.

Rozstawił szeroko nogi i ugiął kolana. Taśma transportera drżała pod stopami w najwyższym pędzie. Byle nie upaść! Taśma od razu osiągnęła szybkość używaną jedynie na wielkich przestrzeniach.

A zresztą — gdyby nawet upadł? Nic by mu się nie stało. Każdy normalny transporter miał alarmowe łapy, którymi chwycił i podtrzymał tracącego równowagę człowieka. Każdy normalny transporter... ale kto mógł dziś zagwarantować, że ten jest normalny?

Taśma wiła się wśród przelotowych tuneli, przebiegała przez nieznanne sale, komory i maszynownie z szybkością na pewno nienormalną.

Alek stał pochylony do przodu, opierając dłonie na udach, wpatrzony w migające przed nim obrazy — i w każdej chwili gotów do skoku. Twarz miał skupioną. I nic ponadto. A tymczasem — kiedy nagle otworzył usta i zaczął krzyczeć — głos jego zabrzmiał wbrew owej spokojnej i skupionej twarzy jak głos śmiertelnie przerażonego chłopca.

— Ratunku! — krzyczał Alek. — Pomocy! Ratunku! Chwilę odczekał — i potem znów: — Ratunku! Pomocy! Ratunkuuuu!

Okrzyki te powinny były w normalnym stanie wywołać alarm całego Zwiadowcy oraz przyzwać pomoc wszystkich żywych i wszystkich mechanicznych. Tymczasem nie działo się nic. Transporter nadal pędził przez tunele, sale, maszynownie i komory, w drugiej zaś czy trzeciej minucie tej podróży Alek nagle klepnął się w czoło.

— A więc to tak? — spytał.

Zrozumiał bowiem, że wpadł w zamknięty krąg. Po prostu transporter wił się ciągle po tej samej drodze. Oto obszerna, jasna, laboratoryjna sala z wielkimi kulami mikroskopów. Potem dwubarwny tunel. Potem kilka niewielkich komór, znów tunel, dwie ciemnie, szeroki, rozwidlający się korytarz i znowu: laboratoryjna sala z mikroskopami, dwubarwny tunel, kilka komór, tunel, ciemnie, szeroki korytarz — i znów: sala, mikroskopy, tunel, komory, tunel, ciemnie, korytarz...

— Ratunku! Pomocy! — wrzasnął raz jeszcze Alek rozpaczliwym głosem i ze spokojem na twarzy. — Ratunkuuuu! A nie doczekawszy się żadnej reakcji szepnął do siebie: — No to... skaczemy.

Przesunął się na skraj taśmy. Bezpiecznie skakać mógł jedynie w dwóch miejscach — w sali z mikroskopami albo w szerokim korytarzu. Każde inne miejsce było zbyt ciasne. Mógł po prostu wałnąć łbem w ścianę, co nawet przy cudownej elastyczności tutejszych ścian na pewno nie byłoby zbyt przyjemne.

Postanowił więc raz jeszcze „zrobić kółko”, by dokładniej przygotować się do skoku.

Kolejność znał już na pamięć: sala, tunel, komory... iiii... Korytarz!

I nagle zdecydował: skacze w korytarzu. Po przeciwnej bowiem jego stronie dostrzegł wyraźnie ruchomy pas, pulsujący zielonkawym światłem, a więc taśmę drugiego transportera. Dostrzegł ją i skoczył.

Już podczas skoku myślał: „Ten drugi wznosi się w górę... nareszcie będzie na powierzchni... ale co się stanie, jeśli ten drugi idzie w kierunku przeciwnym...”

Nie zdążył sobie na szczęście wyobrazić, co mogłoby się stać, gdyby ten drugi transporter szedł w przeciwnym niż pierwszy kierunku. I tak nie dałoby się cofnąć już skoku. A poza tym wyobrażenie sobie tego okropieństwa wcale nie było potrzebne.

Okazało się bowiem, że taśma tego drugiego transportera idzie w tym samym co pierwszy kierunku. Dzięki temu Alkowi udało się utrzymać na nogach. Po chwili zaś już klasnął w ręce z radości: taśma wyraźnie pięła się ku górze.

— Brawo! — krzyknął wreszcie.

Oto bowiem zrobiło się nagle bardzo jasno. Transporter wyskoczył na powierzchnię, zatoczył łuk wśród lasku daktylowych palm, minął wysoką, niby afrykańską, wydnię piaszczystą — znowu tunel...

To chyba tu!

Alek lekko zeskoczył ze zwalnającej taśmy. Nie omylił się — stał na wprost głównego wejścia do Komory Centralnej.

Postąpił krok naprzód i ostrożnie dotknął zamkniętej ściany końcami palców. Powinno było wystarczyć: Zwiadowca przecież pamiętał zarówno jego głos, jak odciski palców. Jeśli nie pomagały ustne prośby, może da się oddziaływać dotykiem.

Drgnął z radości, bo ścianą istotnie lekko się poruszyła. I choć nie otwarła się jeszcze, czuło



się jednak jej dobre chęci, jej szczery, choć nie wiadomo czemu bardzo ciężki wysiłek. Alek wparł się obiema rękami w miejsce, w którym spojenia ściany powinny były się rozejść na boki. Jego twarz zaczął coraz bardziej rozjaśniać zwycięski uśmiech: ściana poddawała się naciskowi nierównomiernie, skokami, lecz stale.

Wreszcie, tając oddech, Alek stanął u otwartego wejścia do Komory Centralnej. Znajdowało się ono po przeciwnej stronie tego wejścia, którym poprzednio dostali się do Komory.

Tamto również stało otworem. Co więcej — było zablokowane na siłę wielką belką paraluminium, jakby ktoś obcy, kto nie był pewny posłuszeństwa Zwiadowcy, chciał sobie zapewnić swobodne wchodzenie i wychodzenie.

Alek w milczeniu patrzył na wnętrze Komory. Już nie uśmiechał się.

Już otworzył usta, żeby wydać rozkaz, kiedy nagle gdzieś z daleka, jakby w głębi przeciwległego korytarza, rozległ się przeraźliwy krzyk Iona.

Był to krzyk bez słów, bez imion, bez jednego artykułowanego dźwięku. Alek jednak czuł, jak cała krew odpływa mu z serca. Krzyk Iona był bowiem krzykiem prawdziwego cierpienia. Na dźwięk owego krzyku ktoś w Komorze Centralnej gwałtownie się poruszył. Ów ktoś najwidoczniej od dłuższego już czasu tu przebywał — zdołał bowiem rozmontować jedną ze ścian i odsłonił tym sposobem ogromną wielozwojową cewkę jednego z ośrodków mózgowych Zwiadowcy. Potem zaś podłączył do cewki jakiś zespół kryształów. Co robił ów ktoś? Naprawiał czy psuł?

Ów ktoś na dźwięk krzyku Iona wprawdzie się poruszył, jak człowiek trafiony śmiertelnym strachem. Potem zerwał się na nogi i runął w otwarte przejście, w stronę, z której dobiegł ów krzyk. Z jego ruchów, z wyrazu oczu i twarzy Alek mógł wywnioskować tylko jedno: że ów ktoś z całych swych sił pędził na ratunek krzyczącemu Ionowi.

Tym kimś był Robik.

Robik, sadząc ogromnymi skokami, znikł w głębi przeciwległego korytarza.

Wtedy Alek podbiegł do rozmontowanej ściany i jednym szarpnięciem dłoni oderwał od wielozwojowej cewki zespół blokujących ją kryształków. W tym samym momencie do Komory wbiegła Alka, krzycząc wysokim głosem:

— Zwiadowca, rozkaz! Cofamy uprawnienia dla Robota Opiekuńczego!

— Tak jest! — odkrzyknął natychmiast jasny i czysty Głos Zwiadowcy.

— Zwiadowca! — zawołał Alek. — Nie wolno Robotowi niszczyć. Masz go tylko odosobnić. Zwiadowca przez moment ociągał się z potwierdzeniem tego rozkazu. W końcu powtórzył z wyraźnym żalem:

— Nie wolno niszczyć. Tak jest.

W ciągu kilkunastu następnych sekund korytarzem przetoczyło się kilka zwykłych zespołów naprawczych robotów — niewielkich kul, opatrzonych setką najróżniejszych mechanicznych kończyn.

Dwie z takich kul wtoczyły się do Komory Centralnej i przystąpiły do naprawy wielozwojowej cewki oraz wmontowania na dawne miejsce zdjętego przez Robika płatu ściany. Dwie inne błyskawicznie odblokowały wejście tnąc w ciągu pięciu sekund grubą paraluminium belkę na dziesięć części.

Alek i Alka jeszcze przez chwilę patrzyli na siebie bez słowa. Ucałowali się. Szybko i ze szczęściem w oczach. Potem do Komory wbiegł Ion.

Był bardzo blady.

— Zwiadowca! Przyślij lekarza, podaj czas, przygotuj program akcji bojowej — rozkazał. — Przede wszystkim czas.

— Osiemnaście minut, dwadzieścia sekund.

— Zdamy! — krzyknął Alek.

— Ion, co ci jest? — krzyknęła Alka.

Ion bowiem zachwiał się na nogach. Byłby upadł, gdyby go nie podtrzymała. Jego lewa dłoń szerniała od skrzepłej krwi i oparzeń.

— Zwiadowca, lekarz! — powtórzył Alek.

— Rozkazy przyjęte.

Z trzeciego wejścia (które służyło głównie do przewozu mechanizmów) wysunął się bez szelestu wielki biały sześciennik Mechanolekarza.

— Boli? — pytała Alka. — Co się stało, Ion?

Ion poszedł do Mechanolekarza, wsunął poranioną i poparzoną dłoń w zaciemnioną przegrodę aparatu — i już po sekundzie się uśmiechnął.

— Uff — westchnął z ulgą — przestało nareszcie boleć. Potem uśmiechnął się z wyraźnym zawstydzeniem.

— Z własnej woli wsadziłem łapę pod skraj transportera w ruchu. Musiałem to zrobić — powiedział szybko. — Gdyby mnie naprawdę nie bolało, nie potrafiłbym tak przekonywająco krzyczeć, a wtedy Robik nie wybiegłby stąd i kto wie, czy udałoby się opanować sytuację.

— Dziękuję — powiedział Mechanolekarz.

Ion wyjął rękę z aparatu i spojrzał na nią ze zdumieniem. Pierwszy raz w życiu miał do czynienia z Mechanolekarzem. To było wspaniałe. Od razu skończył się ból, znikły skaleczenia i oparzenia — całą dłoń pokryła, niczym najcieńsza z rękawiczek, warstwa sztucznej tkanki ochronnej.

— Dziękuję — powiedział Ion, a Mechanolekarz bezszelestnie wycofał się w to tajemnicze miejsce, z którego przed chwilą przybył.

— Kiedy się wszystkiego domyśliłeś? — spytała Alka brata. Alek przez sekundę się jeszcze zastanowił.

— Wtedy — odpowiedział — kiedy sobie uprzytomniłem, co do nas powiedział na pożegnanie.

— To tak jak my — zdziwiła się Alka. Ion ujął ich pod rękę.

— Proszę was! Starajcie się go zrozumieć — uśmiechnął się błagalnie. — Przecież pierwszym prawem Robotów Opiekuńczych jest bronić człowieka przed niebezpieczeństwem. Robik miał zlecenie: opiekować się nami. Nie chciał pozwolić, byśmy w jakikolwiek sposób narażali się na niebezpieczeństwo.

— Ależ, Ion! — uśmiechnął się Alek — Przecież rozumiemy. Dostaliśmy do wykonania niebezpieczną robotę. Nie można żądać od robotów, by myślały tak, jak my. I lepiej niech tak nie myślą.

Alka nieco lekceważąco wzruszyła ramionami.

— Mój drogi Ionie — rzekła. — Najściślejszy umysł ludzki nie mógłby czegokolwiek zarzucić Robikowi. Bo który konstruktor mógł przewidzieć całą tę dziką sytuację?

Ostatecznie muszą czasem się zdarzać takie wypadki, w których my... ludzie... ciągle jeszcze jesteśmy potrzebni!

— Piętnaście minut — przypomniał Głos Zwiadowcy.

— Dość gadania — powiedział Ion. — Rozjeżdżamy się na stanowiska.

— Mam wniosek — powiedziała Alka.

— Jaki?

— Aby w minutę po naszym starciu przywrócić uprawnienia Robikowi. Od momentu, w którym my znajdziemy się poza Zwiadowcą, on będzie się starał już tylko o umożliwienie naszego powrotu. Uważam, że mój wniosek jest bardzo rozsądny — zakończyła skromnie.

— Jestem tego samego zdania — rzekł Alek.

— Ja też — powiedział Ion patrząc na nią z głęboką wdzięcznością.

Alek zatarł rękę.

— Wspaniale — powiedział. — Nie będę sam. A w ogóle...

— A w ogóle... już dość! — przerwał mu Ion. — Na stanowiska.

— Wiecie co? — przypomniał sobie Alek. — Widziałem niedawno kilka wizjofilmów o czasach barbarzyńskich. Ludzie zamiast życzyć sobie powodzenia życzyli sobie „złam kark”. A więc: złamcie karki! — krzyknął wskakując na taśmę transportera, która w tej sekundzie wyniosła go poza Komorę.

— On jest bardzo niepoważny — westchnęła Alka.

— Bardzo go lubię — powiedział Ion. Uśmiechnęła się nikłym, czułym uśmiechem.

— A ja jeszcze więcej.

Do chwili, w której samolot bojowy Zwiadowcy miał rozpocząć swą akcję przeciw Czarnej Rzece, pozostało już tylko sześćdziesiąt sekund.

— Jedna minuta — powiedział Zwiadowca.

I od tego momentu zaczął podawać sekundy:

— Pięćdziesiąt dziewięć, pięćdziesiąt osiem, pięćdziesiąt siedem...

Alka i Ion siedzieli już na swoich stanowiskach: Ion przy pulpicie pilota, Alka przy pulpicie strzelca.

Przed chwilą Zwiadowca skończył nadawanie planu działania, wykazu danych przestrzennych i danych czasowych. Automaty kosmolotu znały go już od dawna. Ale przecież istniała możliwość, że Czarna Rzeka zakłóci ich działanie, zablokuje radiowe i radarowe ich czułki. Dlatego Ion i Alka wyuczili się podstawowych danych na pamięć. Przepowiadali je teraz sobie szeptem.

Przed chwilą Alek przekazał ostatnie przed startem pozdrowienia. Usłyszeli jego cichy głos.

— Siostrzyczko — powiedział — Ion, przyjacielu miły! Trzymajcie się. I w ogóle.

To „i w ogóle” powiedział tak, że... mniejsza o to. Nikt nie lubi, jak się publicznie opowiada o jego wzruszeniach.

— Trzydzieści jeden, trzydzieści, dwadzieścia dziewięć... — mówił Zwiadowca.

Przed nimi, na ekranach, walił się w Kosmos i przelewał wśród milczącej pustki ogrom Czarnej Rzeki. Zwiadowca pędził równolegle do jej nurtu i jakby nieco ponad nim — niczym ptak nad oszalałą, kamienną powodzią.

A za trzydzieści... dwadzieścia dziewięć... dwadzieścia osiem... dwadzieścia siedem sekund w ów strumień ogromnych, pędzących przez Wszechświat kamiennych brył miał się wdrzeć bojowy kosmolot Pezeta.

Załoga: Ion Soggo (pilot) i Alka Roj (strzelec pokładowy). Zadanie: znane. Czas do wykonania: czterdzieści minut.

— Uwaga — zadudnił Głos Zwiadowcy. — Dziesięć... dziewięć... osiem...

Ion i Alka poprawili się lekko na swoich miejscach.

— Siedem... sześć... pięć...

„Co tak szumi w uszach?” — myślała Alka. „Co tak szumi?” — pomyślał Ion.

Zaraz potem Ion usłyszał tuż obok siebie ciche westchnienie Alki. Pomyślał o niej bez słów, ale z wielką czułością.

— Trzy... dwa... jeden... — liczył Zwiadowca i wreszcie: — Start! — powiedział.

\*\*\*

Od jaśniejącego zielonym pozycyjnym światłem Zwiadowcy oderwał się niewielki bojowy kosmolot typu KB 803 — i właśnie tak rozpoczęła się słynna akcja Zwiadowcy przeciw Czarnej Rzece.

Alek, ujrawszy ten obraz na ekranie kontrolnym, głęboko odetchnął. Kosmolot wziął bowiem kurs prosto na Czarną Rzekę i na pełnej szybkości pikował prostopadłe ku niej, jakby miał tylko jeden cel, jedno zadanie: rozbić się o jej kamienny nurt.

Alek wiedział, że jest inaczej, że za sekundę kurs się zmieni. A mimo to westchnął z głęboką ulgą, gdy kosmolot zataczając ogromny luk zaczął podchodzić do Rzeki pod coraz to

ostrzejszym i ostrzejszym kątem.

— Pięknie — powiedział.

Był to wprawdzie manewr wykonany przez automaty kosmolotu, ale przecież automatom także należą się czasem pochwały.

Alek rozparł się w swym fotelu z wielką już pewnością siebie: jak na razie — żadnych zakłóceń, które obezwładniły Alfę i Betę. Pomyślał nawet z pewnym żalem, że szkoda, że mogłoby być ciekawiej, gdyby... i natychmiast sam siebie skarcił za idiotycznie głupie pomysły. Ostatecznie stawka jest za wysoka, by żałować utraconej zabawy w bohaterów.

— Dziękuję — powiedział Robik.

Minęła już minuta od startu kosmolotu i Robik wrócił do uprzednich swych uprawnień.

Stał teraz w progu salki artyleryjskiej i niepewnym wzrokiem patrzył na Alka.

— Zwiadowca — powiedział nieśmiało — przekazał mi całą waszą rozmowę na mój temat.

Dziękuję raz jeszcze — powtórzył.

Alek uśmiechnął się, jak umiał najserdeczniej.

— Ależ, mój drogi Robiku — rzekł mrugnawszy okiem. — Z punktu widzenia wpojonych w ciebie praw wykazałeś, jak na Satumijczyka przystało, najwyższą jakością. Broniłeś nas przed niebezpieczeństwem.

— Jesteś taktownym chłopcem — rzekł Robik.

— Ależ jestem szczery! — zawołał Alek.

— Spodziewam się — westchnął z ulgą Robik i rozsiadł się wygodnie obok Alka.

— I w ten sposób... — zaczął zdanie. Dokończył je Alek:

— ...mamy to już za sobą.

— Właśnie — uśmiechnął się Robik. Potem umilkli i patrzyli w ekran.

Obecnie bowiem Zwiadowca poszedł ostrym zrywem szybkości do przodu. Przyszedł czas zająć pozycję, z której Pezet miał wykonać swe zadania. Jak wiadomo, rozkaz dlań brzmiał dość prosto: zająwszy pozycję FAMM 192, 041, 42... (i tu jeszcze czterdzieści osiem danych literowych i liczbowych określających planowane położenie Zwiadowcy)... rozpocząć bombardowanie Czarnej Rzeki miotaczami pozytronowymi na głębokość... (tu osiem pozycji) w ciągu trzydziestu dwu minut czterech sekund oraz pięciuset czterdziestu dziewięciu tysięcznych sekundy — licząc od momentu, w którym Zwiadowca da swym bateriom sygnał: „Ognia!”

Równocześnie jednak — przez cały ten czas — ekran kontrolny ukazywał drogę bojowego kosmolotu KB 803 ku Czarnej Rzece.

KB 803 dotarł już do powierzchni nurtu — i teraz, bezwładny, z wyłączonym napędem, zsuwał się powoli w głąb Czarnej Rzeki, bezwolnie ulegając jej sile przyciągania i szybkości jej pędu.

Wszystko szło według planu.

— Wszystko idzie według planu — mruknął Alek — ale jednej rzeczy nie rozumiem.

— Jakiej?

— Jak ci z Bazy mogli nie przewidzieć twego postępowania.

— Przewidzieli — powiedział Robik. — Czekali tylko na to, żeby ktoś z was znalazł się poza moją kontrolą. Bali się, żebym nie zaczął za wcześnie i nie zahamował lotu Pezeta.

Przechytrzyli mnie. Wprawdzie nie zdążyli was ostrzec, ale jego ostrzegli i dlatego nie udało mi się zawrócić go z drogi.

— Zrobiłbyś to?!

— Oczywiście — powiedział Robik. — Bardzo się dziwię, że tak się dziwisz. Moim zadaniem... było...

— Wiem, wiem! — przerwał mu Alek i wskazał malejącą sylwetkę KB 803, migającą już teraz pośród brył, bloków i złomów Czarnej Rzeki.

Robik wpatrywał się w świecącą nikle kreseczkę z tą dziwną nieludzką nieruchomością,

będącą u robotów świadectwem szczególnego wysiłku umysłowego.

Potem powiedział:

— Zwiadowca, mam pytanie.

— Słucham. — Głos Zwiadowcy znów brzmiał całkiem uprzejmie.

— Czy... — tu jednak Robik urwał i jeszcze przez kilka sekund głęboko się zastanawiał.

Alek spojrział nań trochę niespokojnie: co znowu ma oznaczać ów namysł? Ale właśnie w

też chwili Robik powiedział:

— Przepraszam, Zwiadowco. Wpierw muszę się poradzić człowieka dowódcy.

— Tak jest — powiedział Głos.

— Słuchaj, Alek — zaczął Robik. — Myślę o takiej sprawie.

I opowiedział o owej sprawie. Alek słuchał z najwyższą uwagą. Potem skinął głową.

— Sądzę — odezwał się — że masz rację. Spytaj jednak Zwiadowcy, czy to możliwe.

Robik spytał.

Zwiadowca odpowiedział, że możliwe.

— A więc — powiedział Robik—ja czekam.

— Uwaga — odezwał się Głos Zwiadowcy — za siedem minut rozpoczynamy operację ogniową.

Na stanowisku baterii nastąpiło milczenie.

— Dlaczego Alfa i Beta ciągle milczą? — spytała Alka.

— Nie wiem — odpowiedział Ion.

— Przecież jesteśmy już niedaleko od nich.

Ion spojrział na kontrolną tablicę automatycznego pilota. Pośród setek liczbowych i literowych danych wybijała się liczba wyświetlona czerwonym światłem.

Ion uśmiechnął się wesoło. Byli już naprawdę niedaleko od Alfy i Bety. Wszystko szło tak gładko i po prostu, że właściwie nie chciało się wierzyć, iż uprzednie niebezpieczeństwa nie przysniły się, lecz groziły naprawdę. Że, co gorsza, nadal grożą załogom Alfy i Bety.

— I gdyby nie to zagęszczenie meteorów przed nami — powiedział — bylibyśmy już koło nich.

— Dlaczego milczą?—spytała po chwili.

— Jakieś awarie łączności — mruknął.

— Jakie?

Nie odpowiedział z tej prostej przyczyny, że nie potrafiłby odpowiedzieć. Po chwili znów usłyszał:

— Ion.

— Co?

— Jesteś pewien, że oni żyją?

— Oczywiście! — zawołał z tak głębokim przekonaniem, że właściwie sam siebie tym zaskoczył i uradował.

— To bardzo dobrze — powiedziała. — Dziwi mnie jednak, że tak uparcie milczą.

Wzruszył ramionami.

— A mnie już dziś nic nie zdziwi — odparł nie bez pewnego zniecierpliwienia. I chyba właśnie to jego zniecierpliwienie tak bardzo ją rozżłościło.

— Zachowujesz się — powiedziała — w sposób niemożliwy. Gdybym mogła, wstałabym i wyszła stąd. I tylko nie mów „proszę cię bardzo”. I tak masz skłonności do łatwych dowcipów. A wcale cię to w moich oczach nie usprawiedliwia, że okazujesz pewne skłonności w moim kierunku.

— Co, proszę? — spytał bezradnie.

— Wcale cię to nie usprawiedliwia — powtórzyła — że okazujesz pewne skłonności w moim kierunku. Zaczynam też odnosić wrażenie — dodała aksamitnym głosem — że

wydarzenia dzisiejszego dnia źle wpłynęły na twój słuch. Jak sądzisz?

Nie odpowiedział z tej prostej przyczyny, że bardzo mu się chciało śmiać, a bał się, iż rozłości ją tym jeszcze więcej.

Zapadła zatem głęboka cisza. Na tablicy kontrolnej powoli zmieniały się szeregi liczb. Owa najważniejsza — wyświetlona czerwienią — powoli zniżała się ku dwudziestu siedmiu tysiącom.

Pilot automatyczny bardzo ostrożnie szukał drogi wśród nurtu Czarnej Rzeki. Prowadził najszybszy typ kosmolotu z szybkością niższą od tej, jaka od dawna już obowiązywała na egzaminach w dziecięcych szkółkach małego pilotażu.

Alka odchrząknęła trochę niepewnie.

Ion udał, że nie słyszy. Po kilku sekundach spytała już całkiem miłym głosem:

— Gniewasz się?

— Nie.

— To... czemu milczysz?

— Zastanawiam się.

— Nad czym?

Tu wytrzymał małą pauzę:

— Z jakiego właściwie powodu tak cię polubiłem.

— No i co? — spytała bardzo obojętnym tonem.

— Jest to dla mnie szczerą zagadką — odrzekł z nieoczekiwaną złością, która zaskoczyła właściwie tylko jego.

Alka bowiem — jakby z góry ów wybuch przewidziała — wpierw tylko zaśmiała się cichutko. Usłyszał ów śmiech tuż koło ucha: lekki jak oddech, trochę złośliwy i wielce radosny.

Potem powiedziała:

— Ja też mam swoją zagadkę.

— Jaką? — spytał czując, że jego pytanie brzmi tym razem w wyjątkowo głupi sposób.

— Za co — odpowiedziała głosem znowu aksamitnym i niewinnym — za co właściwie ja ciebie tak bardzo polubiłam?

Nie odpowiedział po raz trzeci. Tym razem z tej prostej przyczyny, że zabrakło mu pomysłu na rozsądną odpowiedź. Ona zaś — idąc za ciosem — spytała:

— I co ty na to?

Znalazł w końcu odpowiedź. Pamiętał potem świetnie, że ją znalazł i że była całkiem niezła, w miarę złośliwa i w miarę czuła. Nie mógł jednak sobie w żaden sposób przypomnieć jej dokładnej treści. Bo właśnie wtedy, kiedy otworzył usta, żeby odpowiedzieć — po prostu zabrakło mu czasu na tych kilka słów.

— Gotów! — rozległ się Głos Zwiadowcy.

W sekundę potem, jak ucichł dźwięk ostatniej głoski tego słowa — w sekundę później, i to z dokładnością do — jednej tysięcznej części sekundy — pierwszy słup oślepiającego białego ognia uderzył w Czarną Rzekę.

Główny miotacz Zwiadowcy był bronią o zadziwiającej potędze. Automatyczny strzelec wybrał do pierwszego uderzenia ogromną bryłę skalną o średnicy nie mniejszej niż dziesięć kilometrów. I oto cios białego ognia wcale nie rozżarzył jej, nie spalił, nie spopielił — albowiem... albowiem bryła po prostu znikła, przemieniła się w ciało „niebyłe”.

Po pierwszej — druga, trzecia, czwarta, dziesiąta...

Automatyczny strzelec otrzymał zadanie wybicia w rzece przegrody szerokości dwustu, wysokości pięćdziesięciu, długości około pół tysiąca kilometrów. Stąd każdego pojawiającego się meteora natychmiast dopadał cios pozytronowej maczugi automatycznego strzelca.

Alek chłonął ów obraz w ekranie z ciekawością, w której był także gniew. Oto był wróg — oto był przeciwnik: mordercze i nieokiełznane siły natury.

Rzekomo w najczarniejszych czasach ludzkości, w czasach jej barbarzyńskich początków, było tak, że ludzie sami dla siebie byli wrogami. Nawet zabijali siebie nawzajem. Wprawdzie nie bardzo chce się wierzyć w bzdury aż tak okrutne — ale historycy twierdzą, że tak było naprawdę. Czegoś podobnego zrozumieć już jednak nie sposób. Bo kto może być prawdziwym wrogiem człowieka? Wiadomo: huragan, który trzeba rozpędzić, strumień meteorów, który trzeba zwyciężyć, zasadzki skalne na Jowiszu, mrozy na Neptunie, burze piaskowe na Marsie — oto wrogowie prawdziwi.

Alek zrozumiał, że w jego gniewie kryje się coś bardzo ważnego i że jest to wspaniałe uczucie. Oto właśnie on, trzynastoletni chłopiec z Ziemi, razem z niewiele starszym robotem z Saturna są w tej chwili świadkami wielkiej i wspaniałej walki Pierwszego Zwiadowcy z wrogiem około tysiąca razy od niego większym — a w istocie wielokrotnie od niego słabszym, słabszym przez to, iż stanowiącym siłą ślepa i bezmyślna.

— Widziałeś kiedy taki film?— spytał Alek obojętnym niby głosem.

— Nie.

Robik również z napięciem i nieruchomo wpatrywał się w ekran. W jego oczach znów tliły się zielonkawe błyski — tym bowiem razem Robik mógł uratować Iona z niebezpieczeństwa tylko poprzez wojnę z Czarną Rzeką.

— Nienawidzę — powiedział.

Alek spojrział nań spod oka i pomyślał, że niedobrze byłoby mieć tę nienawiść przeciw sobie.

— Patrz! — krzyknął Robik.

W głębi ekranu wyrósł nagle meteor przerażającej wielkości. Wydawało się, że wali się wprost na Zwiadowcę, że nie ma i nie będzie przed nim ucieczki. Alek mimo woli zagryzł wargi.

— Uwaga!— szepnął.

Wydawało mu się, że już ani chwili nie można dłużej czekać. „Każda następna sekunda to koniec” — pomyślał nawet bez strachu.

— Jeszcze nie — uspokajał Robik — jeszcze nie.

— Już! — krzyknął.

Strzelec automatyczny wyczekał z salwą do ostatniej setnej sekundy. On bowiem wiedział, że jest to moment najważniejszy i najlepszy. I właśnie wtedy, kiedy już zdawało się, że ogromny meteor wpierw rozsądzi swą ciemną sylwetką ekran, a potem najlżejszym muśnięciem czy choćby samym swym cieniem zmiażdży i zetrze w proch maleńką, tak przy nim drobną sylwetkę Zwiadowcy — właśnie wtedy z baterii Pezeta padł płomień największej jasności i objął ogromnego przeciwnika najgorętszym z uścisków.

— Już! — krzyknął Alek.

Tym razem strzelec musiał użyć Głównego Miotacza. Miał on siłę ognia zdolną zagotować średniej wielkości morze, i oto meteor znikł.

Po prostu — znikł. Przed chwilą groził Zwiadowcy, pędził ku niemu, już niemalże zabijał. A teraz — nie było go. Nie było go tak dokładnie, jakby go nie było nigdy.

Alek spojrział na Robika, Robik na Alka. I wtedy też zdarzyła się rzecz bardzo dziwna. A mianowicie Alek ujrzał w oczach robota zdziwienie.

— Co? — powiedział z dumą Alek. — Był i nie ma go.

— Istotnie — powiedział Robik.

Nadeszła drobna chwila wytchnienia. W Czarnej Rzece pojawiła się jakby mielizna, w której migotał tylko i przesypany był gęsty kamienny i żuźlowy drobiazg.

Małe miotacze z powierzchni Zwiadowcy przemieniały go w setki drobnych iskier.

Wyglądało to, jakby przez kosmiczną przestrzeń popłynął nagle prawdziwy ziemski strumień, po którym tańczy słoneczny blask i odbija się siatką drobnych światła, razi oczy i cieszy

serce.

— Jakie to ładne — powiedział Alek.

— Nie rozumiem twoich zachwyków — rzekł sucho Robik. — Sytuacja jest mimo wszystko niebezpieczna.

Alek spojrział nań znowu trochę niepewnie.

— Słuchaj, Robik — spytał. — Czyś ty sobie przypadkiem nie przepalił swego poczucia humoru?

Robik wzruszył ramionami.

— Bardzo możliwe. Nie mam teraz czasu na badanie uzwojeń. Sądzę, że...

Tu umilkł. I natychmiast zerwał się na równe nogi.

— Uwaga! — przemówił gromki Głos Zwiadowcy. — Kosmolot bojowy traci łączność. KB 803 traci łączność. Uwaga! KB 803, co z tobą? Co z tobą?

— Pezet, oddaj głos! — krzyknął Alek.

„A więc jednak? — pomyślał gorączkowo. — A więc oni też wpadają w tę przeklętą pułapkę? A może i ja za chwilę, tak jak oni, jak Alfa i Beta... Nie! Nie damy się, żeby nie wiem co!”

— Słuchajcie! — krzyczał. — Alka i Ion! Alka i Ion! Chcę was słyszeć! Nie dajcie się! Nie damy się! Żeby nie wiem co, nie damy się!

— Spokój — powiedział Robik.

Alkowi buchnęła krew na policzki. Była to chwila wstydu i strachu. Strachu o nich, wstydu za siebie.

— KB 803, uwaga! KB 803 — powtarzał uporczywie Zwiadowca. — Odezwij się! Pezet wzywa: odezwij się natychmiast!

— Ion i Alka — powiedział już spokojnie Alek. — Odezwijcie się!

Potem umilkli wszyscy troje: Zwiadowca, Alek i Robik. Czekali — teraz przecież powinien się odezwać KB 803. Powinien? Więcej — musi!

Automatyczny strzelec ponownie podjął ogień z głównego miotacza: na ekranie znów ukazał się rój ciemnych kolosów. Biały płomień zaczął obejmować je z wielką zachłannością.

Minęła jedna trzecia czasu przeznaczanego na całość akcji Zwiadowcy przeciw Rzece — i oto właśnie teraz KB 803 umilkł całkiem tak samo, jak umilkła Alfa, a w czterdzieści jeden minut później Beta.

— Uwaga — ponownie odezwał się Głos Pezeta—KB 803! Dlaczego nie odpowiadasz? Czekam na raport. Pierwszy Zwiadowca czeka na twój raport. KB 803! Odpowiadaj! Oczekuję.

Było to jednak nadal oczekiwanie daremne. KB 803 milczał. Robik wstał.

— Alek — spytał — czy pozwolisz?

— Tak — powiedział Alek. — Pozwalam.

Robik poszedł do Alka i podał mu rękę. Była to trochę dziwna chwila. Alek w żaden sposób nie mógł oprzeć się wrażeniu, że ściska dłoń żywego człowieka. „Gdyby tylko nie te ogniki w oczach i trochę zbyt spokojne powieki... — pomyślał — ...całkiem żywy człowiek”.

— Jeśliby mi się nie udało — powiedział Robik — pozdrów ode mnie Iona. Alkę też.

Alek krzywo się uśmiechnął.

— Drogi Robiku! Teraz to już całkiem nie wiadomo, czy ktokolwiek z nas będzie mógł kiedykolwiek cokolwiek bądź powtórzyć.

Robik skłonił się trochę sztywno.

— Przepraszam cię — rzekł. — My jednak istniejemy na zasadzie wiary w ludzi. Ja po prostu nie mogę w was wątpić z przyczyn czysto produkcyjnych. Toteż nie mam żadnych wątpliwości, że wszystko dobrze się skończy. Zatem... do zobaczenia.

— Do szybkiego zobaczenia — powiedział Alek.

Uśmiechał się nadal, choć wcale już mu się śmiać nie chciało. Robik stanął na kwadracie windy — i zniknął. Alek został sam.



— Zwiadowco, raport o stanie rzeczy — rozkazał głosem obojętnym i zdecydowanym.  
— Tak jest — odezwał się posłuszny Głos. — Podaję raport. Alek znów wbił wzrok w ekran. Główny Miotacz walił w Rzekę białym młotem ognia, a każdy jego cios przekłuwał jej kamienne fale w nicość.

Zwiadowca podawał raport:

— Ostrzeliwanie Czarnej Rzeki trwa podług planu. Pilotaż i obsługa baterii pracują bez zakłóceń. Natomiast KB 803, prowadzony przez ludzi dowódców, utracił łączność w odległości czasowej siedemnaście AM 4. Próby połączenia nie dają na razie wyników.

— Dalej?

— Robot Opiekuńczy — ciągnął Zwiadowca — za zezwoleniem człowieka dowódcy jest w drodze do rezerwowego kosmolotu bojowego. Podawać raport podług kolejności działań Robotu Opiekuńczego?

— Tak.

— Rozkaz przyjęty — potwierdził posłusznie Głos. — Oto one: Obecnie przenosimy Robotą główną szybką windą do wieży startowej. Równocześnie trwają przedstartowe badania kosmolotu bojowego rezerwy, KB 804. Badania wykazują pełną gotowość startową KB 804. Robot znajduje się już w wieży startowej. Otrzymuje wstęp na pomost startowy KB 804. Wchodzi na pokład KB 804. Następuje uszczelnienie wjazdu KB 804. Robot jest w pełnej gotowości startowej. Prosi o włączenie napędu. Przekazuje pozdrowienia. KB 804 włącza napęd, pełna gotowość startowa, uwaga... start!

— Szczęśliwej drogi, Robik! — zawołał Alek.

Patrzył z uwagą, jak na ekranie kontrolnym od jaśniejącego pozycyjnymi światłami Zwiadowcy odrywa się dalekim łukiem niewielki, wrzecionowaty kształt — jak pnie się wysoko, w górę ekranu, przeciw nurtowi Czarnej Rzeki.

— Dziękuję — odezwał się cichy głos Robika. — Do szybkiego zobaczenia.

Przed chwilą właśnie Alka z przewrotnym uśmiechem powiedziała: „I co ty na to” — zaś Ion przez dłuższą chwilę szukał w myślach odpowiedzi i w końcu znalazł ją. Pamiętał potem świetnie, że była całkiem niezła, bo w miarę złośliwa i w miarę czuła. Nie mógł jednak w żaden sposób przypomnieć sobie jej dokładnej treści, gdyż właśnie w tym momencie, kiedy otworzył usta, by odpowiedzieć, kosmolotem KB 803 targnął nagły, potężny wstrząs. Po nim drugi, trzeci — chwila przerwy — i znów, i znów, i znowu.

— Co się dzieje? — mruknął ze złością Ion. Alka odpowiedziała natychmiast:

— Tablica kontrolna. Patrz na tablicę — a jej głos brzmiał tak, jakby rozmawiała w tej chwili o pogodzie na Trytonie.

Pomyślał jeszcze, że jest ona dużej klasy dziewczyną. Na tablicy kontrolnej świecił groźny, czerwony napis: Blokada sterów.

— A więc mamy wreszcie te zakłócenia — skomentowała spokojnie Alka. — Co dalej?

— KB! — rozkazał Ion. — Daj raport!

Tablica kontrolna odpowiedziała natychmiast świetlnym pismem.

Lot automatyczny niemożliwy. Fale wykrywające i zwiadowcze nie wracają. Automaty są bezradne. Przeprowadzona pełna blokada sterów.

— A cóż to znowu takiego? — nie wytrzymała Alka. — Jakim cudem fala radioradarowa może nie wracać?

Ionowi przypomniało się bardzo na tę okazję właściwe przedhistoryczne porzekadło:

„Są rzeczy na ziemi i na niebie, o których filozofom się nie śniło” — i aż się zaśmiał, tak go ubawił własny głupi pomysł.

— Widocznie zjada je jakaś kosmiczna ryba z Czarnej Rzeki.

— Myślisz? — szepnęła.

— Głupstwo — rozzłościł się.

— Oczywiście, że głupstwo — powiedziała bardzo ostro. — Masz być pilotem. Bądź nim!  
— Tak jest — zgodził się natychmiast.

Poprawił się na siedzeniu, zacisnął palce na dźwigniach systemu sterowniczego, stopy oparł na klawiszach układu biegów i hamulców.

A zatem przyszła wreszcie ich kolej. Automaty okazały się bezradne. KB 803 samoczynnie zablokował biegi i stery. Teraz kosmolot był po prostu bezwładny jak kamień. Działały jedynie tak zwane promienie bezpieczeństwa, które, natykając się na grożącą zdarzeniem przeszkodę, natychmiast sprawiały, że napęd dodatkowy odrzucał kosmolot w przeciwnym niż przeszkoda kierunku.

Jeśli zaś i w tym przeciwnym kierunku też znajdowała się jakaś przeszkoda, wtedy zaczynał się właśnie taki taniec, w jaki popadł przed chwilą KB 803.

— KB — rozkazał Ion — ile straciliśmy czasu w stosunku do planu akcji?

Tablica kontrolna odpowiedziała napisem: Dwadzieścia osiem sekund, dwadzieścia jeden tysięcznych.

— Jakie opóźnienie jest dopuszczalne? Dwadzieścia pięć setnych sekundy.

— Dobra — mruknął Ion.—Zaczynamy gonić czas. Odetchnął głębiej — tuż koło ucha usłyszał spokojny oddech Alki. Uśmiechnął się.

— Uwaga! — powiedział. — Odblokowuję biegi i stery. Gotów do lotu?

— Gotów — powiedziała. — Start! Włączył napęd.

W ten sposób i od tego momentu kosmolot bojowy Zwiadowcy, notowany w spisach Bazy Głównej jako KB 803, po raz pierwszy od czasu lotów próbnych przeszedł pod bezpośrednie kierownictwo pilota—człowieka, czyli Iona Soggo z saturnijskiej Akry.

Ion uchodził za jednego z najzdolniejszych uczniów pilotażu w całym mieście. A nawet w całym okręgu akrzańskim. Za egzamin z kursu niższego otrzymał odznaczenie oraz małą gwiazdę kandydata do Szkoły Wielkich Szybkości. Na miesiąc przed przylotem na Zwiadowcę wygrał kontynentalne zawody dla pilotów—juniorów.

Tym razem wyglądało to jednak trochę inaczej niż na egzaminie i niż na zawodach.

Można nawet zaryzykować zdanie, że każdy normalny junior—zawodnik na widok takiej maszyny, jak KB 803, przeszedłby po prostu na przeciwną stronę pola startowego. Na wszelki wypadek. Nie ze strachu, gdyż, jak wiadomo, złym on jest doradcą, ale z szacunku dla tej zasady, że zbyt duża odwaga bywa jeszcze gorszym doradcą niż strach.

Ion znalazł się jednak w takiej sytuacji, że m u s i a ł ująć stery KB 803 i m u s i a ł przejąć bezpośrednio kierownictwo nad jego lotem. Kiedy zaś się musi — można dokonać wielu całkowicie nieprawdopodobnych i nieprzewidywanych rzeczy. Czasem nawet także ze strachu. Strach bowiem bywa złym doradcą wtedy, kiedy nie ma czego się bać. Ale na przykład w tak zwanej sytuacji bez wyjścia strach znakomicie potrafi zwielokrotnić siły osoby nawet słabowitej.

Bądźmy jednak sprawiedliwi:

Ion zapomniał już o strachu. Póki nie nadeszła chwila, w której trzeba było ująć we własne ręce ster najwspanialszego kosmolotu bojowego, wydawało się, że nawet za wszystkie dobra świata nie potrafi dokonać najprostszego choćby manewru. Miał przecież ująć w dłonie nie tylko ster napędowy kosmolotu KB 803 — ujmował w nie także los Alki i swój, i przede wszystkim los obu załóg Alfy i Bety. Czyż trzeba więcej? Nie to nawet stało się najważniejsze, że tam byli Helena i Orm. Życie i los wszystkich owych sześćdziesięciu ludzi były przecież w tej chwili najwyższą stawką, jaką grała ludzkość przeciw przestrzeniom Galaktyki.

Kosmos raz jeszcze sprzeciwił się. W sektorach, w których nigdy dotąd nie zaobserwowano groźby meteorów, pojawił się największy i najgroźniejszy ze spotkanych kiedykolwiek kosmicznych wrogów.

Gra zaczęła się — i oto ów czternastoletni chłopak ujął stery kosmolotu bojowego KB 803. Miał wykonać zadania ponad wszelkie wyobrażenie trudne i ciężkie. Miał dokonać ich przy pomocy maszyny. Delikatniejsze niż oddech drzenie jej automatów czuł pod palcami. I wiedział: jest to maszyna wspaniała! I cóż z tego, że jej automaty okaleczył nieznanymi dziwnymi przeciwnik? Nie szkodzi. Automaty są wprawdzie dokładniejsze i szybsze od człowieka, ale to człowiek je zbudował. I właśnie człowiek mimo swej powolności i niezdarności potrafi, kiedy trzeba, pokonać więcej przeszkód, niż zdołałyby to uczynić nie najgorszy nawet automat. Trzeba tylko być człowiekiem.

A więc — pierwszy skręt sterów. Po sekundzie drugi — i KB 803 ruchem powolnej jeszcze, lecz śmigłej ryby wyminął dwie pierwsze zagrażające mu drogę przeszkody: dwa meteory, oba o wiele większe od Zwiadowcy.

— Całkiem ładnie — powiedziała Alka.

— Wspaniała maszyna — mruknął Ion.

Potem znów nastąpiła chwila ciszy, bo przed KB 803 wyrosły nowe skalne bryły i nawet, w chwilę później, Ion targnął kosmolotem jak piłką, niebacznie włączywszy cały boczny zespół hamulcowego odrzutu. Natychmiast jednak znów wyrównał lot i cichutko odetchnął: co za kolosalna ulga! Odczuł też wielką wdzięczność do Alki, że nawet nie syknęła.

— Przepraszam cię — szepnął.

— Przecież to zrozumiałe. I tak jesteś ogromnie dobry — powiedziała bardziej niż przyjaźnie. — Ja bym się już dawno wpackowała w skałę.

Nie odpowiedział. Włączył dodatkowy napęd i może nawet trochę ryzykownie wskoczył między dwie bryły, a przeskoczył nad trzecią.

Co działo się w tej chwili z Alfą i Betą? W tej chwili nie wiedział o tym nikt na świecie.

Wiadomo było tylko, że niesie je w pustkę i ciemność kamienny nurt Czarnej Rzeki.

Wiadomo było również, że w wielkiej od nich odległości posuwa się kosmolot trzeci — ratownik i bojowiec—KB 803. Jeszcze nie zaczął swej walki z Rzeką. Ale przybył tu, w jej wnętrzu, właśnie po to, by walczyć.

Walka zresztą już się zaczęła. Wydał ją Rzece Zwiadowca. Bój trwał w milczeniu i ogromnej od KB 803 odległości, a mimo to w pewnym momencie Alka głębiej westchnęła.

Potem powiedziała nieco ciszej, niż się jej wydawało:

— Czy ty też widzisz?

— Co?

— Błyski.

Ion wpatrzył się w ekran. Istotnie — na samym dnie otwartej przed nimi głębi odbywało się jakieś pulsowanie światła. Jakby zza dalekiego horyzontu wyłaniała się saturnijska burza ogniowa.

— To Zwiadowca? — spytał, by się upewnić.

— Na pewno on.

A zatem kosmolot KB 803 szedł we właściwym kierunku i w przepisany czas, podług ustalonego w Bazie Głównej planu. Mogłoby się wydawać, że jest on po prostu i tylko zwykłym kosmolotem pasażerskim, który pilnując rozkładu jazdy idzie zwyczajną swą trasą. Nie! Nie mogłoby się tak wydawać. Nie udawajmy, że mogłoby. Wszystko układało się w najcięższą ludzką przygodę, jaką cały układ słoneczny przeżył w ciągu wielu ostatnich lat.

— Coraz wyraźniej widać światła — powiedziała Alka.

— To jest chyba ogień z Głównego Miotacza.

— Tak myślę — zgodziła się.

— Nie byłoby dobrze — mruknął Ion — przejść przez taką kąpiel.

— Przypuszczam — powiedziała Alka.

Potem przez pewien czas odczytywała na głos dane z tablicy kontrolnej. Rzeka bowiem nagle zgęstniała, Ion musiał lawirować, nieco zboczył z kursu, przyśpieszył, zwolnił, przyśpieszył...

— Słuchaj — odezwała się w końcu. — Za chwilę zaczynamy drugą część roboty.

— Za jaką chwilę? — spytał trochę nieprzytomnie.

— Za trzy minuty.

— Dobra — spojrzał na nią z ukosa.

Ona jednak — choć to właśnie na nią, jako na strzelca, przychodził obecnie czas próby — była całkiem spokojna. Męczył ją tylko problem owego dziwnego zanikania fal radiowych i radarowych.

— Co to właściwie może być? — spytała raczej samą siebie niż jego. — Co się z nimi dzieje?

— Z falami?

— Tak.

— Już ci mówiłem — zezłościł się. — „Coś” je zjada! Jakieś kosmiczne „bobo”!

— Uspokój się — powiedziała. — Jeśli to jest na przykład minerał, który pochłania albo tłumi fale, byłoby to najbardziej sensacyjne odkrycie mineralogiczne ostatnich pięćdziesięciu lat.

— Racja — skrzywił się z ironią. — Zapomniałem, że ty interesujesz się również mineralogią.

— I owszem — powiedziała. — Ale...

— Czy trzymam się w czasie? — przerwał jej.

— Owszem. Ale teraz musisz już pilnować tablicy kontrolnej sam, kochanie — odrzekła z łagodnym spokojem. — Za dwadzieścia sekund zaczynam.

Zamilkł. Jednym ruchem przełącznika przerzucił sobie na ekran pilotażu podstawowe dane z tablicy kontrolnej — szybkość planowaną, szybkość uzyskiwaną, poprawki do szybkości i zapasy energii ośrodków napędowych.

— Dobra jest — powiedział. — Trzymajmy się, Alka.

— Trzymajmy się — mruknęła. — I...

— Już! — westchnął z zachwytem: co za dziewczyna!

Pierwszym strzałem, nieomylnie — jak na pokazowym wizjofilmie lub zgoła jak na konkursowym egzaminie strzelców pokładowych z Wielkiej Kosmożeglugi — Alka rozbiła pojedynczym mierzonym płomieniem niewielką bryłę meteoru, który ukazał się wprost przed nimi.

Tak to rozpoczęła się główna część zadania kosmolotu KB 803. Ta, która miała rozstrzygnąć o wszystkim.

Zanim jednak przystąpimy do jej opisu, wspomnijmy jeszcze o tym, że w określonej na razie odległości od KB 803 — z nie znaną nam w tej chwili szybkością — porusza się jeszcze jeden bojowy kosmolot: rezerwa Zwiadowcy, KB 804 — pilotowany przez Robota Opiekuńczego (typ ROB 11/48, model A, produkcji saturnijskiej), zwanego przez Iona Soggo po prostu Robikiem.

Wspomnijmy również i o tym, że daleko przed KB 803 — w tej właśnie chwili, w której Alka wprowadziła pierwsze swoje ogniste uderzenie w kamienne fale Czarnej Rzeki, wybuchł na Zwiadowcy krótki alarm.

— Dowódco! — zawołał Głos. — Zakłócenia w aparatach wykrywających. Dowódco, prowadź ogień!

Alek słysząc to wołanie nawet nie drgnął. W gruncie rzeczy czekał przecież na nie. Nie tracił też czasu na odpowiedź. Z mglistym, groźnym uśmiechem na ustach Alek Roj rozpoczął bezpośredni ogień przeciw Czarnej Rzece. A przecież chociaż miotaczami kierowały dwa tak niezdarne, powolne i prymitywne instrumenty, jak ludzkie oczy i ludzkie ręce, był to ogień skuteczny.

Przeciw Zwiadowcy nadal pędziły fale kamienne i kamienne ławice, ogromne bryły i żwirowy pył, wielkie ognie i drobne iskry. Alek uśmiechając się brał je w kółko celownika. Przypomniawszy sobie nawet słowo „nienawidzę”.

— Nienawidzę — szepnął rozbijając największym z białych płomieni ogromną, porowatą bryłę meteoru.

— Nienawidzę — powiedział i po ławicy drobnych kamieni przeleciało stado miliona iskier. Zaraz potem, ponieważ zdarzyła się chwila wytchnienia, spytał pośpiesznie:

— Pezet! Czy rozpoznajesz źródło lub przyczyny zakłóceń łączności?

Na odpowiedź musiał długo czekać. Zapewne mechanizm Pezeta chciał bardzo solidnie wykonać rozkaz i uporczywie szukał odpowiedzi. Odpowiedział też w końcu, nie tak jednak, jak zamierzał:

— Tu Zwiadowca — odezwał się Głos. — Nie rozpoznaję, dowódcu.

Dowódca jednak już nie bardzo słuchał tej odpowiedzi.

Znowu strzelał wielkimi seriami, od których zdawała się chwilami zapalać cała przestrzeń kosmiczna.

\*\*\*

Bitwa ludzi przeciw Czarnej Rzece od pierwszych strzałów Zwiadowcy i kosmolotu KB 803 rozwijała się zgodnie z ustalonym w Bazie Głównej programem. Dokładny opis tej bitwy przeszedł do historii — stał się przedmiotem wykładów na wyższych kursach pilotażu gwiazdowego. Nie można zresztą przedstawić owej walki w sposób mniej więcej zbliżony do rzeczywistości bez szeregu pomocy naukowych, jak mapy Dwudziestego Sektora, bez dokumentalnych zapisów z danych kontrolnych, bez raportów telewizyjnych, notowanych zarówno przez wewnętrzne, jak — zewnętrzne kamery Zwiadowcy. Tutaj zatem jesteśmy zmuszeni ograniczyć nasze informacje do kilku najogólniejszych najbardziej szkieletowych.

A oto one:

W dniu ósmego marca 862 roku wczesnej ery kosmicznej, punktualnie o godzinie piętnastej minut pięćdziesiąt jeden i sześć sekund (z dokładnością do jednej sekundy) podług obowiązującego w całym systemie ziemskiego czasu Greenwich — załogi ludzkie na kosmolocie KB 803 i na Zwiadowcy rozpoczęły równoczesną akcję przebijania przejścia przez Czarną Rzekę.

Wyglądało to w pewnym sensie tak, jakby przez ogromną i rozpędzoną do nieprawdopodobnej szybkości ruchomą górę skalną dwa niewielkie chrząszcze usiłowały przebić tunel. Zamierzały bowiem — posługując się owym tunelem — wygrzebać z jej wnętrza dwa inne, uwięzione przez skalną lawinę chrząszcze.

Ponieważ zasady postępowania dla owych chrząszczy przygotowały najświetniejsze inteligencje ludzkości, chrząszcze rozpoczęły swą akcję w sposób wielce rozumny i precyzyjny. Nie przebijały swego tunelu na oślep i bezradnie. Miały swe wyliczenia i szukały zaginionych nieco z boku, skośnie, uzyskując najkrótszą drogę do miejsca, w którym powinni byli się znajdować.

Niestety, dokładne miejsce zaginionych w kosmicznej lawinie chrząszczy nie było znane. W poważnej mierze załoga KB 803 musiała prowadzić swe poszukiwania na „wyczucie” — sytuację szalenie utrudniał fakt, że ratownicy poruszali się od pewnego momentu całkiem jak ślepy. Zachowali wprawdzie możliwość posługiwania się wzrokiem. Od tysiąca jednak lat było już wiadomo, że w przestrzeni kosmicznej jedynie radio, radar i promienie wykrywające ratują od ślepoty.

Dodatkowe zaś i ogromne niebezpieczeństwo stanowiła sama broń, jaką posługiwali się ratownicy.

Gdy kontrolowały ją automaty, miotacze pozytronowe razily na przewidzianą odległość z dokładnością centymetrów. I wystarczyła normalna osłona z tytanitu (jaką posiadały wszystkie mechanoplanety, kosmoloty czy choćby kosmoskafandry), by człowiek znajdujący

się w bezpośredniej bliskości płomieni, ale poza ich obrębem, mógł się uratować. Obecnie jednak — w akcji przeciw Czarnej Rzece — miotaczami KB 803 bezpośrednio kierowali żywi ludzie i ich niedołączne zmysły. Trudno tu w ogóle było marzyć o prawdziwej dokładności. A ktoś, kto znalazłby się pod działaniem ognia miotaczy, byłby nieodwołalnie zgubiony i żaden tytanit nie zdołałby mu pomóc.

O tym wiedzano wśród ludzi aż za dobrze. Bo choć minęło już ponad czterysta lat od słynnej katastrofy na Plutonie (kiedy to w ogień samodzielnego miotacza na skutek błędu instrumentów dostał się wielki kosmolot pasażerski i blisko dwa tysiące osób zginęło w pół sekundy), to jednak nawet małe dzieci o niej wiedziały jako o Wielkiej Przystrojce.

Dlatego też — właśnie w tym momencie, kiedy w Bazie Głównej stało się jasne, że zarówno miotacze Zwiadowcy, jak miotacze na KB 803 nie będą mogły pracować pod kierownictwem automatów — Mike Antonow i Nazim Sumero spojrzeli na siebie z prawdziwym przerażeniem.

— Oni utracili łączność — powiedział powoli Mike. — To znaczy, że będą prowadzić akcję bez pomocy automatów?

— Tak — szepnął Nazim.

— A co będzie... — zaczął nowe zdanie Mike.

— Jeśli... — powiedział Nazim.

Żaden z nich jednak nie dokończył owej myśli.

Wtedy to odezwała się Dolores. Ona przeszła swój okres niepokoju i trwogi wcześniej niż oni. Teraz była już nie tylko spokojna, ale i pełna nadziei.

— O czym mówicie? — spytała niby obojętnie. Nie odpowiedzieli.

— Ja czekam — powiedziała z naciskiem.

W Głównej Stacji Kontrolnej, w której się znajdowali, panowała cisza. Na ekranie widniał kontur Czarnej Rzeki, Dwunasty Sektor był już jednak zbyt daleko, by bez pomocy Zwiadowcy czy choćby kosmolotowych nadajników uzyskać zbliżenie obrazu.

A przecież, a mimo to, na czarnym konturze rzeki pojawiły się jakieś drobne drgania — jakby echo niezmiernie dalekich i niezmiernie drobnych błyskawic. Poza tym słychać było oddechy tych trojga ludzi i mruczenie Supera, który nieustannie, lecz daremnie czekał na pierwsze informacje z akcji przeciw Rzece.

— Słuchajcie — zawołała Dolores na widok owych drobnych drgnień światła w głębi Czarnej Rzeki. — Oni zaczęli akcję!

Nazim skinął głową.

— Właśnie tego się boję.

— Najodważniejszy pilot naszych czasów boi się? — uśmiechnęła się Dolores. — Nie wierzę.

— Przed ogniem z miotaczy nie ma osłony — powiedział Mike. Dolores pokiwała głową z miną nieco ironiczną, stanęła między nimi, oparła dłonie na ich barkach. Wszyscy troje patrzyli w ekran. Dolores przyciągnęła ich nieco ku sobie.

— Czy mogliśmy postąpić inaczej? — spytała.

— Nie.

— Czy był inny sposób ratunku?

— Nie.

— Czy należało ratować dzieci za wszelką cenę?

Chwila milczenia. Dolores uśmiechnęła się drwiąco i czule.

— Zastanówcie się, chłopcy — powiedziała. — Przecież tak chciał postąpić Robot. I oni sami mu na to nie pozwolili.

— To są jeszcze dzieci — mruknął Nazim.

— Nie — powiedziała Dolores — to są myślący ludzie. Od kilku dobrych lat są myślącymi ludźmi. Mało?

— Nie.

— Czy sądzicie — pytała dalej — że gdybyśmy tylko ich uratowali, oni by nam wybaczyli?

— Chyba nie.

— Chyba?

— Na pewno nie.

To ostatnie „nie” wypowiedzieli Mike i Nazim równocześnie. Mike spojrzał na Dolores bardzo jeszcze umęczonym wzrokiem.

— Dziękuję ci — powiedział.

Pogładziła go po grzywie siwych włosów. „Przybyło ci ich dzisiaj” — pomyślała.

— Ale... — zaczął Nazim — ja nie mogę o tym nie myśleć...

— Dość — powiedziała Dolores — ty... najodważniejszy! Dlaczego tchórzysz w ich imieniu? Nie prosili cię o to!

Mike zwrócił się do Supera:

— Powiedz, Super: czy oni nie tchórzą?

Wszystkie ekrany, tablice i zegary Supera rozbłysły intensywnym światłem. Super miał przecież wyporność tryliarda jednoczesnych kombinacji myślowych. Mimo to nie odpowiadał przez nie kończące się, długie jak wieczność, siedem sekund.

W końcu odrzekł z wyraźną skargą w głosie:

— Super nie wie.

Dolores parsknęła śmiechem. Oczywiście: co za głupstwo pytać Supera o odpowiedź, kiedy, biedak, nie ma żadnych bezpośrednich danych. Zrobiło jej się go żal.

— A co przypuszczasz, Super? — spytała:

Najwspanialszy mechanomózg systemu — pracujący ostatnio na Trytonie dla użytku Bazy i Dziesiątego Tysiąca — tym razem zdecydowanie poweselał.

Odpowiedź padła natychmiast.

— Super przypuszcza — ozwał się jego mądry głos — że mogą, ale nie muszą.

Po tych słowach zadowolonego (że odpowiedział) Supera Dolores, Mike i Nazim wybuchnęli pierwszym tego dnia wesołym śmiechem.

I śmiali się przez dobrą chwilę, choć nic jeszcze nie było wiadome i nic jeszcze nie zostało wyjaśnione. A w głosach ich zadzwoniła nadzieja, choć — jak należało przypuszczać — cała akcja przeciw Rzece dopiero teraz weszła w stadium najcięższe.

O tym, że przed ogniem miotaczy nic nie daje osłony, pierwszy pomyślał Alek. Pomyślał o tym wcześniej niż siostra i Ion, gdyż Zwiadowca przystąpił do akcji ogniowej wcześniej niż KB 803. Pierwsza myśl o tym, że przed ogniem z j e g o miotaczy nikogo nie ochroni najgrubsza nawet tytanitowa tarcza — była w istocie gorsza od wszystkich dotychczasowych przeżyć owego złego dnia.

A przy tym Alek jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak straszliwie samotny, jak w tej właśnie chwili. Wprawdzie był z nim i czuwał nad jego i swoim bezpieczeństwem sam Zwiadowca — ale przecież nie o taką obecność mu chodziło. Żeby przynajmniej znalazł się przy nim choć na chwilę jakikolwiek człowiek — rozumiejący i przyjazny. A choćby nawet tylko taki pozór człowieka, jak Robik. Zapewne nie potrafiłby zrozumieć, o co chodzi. Zapewne zapytałby swym grzecznym głosem: „Czego się boisz, jeśli nie tobie grozi niebezpieczeństwo?”. Co najwyżej, gdyby się Alek oburzył, przeprosiłby wyjaśniając, że — niestety — nie jest człowiekiem i szczególnie wobec konfliktów uczuciowych bywa całkowicie bezradny. Mimo to Alek pomyślał z tęsknotą, że nawet taka „rozmowa” byłaby dlań wielce szczęśliwym zdarzeniem.

Alek starał się zapomnieć. Chwytał w koła celowników coraz to nowe i nowe, nadlatujące olbrzymy. Naciskał ogniowe klawisze miotaczy. Unicestwiał kolejne fale i prądy Czarnej Rzeki. A przy tym usilnie starał się nie myśleć. W ogóle — nie myśleć. Czyż można

jednak choćby tylko pomyśleć, że się nie będzie myślało? Przecież samo myślenie o niemyśleniu jest właściwie myśleniem!

— Nie bądź idiotą! — skarcił się ze złością.

— Przepraszam, ale nie rozumiem, dowódcu — odezwał się ugrzeczniony Głos Zwiadowcy.

— Milcz! — krzyknął Alek, nieoczekiwanym odezwaniem się Zwiadowcy całkiem wytrącony z równowagi.

— Rozkaz przyjęty — szepnął Głos.

Alkowi zrobiło się wstyd. Nawet nie dlatego, że przecież wszystko było notowane i zapisywane, z wyjątkiem jego własnych myśli, i że potem cały świat się dowie, jak to Alek Roj skrzyczał Zwiadowcę. Zrobiło mu się wstyd przed samym sobą.

— Cofam rozkaz — powiedział. — I przepraszam.

— Tak jest. Proszę bardzo.

Alek umilkł, bo ku Zwiadowcy nadlatywała nowa fala — drobnych tym razem jak grad, lecz i jak grad gęstych — meteorów. Potem spytał:

— Zwiadowca?

— Słucham, dowódcu.

— Kiedy powinna się ku nam zbliżyć strefa rzeki, w której powinny się znajdować Alfa i Beta?

Zwiadowca odpowiedział bez chwili namysłu:

— Za dwanaście minut.

— Już?! — szepnął z przerażeniem.

— Za jedenaście minut i pięćdziesiąt dziewięć sekund... pięćdziesiąt osiem sekund... — zaczął wyliczać dokładny czas.

W pierwszej chwili Alek chciał nakazać milczenie, ale zaraz potem nawet się ucieszył. Tak — to jest to, czego mu brakowało. Niech gada!

— Zwiadowca! Nie przerywać podawania czasu! — rozkazał.

— Tak jest — odpowiedział — ...pięćdziesiąt pięć... pięćdziesiąt cztery... pięćdziesiąt trzy...

Alek uśmiechając się i mrużąc oczy nakrył kołem celownika nowe skupisko pędzących wprost na Zwiadowcę meteorów i nacisnął klawisz ogniowy.

W przestrzeń padł kolejny słup ognia, którego najdalszy blask docierał aż na oddalony o osiem tysięcy milionów kilometrów ekran Bazy Głównej.

— Czy jesteśmy w czasie? — spytała Alka.

— Tak.

— Kiedy możemy się spodziewać wejścia w strefę, w której oni powinni być? — spytała i Ion nagle zmartwił, bo usłyszał w jej głosie nadchodzący płacz.

Nie pytał, co się stało. On też pomyślał już o tym samym — co w Bazie Głównej tak przeraziło Mika i Nazima, co tak męczyło na Zwiadowcy Alka, a co teraz wzbierało płaczem w głosie Alki.

Nie docenił jej jednak.

Nim zdążył odpowiedzieć na pytanie, odezwała się już całkiem swobodnym tonem.

— To trwało tylko chwilę, Ion — powiedziała. — Przestraszyłam się. Ale minęło. Mów: kiedy wejdziemy w strefę, w której oni mogą się znajdować?

Ion na moment znów wyłączył napęd i spojrzął na zestaw danych z tablicy kontrolnej.

— Za jedenaście i pół minuty.

— Co?! — krzyknęła niemal.

— O ile zegary pracują właściwie — dodał surowym głosem.

— Myślisz... że i one mogą nawalać? — spytała.

— Wszystko jest możliwe — odpowiedział.

KB 803 od kilkunastu sekund płynął jakby wyrąbaną w gęstej krze, nieco krętą, lecz wyraźną



ścieżką.

Dokoła kosmolotu materia Czarnej Rzeki znów się zmieniła. Zamiast brył wielkich, niekształtnych i tak czarnych, że czarniejszych nawet od otaczającej je wiecznie nocy kosmicznej — pojawiła się teraz gęsta, lśniąca w odbłasku płomieni miotacza lawica drobnych meteorów. Otaczała ich ze wszystkich stron. Jak kra. Jak lodowa lawina, wśród której widnieje tylko niewielki, przerąbany jakby tunel.

Wpakować się w taką kaszę?

To byłoby jeszcze gorsze niż stuknięcie dziobem kosmolotu w tęą skalną bryłę. Od litej skały można się przy pewnej dozie szczęścia odbić jak piłka — i to bez większych strat. W takiej natomiast kaszy tonie się jak w wenusjańskim formalinowym bagnie.

— Ion — powiedziała Alka tonem tak dziwnym, że Iona przeszedł dreszcz.

— Co się stało? — szepnął.

— Ion! — mówiła gorączkowo. — Przecież ta droga, którą teraz lecimy, nie powstała sama. Pomyśl: jak powstała?

Zrozumiał: i serce zabiło mu z szalonej radości!

— Tak! — krzyknął. — Alka, kochanie, dziewczyno! Masz rację! To oni!

— Uwważaj! — warknęła niby ze złością, ale w istocie ze szczęściem w głosie i — o tym wiedziała już tylko ona — z oczami pełnymi łez.

Bo choć Ion o mało się nie wpakował prosto w owo migotliwe, meteorowe bagno Czarnej Rzeki, to jednak najważniejsza była jedna pewność: że oto znajdują się na świeżym tropie Alfę lub Bety, lub najpewniej obu ich razem.

Ion natychmiast poprawił kierunek. Wprawdzie przez moment groziło jeszcze spotkanie dziobu KB 803 z meteorową kaszą, ale ogień z dwu małych bocznych miotaczy kosmolotu błysnął na czas — i oczyścił dostateczną głęboką przestrzeń, by KB 803 mógł uniknąć zderzenia.

— Uffi! — sapnął Ion. — Co za idiota ze mnie!

— Nie przesadzaj — zaśmiała się, jakby ptak zaśpiewał. — Miałeś powód.

— To na pewno ich ślad! Na pewno, na pewno! — powtarzał, ostrożnie prowadząc KB 803 owym korytarzem czy (jak to nazwać?) owym tunelem wśród meteorowej kry.

— Powinni już być blisko — szepnęła. — Wyłączam miotacze.

— Słusznie — powiedział.

A zaraz potem zaśpiewał, niczym bohaterski tenor, głupią arię:

— Ach, słu—u—sznie! Ach, słu—u—u—sznie! Roześmieli się oboje.

Na tablicy kontrolnej migotały liczby dzielących ich od spotkania z Alfą i Betą minut oraz sekund. Byli już bardzo blisko.

— Hop! hop! — zawołała Alka, jakby po prostu wyszli sobie na mały spacer w ziemskie góry i trochę się pogubili we mgle.

Był to całkiem miły i śmieszny pomysł. I w gruncie rzeszy Ion się nim zachwycił.

Chciał odpowiedzieć takim samym zawołaniem, które zresztą znał tylko z wizjofilmów na Ziemi, bo na Saturnie nawet najodważniejszy człowiek świata nie próbowałby „trochę się zgubić we mgle” — a już na pewno nie ratowałby się wołaniem „hop! hop!” Uśmiechnął się zatem, otworzył usta i...

I nagle — jakby się tu przed nimi, a raczej wokół nich — otwarło piekło demonów! Piekło pełne demonów krzyku, wrzasku, jęków i nawoływań! Demonów opętanego bełkotu i nieprzytomnego hałasu!

— Co to? — wrzasnął z całej siły Ion.

— Ioon! — krzyknęła z całej siły Alka.

I nie usłyszeli się nawzajem.

A właściwie niby nic się nie stało. W obu ekranach obraz nawet nie drgnął. KB 803 nadal i powoli na słabszym swym napędzie szedł tunelem wśród meteorowej kry.

A przecież wokół nich naprawdę otwarło się piekło pełne wyjących demonów. Otoczył ich bowiem straszliwy hałas: krzyk tysiąca krzyżujących się głosów, jęków i śmiechów, niczym krzyk tysiąca potępieńców lub po prostu: niczym wrzask tysiąca zwariowanych nadajników radiowych.

Przez chwilę nie słyszeli własnych myśli.

Oboje zrozumieli jedynie, że nic teraz nie jest ważne: ani zrozumienie owego wyjątkowo ohydneho zjawiska, ani uciszenie go, ani nawet nawiązanie kontaktu ze sobą — kontaktu, który stał się w owym momencie absolutnie niemożliwy. Ważne było tylko jedno: utrzymać KB 803 na kursie i nie dać się wciągnąć w coraz gęstsza chmurę drobnych meteorów. W owym momencie każde z nich było skazane już tylko na siebie samego, na własny wzrok i dotyk.

Czy to prawda? Przecież oddaleni od siebie byli zaledwie o dwa metry.

Tak. Ale żadne z nich nie mogło sobie w tej chwili pozwolić na to, by nawet na ułamek sekundy oderwać wzrok od ekranów kontrolnych. I właśnie dlatego — choć tak sobie bliscy — stali się nagle naprawdę samotni. Odgradzał ich od siebie niezmierny mur hałasu, krzyku i zgrzytu.

„Co to za ohyda — myślał z wściekłością Ion. — Co to za przeklęta ohyda!”

I nagle usłyszał. Usłyszawszy zaś, zrozumiał.

Oto z owego opętanego hałasu zaczęły wyskakiwać znajome dźwięki, znajome głosy. Było tak, jakby w wielkim tłumie i ze wszystkich stron odzywało się zaledwie kilka różnych głosów i jakby ta niewielka ich ilość uległa dziwnemu pomnożeniu w setki, a nawet tysiące beznadziejnie splecionych słów, zdań, okrzyków i zawołań, wśród których nagle usłyszał głos Heleny Soggo!

Ów głos powtórzył raz i drugi: „... należy po pierwsze: wszelkie raporty... należy po pierwsze wszelkie raporty...” Helenie przerwał, a raczej równoległe z nią zaczął wołać pilot Marim: „Baza na Trytonie”... podczas gdy z innych stron dwadzieścia cichszych głosów Heleny i czterdzieści głośniejszych głosów Marima powtarzało całkiem inne słowa i urywki zdań, a dalej jeszcze odezwały się głosy Jana i Czandry Rojów, i głos Mika Antonowa, i własny jego, Iona, głos, który to z jednej, to z drugiej, to z trzeciej, to z dziesiątej strony pokrzykiwał potem z nieustanną i morderczą wesołością: „Tak! Alka! Kochanie! To na pewno... tak! Alka! Kochanie!” — i znowu: „Tak! Alka!” — i znów: „To na pewno”... A potem znowu głos Orma: „Uwaga, Alfa” i głos Czandry: „Bądź spokojny”, i krzyk Marima: „Wzywam Bazę Główną”, i nagle, ze wszystkich stron, wesoły jak śpiew ptaków śmiech Alki, który jednak zwielokrotniony i pomnożony przez tysiąc stał się czymś naprawdę przerażającym. Ion uczył z rozpaczą, że zaczynają mu drżeć ręce i że za chwilę będzie musiał przynajmniej na moment oderwać wzrok od ekranu — że już niczego nie rozumie i we wszystko zaczyna wątpić.

— A cóż to za przeklęte echo?! — krzyknął z wściekłością, by choć na moment w samym sobie zagłuszyć tamten nieprzytomny wrzask tysiąca znajomych, lecz nieludzko obcych głosów.

„Tak... echo!” — powtórzył w myśli.

I od tego słowa, a raczej dzięki niemu, wszystko stało się olśniewająco jasne jak blask słońca na Merkurym. Owe przeklęte znajome i przeklęte obce dźwięki musiały być po prostu głosami, które wybiegły w przestrzeń na grzbietach fal radiowych i zostały pochwycone w jakąś przedziwną pułapkę. Teraz zaś trzepoczą się w niej jak ryby w sieci — a nie mogąc się wydostać na zewnątrz, powracają tysiącami ech.

Od momentu, kiedy zrozumiał zasadę, sam hałas stał się bez porównania lżejszy do zniesienia. Stał się nawet jakby cichszy, Ion znowu mógł się skupić na obserwacji ekranu i kontroli sterów.

Wprawdzie raz jeszcze i ze wzmożoną siłą rozkrzyczały się głosy Heleny i Czandry, a

pomnożona przez tysiąc Alka zaśmiała się z tysiąca stron. Ale po kilku sekundach hałas naprawdę zaczął cichnąć, oddalać się, znikać...

U dołu swego ekranu Ion ujrzał cyfrę „cztery”.

A więc do Alfę i Bety pozostały im już tylko cztery minuty lotu! Nie! Nie chciało się wierzyć, że to naprawdę prawda.

Jak przewidywał program, Ion zmniejszył napęd do najniższej samodzielnej szybkości. I w tej właśnie chwili Ionowi wydało się, że po prostu... ogłuchł. Nastąpiła bowiem cudowna, aksamitna cisza.

KB 803 szedł teraz rozszerzającym się nieco korytarzem. Ławica drobnych meteorów nieco zrzędała. Ion zerknął kątem oka ku Alce — i natychmiast wrócił wzrokiem na ekran. Nie było jej tam! Zeszła ze stanowiska!

„Czy ta dziewczyna oszalała? Czy chce zgubić siebie, mnie i nas wszystkich?” — pomyślał z rozpaczą i gniewem.

Jak mogła? Po pierwsze: opuściła stanowisko ogniowe — po drugie: wyszła z ochronnego kombinezonu — po trzecie: znikła w ogóle z pola widzenia. Chyba wystarczy, żeby zdyskwalifikować ją w przedbiegach.

Ale oto poczuł w najwyższym zdumieniu, że osuwa się zeń kontrolny kombinezon. Utraciwszy na moment panowanie nad sterami, rzucił się rozpaczliwym ruchem do hamulców. Wydawało mu się, że oto już, w tej właśnie sekundzie, pozostawiony samemu sobie kosmolot KB 803 wbije się w białą, migotliwą ścianę meteorów.

Tak mu się jednak tylko wydawało.

Oto bowiem na zapasowym stanowisku sterowym ujrzał właśnie... Alkę.

— Bierz z powrotem stery — powiedziała spokojnie. — Ale już! Wykonał rozkaz instynktownie — i zarazem z przekonaniem. Już był po jej stronie. Już wiedział, że postąpiła jak najrozsądniej. Ona jednak chciała się usprawiedliwić.

— Przyjmij usprawiedliwienie, dowódco — mówiła szybko. — Po pierwsze: zeszedłem ze stanowiska, żeby przerwać odbiór radiowy. Ten wrzask był nie do zniesienia.

— Masz rację — powiedział.

— Po drugie — mówiła dalej — mogłam opuścić stanowisko strzelca, bo w tej strefie nie należy już strzelać. Po trzecie — ciągnęła — uważam, że trzeba wyłączyć kombinezony.

Musimy mieć przecież możliwość porozumiewania się, a w kombinezonach działa tylko radio. Więc co?

— Bardzo słusznie zrobiłaś — powiedział. Alka zerknęła na tablicę kontroli.

— Już tylko minuta — powiedziała zdyszonym głosem. — Jaką masz szybkość?

— Dwieście na sekundę. — No właśnie — szepnęła.

— Tak! — powiedział. — Dość gadania. Za dziesięć sekund cisza na pokładzie.

Ona jednak nie wytrzymała. Znowu na moment obudziła się w niej dusza geologa.

— Cóż to może być z tym radiowym bałaganem? — mówiła do siebie. — Tylko jakiś minerał mógł tak działać! Pochłaniacz fal? Nikt o czymś takim nie słyszał. Sensacja! Albo...

— Cisza! — powiedział bardzo ostro Ion.

— Tak, cisza, dowódco — powtórzyła pokornie.

Ion rozpoczął hamowanie. Serce mu biło jak nigdy w życiu. Wcale nie mógł być pewny, że akurat w czasie przewidzianym przez Supermechanomózg z Bazy Głównej odnajdzie rzeczywiście Alfę lub Betę. Miał jednak obowiązek wytracać w ciągu tej właśnie minuty szybkość swego kosmolotu do zera.

Hamował bardzo powoli i ostrożnie, ale i tak krew nabiegała do oczu, do ust, do koniuszków palców, do nosa. Ion nagle spostrzegł z wielkim zdumieniem, że z nosa spadła mu wprost na rękę czerwona kropla krwi. „Czyż to nie przesada? — pomyślał. — Aha, jasne: nie mamy na sobie kombinezonów”.

Równocześnie zaś stwierdził z cichą satysfakcją, że poszło mu to idealnie. I że właściwie przy

takich doświadczeniach egzamin do Szkoły Wielkich Szybkości będzie miał załatwiony „samoczynnie”.

Nie skończył tej myśli. Wbrew rozkazowi i obowiązкови ciszy — zarówno on, jak przede wszystkim Alka zaczęli nagle krzyżeć:

— To oni! To oni! To oni!

\*\*\*

Spotkali się zatem w samej głębi Czarnej Rzeki, na pograniczu dwunastego i trzynastego tysiąca.

— To oni! — krzyżała Alka.

— To oni! — krzyżał Ion.

W tamtych zaś kosmolotach obie załogi zbiegły się do ekranów i wizjerów.

Wszyscy już wiedzieli, że nikt inny, jak tylko dzieci ze Zwiadowcy mogły się tu pojawić na KB 803. Na Alfie możliwość tę obliczył w pół godziny po ugrzęźnięciu w Rzece sam Marim — w Becie rzecz przewidział sławny astrograf, Hieronimus Broszkidze. Ale w istocie tylko Czandra Roj i Helena Soggo wierzyły, że dojdzie do tego spotkania, i one to właśnie dyżurowały jako obserwatorki na swoich kosmolotach. Los sprawiedliwie je nagrodził: Czandra Roj na Becie, a Helena Soggo na Alfie ujrzały w końcu widok, na który tak czekały, i zaczęły wołać do wszystkich na cały głos:

— To oni! To oni! Patrzcie, to oni!

I dopiero po dłuższej chwili na obu kosmolotach rozległy się prawidłowe już meldunki obserwatorów:

— KB 803 podchodzi na śladzie, odległość 20 km, sygnalizacja świetlna!

A jest to mimo wszystko naturalne, że z wyjątkiem pilotów do ekranów i wizjerów zbiegły się w tej chwili całe załogi, że porzucali swe stanowiska nawet najbardziej opanowani i odpowiedzialni ludzie. Doszło w ten sposób do scen i wydarzeń zdumiewających — można by nawet rzec, że doszło do scen gorszących.

Nie dziwcie się jednak temu brakowi dyscypliny.

Jeszcze przed chwilą członkowie obu załóg byli przekonani, że nieodwołalnie zapadają się w przepaść bez dna. Że nigdy już nie powrócą pomiędzy swoich — na planety ojczystego układu słonecznego. I że nie ma dla nich ratunku.

Nikt nie zamierzał pokornie godzić się ze śmiercią. Dlatego też na obu kosmolotach od razu przystąpiono do prac mających na celu walkę o życie, o powietrze, o żywność.

Jedną z pierwszych czynności było rozpoczęcie badań nad sprawą połączenia Alf i Bety. Zarzucono nawet pierwsze cumy mechaniczne i oba kosmoloty już od godziny szły obok siebie.

Równocześnie rozpoczęły pracę następujące grupy naukowo-badawcze, które powołano do działania natychmiast po katastrofie: Grupa Żywności, Grupa Połączeniowa, Grupa Badań nad Powrotem oraz Grupa Badań Czarnej Rzeki.

Ludzie rozpoczęli swe prace zwyczajnie i spokojnie. Ci, którzy lubili dowcipkować, dowcipkowali jak zwykle — Orm Soggo śpiewał, Marim pogwizdywał niby pijany ptak.

Wszyscy byli zresztą ożywieni, jak zawsze wobec nowych zadań, które tym razem wydawały się być szczególnie trudne.

A poza tym? Mogłoby się wydawać, że nic szczególnego nie zaszło (nie licząc tego, że oto wraz z Czarną Rzeką Alfa i Beta toczą się w przepaść bez dna i końca).

W obu wprawdzie kosmolotach wiedziano, iż istnieje jeszcze pewna szansa ratunku, ale — jak już tu wspomniano — poza Czandrą i Heleną nikt w nią nie wierzył.

Kiedy więc rozległ się w obu kosmolotach okrzyk: „To oni”, a potem: „KB 803 na śladzie, podchodzi”... — nikt poza pilotami Marimem i Ormem, nie potrafił się oprzeć chęci ujżenia

nadchodzącej pomocy.

Patrzono w milczeniu. Ludzie ściskali ręce Helenie, Janowi i Czandrze. Ktoś powiedział: „Dokonali niemożliwości”, a ktoś inny: „Uzyskaliśmy, przyjaciele, szansę ratunku dzięki trójce dzieci”.

Myśli ludzkie chodzą wspólnymi drogami. Tak jak niedawno w Bazie Głównej Dolores poprawiła określenie Nazima, tak teraz na Alfie jeden z największych matematyków świata, Ebenezar Lion, również sprzeciwił się owemu słówku: „dzieci”.

— Uzyskaliśmy szansę ratunku — powiedział — dzięki trójce dzielnych ludzi.

Słuchacze w milczeniu skinęli głowami. Rozbłysłe nową nadzieją oczy wpatrywały się w sylwetkę kosmolotu KB 803, który (jak przewidział plan Supera) informował o sytuacji za pomocą sygnałów świetlnych trzymając, jak na razie, stałą odległość.

— To zdumiewające — szepnął Lion do Heleny Soggo. — Które z nich pilotuje?

Helena miała pewne przypuszczenia, nie wspomniała jednak o nich głośno.

KB 803 zaś nadawał przy pomocy sygnałów świetlnych tekst następujący:

Ion Soggo, Alka Roj na pokładzie KB 803 przybywają z polecenia Bazy Głównej. Nasze zadanie: przeprowadzić was przez Czarną Rzekę do Zwiadowcy. Odpowiedzcie: czy mamy was brać na hol, czy też zachowaliście własny napęd?

Alfa i Beta odpowiedziały natychmiast, że zachowały napęd własny. A więc także pod tym względem sprawdzały się przewidywania Supera.

KB 803 przekazywał zatem dalsze instrukcje:

Uwaga na Alfie i Becie! Program najbliższych czynności: KB 803 wyprzedza was i wychodzi na czoło. Następnie otwiera drogę w przestrzeni ogniem stałym. Alfa i Beta idą za nim w najbliższej odległości. Przewiduje się wyjście na Zwiadowcę, który ma otworzyć drogę do siebie. Koniec. Potwierdzić odbiór. Powtórzyć program.

Po potwierdzeniu odbioru przy wizjerach Alfę i Bety skierowanych na KB 803 pozostali już tylko dyżurni. Na Alfie przy wizjerze dyżurowali Lion i Helena. Na Becie objęli dyżur śliczna Włodzimiera Alfieri i jej narzeczony Kyamoto — reszta zaś, wśród nich Jan i Czandra, wracała na swoje stałe stanowiska.

W obu kosmolotach zapanowało milczenie. Ludzie unikali nawet swych spojrzeń. Skończyły się śmiechy — skończyły się też zachwyty nad dzielnością dzieci.

Milczano tak, jakby nieopatrznie wypowiedziane słowa mogły wyrządzić jakąś niepowetowaną szkodę, zakłócić bieg wypadków.

Jedynie Jan i Czandra, powróciwszy do kabiny będącej roboczą pracownią astrochemiczną, wymienili kilka cichych zdań.

Pierwszy odezwał się Jan. Nie mógł znieść niepokoju, rozpaczy nawet, widniejącej w oczach żony, którą starała się nieudolnie pokryć uśmiechem.

— Boisz się — szepnął obejmując ją ramieniem. — Bardzo się o nich boisz?

Potrząsnęła głową.

— To nie tylko to — powiedziała głosem nawet spokojnym. — Nie tylko to, że pierwszy raz w życiu umieram ze strachu o dzieci.

Cóż miał odpowiedzieć na takie słowa, kiedy i on nie mógł zebrać myśli? Milczał. Czandra spojrzała na męża i od razu zrozumiała owo milczenie. Przesunęła ręką po jego czole.

— Nic nam nie pomoże strach o nich, Janku — powiedziała. — Może zresztą co innego jest gorsze: czy to wszystko, jeśli nawet zachowują się jak trzeba... czy to wszystko nie złamie ich i nas tym boleśniej, że nabraliśmy już nadziei?

— Nie myśl o tym.

— Och! — wybuchnęła nagłym gniewem. — Jak mogę o tym nie myśleć?

Ścisnął jej rękę.

— Czandra! — powiedział. — Łatwiej by nam było, gdyby przynajmniej dzieci pozostały

bezpieczne. Ale pomyśl: co oni oboje myśleliby o swoim życiu później, po roku czy pięciu latach, gdyby wiedzieli, że mogą pomóc — nie pomogli? Byłoby to dla nich gorsze od wszystkiego złego, które może ich spotkać tutaj. Tak czy nie?

Podniósł twarz żony ku sobie. Cudowne oczy Czandry były jak za mgłą, nieobecne i nawet obce. Ale w końcu zaczął wracać w nie spokój.

— Tak — szepnęła.

— Powtórz to „tak” — powiedział z czułą surowością.

— Tak — uśmiechnęła się. Usiadł na swoim stanowisku.

— Proszę cię — powiedział. — Prowadzimy dalej analizę próbek, od numeru 43 do numeru 47a i 47b.

Na płaszczu ich kosmolotu osiadł pył z rozbitych przez miotacze meteorów. Przed spotkaniem z KB 803 Rojowie postanowili sprawdzić budowę chemiczną poszczególnych osadów. Teraz Jan zdecydował podjąć pracę.

W kabinie astrochemicznej na Becie zapanowała spokojna, pracowita cisza. Taka jaka panowała od kilku minut na obu kosmolotach.

Jeszcze tylko przy wizjerze Bety padło kilka szeptem wypowiedzianych słów. To

Włodzimiera szepnęła prosto do ucha dyżurującego z nią Kyamoto:

— Dopiero teraz zaczęłam się naprawdę bać.

Zrozumiał. Skinął w milczeniu głową i położył dłoń na jej dłoni. Potem, by sobie i jej dodać trochę otuchy, ucałował pobludłe policzki kobiety.

A w tej właśnie chwili kosmolot KB 803 — sygnalizując światłami: „Otwórzcie drogę!

Wyprzedzamy was... Otwórzcie drogę!” — zaczął wyprzedzać oba kosmoloty.

— Zrobili już bardzo wiele — szepnął Kyamoto. Patrzyli na ekran.

Na ekranie przesuwiał się właśnie tuż koło nich milczący cień KB 803, niczym cień szybkiej, zwinnej ryby o migocących, rubinowych oczach.

W tym czasie na pokładzie KB 803 załoga działała ściśle podług programu:

Alka prowadziła sygnalizację, a Ion czekał z rękami na sterach na chwilę, w której, po wymianie kończącej rozmowę światel, będzie mógł ruszyć naprzód.

W końcu Alfa i Beta powtórzyły przekazane im zlecenia, Ion spojrzał na Alkę; miał teraz powiedzieć: „Daj sygnał »wyprzedzamy was... otwórzcie drogę«”. Ponieważ został im mały zapas czasu, Ion mógł przed wydaniem rozkazu powiedzieć jeszcze dwa inne zdania.

Oto pierwsze z nich:

— Dopiero teraz zaczynamy prawdziwą robotę, Alka, i dopiero teraz możemy albo wszystko wygrać, albo wszystko przegrać.

Skinęła głową, a patrzyła mu prosto w oczy. Patrzyła z takim nikłym i dobrym uśmiechem, że odważył się wypowiedzieć to drugie zdanie.

Brzmiało ono tak:

— Ponieważ istnieje możliwość, że... przegramy, chciałbym, żebyś coś wiedziała: otóż ja nikogo z kolegów i przyjaciół nie lubiłem nigdy tak jak ciebie.

— Chciałam ci to samo powiedzieć, Ion — odezwała się spokojnym głosem. — Ale... już dość! Czy dać sygnał?

— Tak. „Wyprzedzamy was... otwórzcie drogę”. Od tej chwili w KB 803 nastąpiło milczenie.

Alka po nadaniu sygnału wróciła natychmiast na stanowisko strzelca pokładowego.

Ion włączył napęd „jedynek” i łagodną spiralą wyprzedził wpierw Betę, potem Alfę. I oto tuż przed nimi zalaśniła lawica owych dziwnych, drobnych meteorów jak lawica... czego? Jak chmura diamentowej szarańczy. Alka natychmiast otworzyła ogień ze wszystkich miotaczy.

Było to jak cios ogromną pięścią: w zwartej ścianie miliarda meteorów otwarło się długie, wąskie przejście. Wpłynął w nie wpierw KB 803 — jego zaś śladem zagłębiły się w przejście dwa pozostałe kosmoloty.

Tak to zaczął się w głębi Czarnej Rzeki miarowy i milczący taniec trzech kosmolotów.

Proste figury tego tańca powtarzały się z nienaganną regularnością: wpierw uderzenie ognia, który wybijał głębokie przejście w migotliwej ławicy — potem w ów tunel wpadał płynnym skokiem KB 803, wstrzymując się przed następnym strzałem na moment, póki tuż za jego sterami nie pokażą się świecące pozycyjnymi światłami Alfa i Beta.

A wtedy?

Wtedy nowe uderzenie ognia, nowy skok pierwszego kosmolotu i nowe płynne posunięcie idących jego śladem pięknych statków.

I znów: płomień, skok i płynny lot. I znowu: płomień, doskok i pogoń.

We wszystkich trzech kosmolotach panowało milczenie.

Na Alfie i Becie zachowano wprawdzie odbiór radiowy, ale tylko po to, by notować straszliwy hałas panujący w ławicy owych dziwnych migotliwych meteorów. Oczywiście odbiór był cichy i ów hałas słyszały tylko aparaty notujące dźwięk we wszystkich jego postaciach. Trwała więc cisza, bo ludzie milczeli. Nie wiedzieli nic ponad to, co przekazała im załoga KB 803. To zaś było zbyt wiele, by zwątpić, za mało jednak, by naprawdę uwierzyć w odmianę losu.

Natomiast na KB 803 po prostu nie mieli czasu na słowa.

Można by nawet zaryzykować twierdzenie, iż dwuosobowa załoga KB 803 nie bardzo nawet miała czas na myślenie.

W tej chwili „myślały” głównie ich ręce, ich oczy, ich palce oparte na dźwigniach, ich wsparte w klawiatury napędu i ognia stopy.

Tylko to było ważne dla Iona: włączyć napęd, równo w połowie skoku zacząć hamowanie i tuż przed nowym strzałem Alki dać hamowanie pełne.

Tylko to było ważne dla Alki: wyczekać do momentu, w którym dziób KB 803 zdaje się już dotykać meteorowej ściany, i wtedy włączyć wpierw „mały czołowy” — raz, a potem wszystkie „boczne” — dwa, wreszcie podwójne naciśnięcie klawiszy głównego miotacza — trzy i cztery — „pełny ogień”.

Czas mijał nieubłaganie, uciekał i trzeba go było gonić i jeszcze bardzo daleka droga pozostawała im do tego punktu, w którym miało czekać na nich otwarte przez Zwiadowcę przejście — przejście do wolności i życia.

W pierwszej chwili atak tysiąca głosów, krzyków, jęków i westchnień był dla Alka o wiele większym wstrząsem niż dla Iona i Alki. Zwiadowca miał bowiem o wiele czulsze odbiorniki i donośniejsze głośniki niż KB 803. Pierwsze uderzenie fali dźwięków omal nie powaliło go na ziemię. Zdawało mu się, że oszalał lub że po prostu przyszła chwila katastrofy i oto Zwiadowca rozpada się pod uderzeniami Czarnej Rzeki.

Na szczęście krzyknął:

— Cisza!

Pezet usłuchał. Wygasił głośniki.

— Co to było? — spytał Alek z wściekłością, jak masło tnąc ławicę połyskliwych meteorów. Zwiadowca był sumienny.

— Wygląda na to — powiedział — że przed nami znajdują się złoża substancji w szczególny sposób pochłaniającej fale radiowe.

— Bzdura — mruknął, posyłając nową salwę prosto w złoża owej „substancji”.

— Bardzo możliwe — zgodził się potulnie Głos.

— A może to jednak nie bzdura? — spytał.

— Może wcale nie.

Trzeba jednak wiedzieć, że przez cały ten czas drugi, cichy Głos Zwiadowcy, ani na moment nie przerwał wyliczania czasu, który pozostał im do spotkania.

Głos pierwszy spytał jeszcze:

— Czy posłać robota po próbki?

Alek nie bardzo dosłyszał, o co chodzi.

Ławica gęstniała. Trudno było zachować swobodną orientację kierunku i głębokości ognia.

Odpowiedział machinalnie: „tak”, „tak”, a kiedy Głos jeszcze zapytał: — Czy mają być duże? Tona? Dwie? Trzy? — Alek całkiem machinalnie powtórzył: — Dwie, trzy.

— Razem pięć — powiedział Zwiadowca.

— Tak jest—syknał wbijając z nienawiścią płomień miotacza w coraz to gęstsza, nieprzejrzystą ścianę.

„Co za bydlęctwo! — myślał. — Właśnie teraz, kiedy oni mają nadlecieć, kończy się widoczność! Właśnie teraz nie będę widział ich świateł... nie będę widział niczego!”

„A co się stanie — rozmyślał w nagłym przypływie rozpacz — jeśli nie widząc, nie słysząc dotknę ich płomieniem?”

— Co będzie, jeśli oni wejdą w ogień? — spytał na głos.

— Będzie to koniec — odpowiedział Zwiadowca. — Albo...

— Milcz! — krzyknął.

I od razu poprawił się:

— Podawaj czas.

Głos posłusznie wrócił do liczb:

— Trzy minuty... zero sekund...

Czym zmierzyć wagę każdej takiej minuty? Pomyślcie!

— Dwie minuty — powiedział Ion — pięćdziesiąt dziewięć...

Od tego momentu zaczął mijać czas, który Alka miała już na zawsze wspominać jako najgorsze chwile swego życia. Nie dała nic po sobie poznać i Ion niczego nie zauważył. Ale naprawdę był to moment, w którym nagle poczęły niknąć i rozwiewać się jak mgła i dym wszystkie dobre nadzieje,

„A więc — myślała — już nigdy nie wrócimy. Nie wrócimy, nie poprowadzimy swego życia jak miliardy ludzi, w sposób zwykły lub niezwykły, ale przecież udany. Będziemy wpisani na pamiątkowe tablice Poległych w Przestrzeni. I to wszystko! Ale... Czy na pewno wszystko?!” Ion powiedział:

— Dwie minuty... pięćdziesiąt sześć...

Do spotkania ze Zwiadowcą pozostało zatem trzy minuty bez czterech sekund. Tymczasem na stanowisku ogniowym kosmolotu bojowego KB 803, na liczniku amunicyjnym znajdującym się tuż przed Alką, migotała ostrzegawczym światłem liczba „126”. Oznaczało to, że kosmolotowi bojowemu KB 803 pozostało amunicji jeszcze tylko na sto dwadzieścia sześć sekund. Oznaczało to zatem, że do pełnego planu zabraknie tej amunicji na ostatnie pięćdziesiąt sekund. Wydawałoby się — drobiazg, niewiele. Ale przecież ostatnie pięćdziesiąt sekund to miało być dwadzieścia pięć uderzeń „pełnego ognia”. Dwadzieścia pięć oślepiających salw otwierających drogę do wolności, do Zwiadowcy, w świat swobodnych działań.

Kiedyś, kiedy Alka uczyła się pływać, zdarzyło się tak, że zabrakło jej zaledwie kilku metrów do brzegu i zabrakło jej sił. Widziała brzeg rzeki, kwiaty, twarze ludzkie z największą wyrazistością. Nikt nie patrzył w jej stronę — a ona nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Owe trzy czy cztery metry rzecznej głębi nagle stały się całą wiecznością. A teraz? Teraz, w kosmicznych falach Czarnej Rzeki, cały tamten koszmar utysiąckrotnił się w sposób najokrutniejszy. Pięćdziesiąt sekund... tylko pięćdziesiąt sekund i — jak strasznie daleko! Póki jeszcze nic nie rozstrzygnęło się w sposób ostateczny, nie da po sobie poznać. Starala się w następnych, kolejnych salwach „pełnego ognia” zmniejszać tylko nieco średnicę uderzeń. Może uda się coś zyskać?



Na razie prowadziła ogień dokładnie podług programu. A więc: „mały czołowy”, potem „boczne” i wreszcie — „pełny”.

Po każdej salwie na amunicyjnym wskaźniku wyskakiwała nowa liczba — za każdym razem niższa. Na koniec wyskoczy „zero”.

Jeszcze przedtem trzeba będzie powiedzieć o tym Ionowi, Ion zatrzyma KB 803 i zaczął sygnalizować do Alfy i Bety, że jednak nie udało się.

Zapewne zdołają po pewnym czasie przedostać się do Alfy lub Bety. Ostatecznie ich los nie będzie zbyt straszny. Zarówno Ion, jak Alka będą przecież z rodzicami i także... ze sobą. Ale inni?! I co będzie z Alkiem?! A przede wszystkim: jak w ogóle mogło do tego dojść?

Zapewne całej prawdy nie poznają już nigdy. Czy był to błąd obliczeń w Bazie? Czy nieudolność Zwiadowcy? Czy też niszczący wpływ owej radiochłonnej ławicy, przez którą już nigdy się nie przedrą? A zresztą — po co daleko szukać? Zapewne oni sami, pozbawieni pomocy automatów, zbyt wcześnie zaczęli akcję, zgubili czas i energię, raz jeszcze okazali ludzką słabość.

Alka zacisnęła zęby: nie będzie płakać.

Jeszcze tylko cztery, jeszcze tylko trzy strzały... Gdzieś tu za ścianą meteorów czeka Zwiadowca. Miną go. Alek będzie czekać daremnie. A co zrobi potem? Czy spróbuje ich jeszcze gonić, czy wróci?

Jeszcze tylko dwie salwy...

Alka nabrała oddechu, by powiedzieć Ionowi, że musi się zatrzymać.

Alek już od dłuższej chwili nie śmiał nawet mrugnąć powiekami. Wbił słup stałego ognia w błyszczącą, gęstą lawinę małych meteorów i czekał, nie, zdejmując stóp z klawiszy Wielkiego Miotacza. Zwiadowca wyliczał ostatnie sekundy.

„Gdzie jesteście? — modlił się niemal Alek. — Błagam was, wyjdźcie na Zwiadowcę! Nie zgubcie się nam!”

To chyba było tylko złudzenie, że Głos Zwiadowcy drżał ze wzruszenia, kiedy mówił:

— Dziesięć sekund... dziewięć... osiem...

— Po przerwaniu ognia natychmiast włączyć sztuczne przyciąganie! — krzyknął Alek. — Najwyższa moc!

— Tak jest... cztery... trzy... dwa... — mówił Zwiadowca. Nie, głos jego wcale nie drżał.

„Kiedy wyłączyć ogień? W którym momencie? Jeśli wyłączę go za późno, nic ich przed ogniem nie uchroni — gorączkowo myślał Alek. — A jeśli wyłączę zbyt wcześnie, nie zdołam otworzyć im drogi” — myślał dalej, czekając w nieprzytomnym niemal napięciu na ostatnie słowo — na owo JEDEN Zwiadowcy, które miało zwiastować nadejście tamtych.

Zwiadowca wypowiedział to słowo. Alek wyłączył ogień.

Wydawało mu się, że czyni to najdokładniej, jak w ogóle mógłby to uczynić człowiek. A mimo to...

Oto tuż za słupem ognia mignął cień kosmolotu!

Nie! Alek się nie mylił!

Jeden z kosmolotów zawadził o płomień! Tylko zawadził, tylko musnął! Było to najbardziej przelotne spotkanie samej powierzchni płomienia z samą powierzchnią kosmolotu. Zaledwie otarli się o siebie: płomień i statek.

Ale przecież przed płomieniem pozytronowym miotaczy nie ma osłony. Nie można go dotknąć bezkarnie.

Kosmolot przyciągany sztuczną grawitacją Pezeta leciał już ku niemu — prosto i pewnie jak gołąb wracający do gniazda.

Alek zakrył oczy: kosmolot miał obcięty płomieniem dziób. Leciał otwarty! Jak otwarta trumna.

Stało się to tak:

W tej samej chwili, kiedy Alka nabrała oddechu, by powiedzieć Ionowi, że amunicja się skończyła, tuż nad kosmolotem KB 803 mignął jakiś cień. Cień wydłużony i smukły. Był to cień kosmolotu.

Jego światła dały sygnał: Na pełnym biegu... moim śladem. Ten sam sygnał, którym Ion prowadził za sobą Alfę i Betę.

— To on! — krzyknął Ion. — Nie strzelaj!

I wtedy Alka mimo wszystko się rozplakała.

— Nie mam już czym! — zaszlochała.

— Cooo?! — spytał Ion.

Ale nie był to czas na rozmowy.

Wyprowadzający ich kosmolot wybijał nieprzerwanym ogniem wszystkich naraz miotaczy ogromny tunel w srebrnej ławicy. I wzywał — nieustannie wzywał sygnałami: Na pełnym biegu — moim śladem... na pełnym biegu — moim śladem.

Ion włączył wszystkie biegi napędu. Nagłe przyśpieszenie omal nie ogłuszyło ich całkowicie. Oboje — Ion i Alka jęczeli, wcale o tym nie wiedząc, i na kilka sekund, też o tym nie wiedząc, oślepli. Mimo to KB 803 pędził śladem przewodnika prosto jak kamień światła. Za nim zaś skoczyły w pełną szybkość Alfa i Beta.

Wszyscy ludzie w jednym uderzeniu serca zrozumieli: przyszedł ratunek.

I wreszcie, wreszcie, wreszcie... kolejno: kosmolot pierwszy, a za nim KB 803, Alfa i Beta wyszły w szyku prostym, jak podczas parady gwiazdowej, na wybitą przez Zwiadowcę drogę do wolności.

Można już było wyłączyć napędy. Zwiadowca niewidzialnymi linami sztucznej grawitacji ściągał ku sobie swoje kosmoloty i coraz to zwiększając szybkość ucieczki, wrywał je Czarnej Rzece — i zwracał ludziom ich własne istnienie.

Tylko że ten właśnie kosmolot, który otworzył teraz pozostałym drogę do Zwiadowcy, do życia i do ojczyzny — sam wracał na Zwiadowcę ze ściętym przez płomień dziobem.

Leciał otwarty w próżni, której nie zniosą żadne ludzkie płuca, w mrozie, którego nie zniesie żadne istnienie — ze spaloną do połowy kabiną pilota.

— Uwaga — powiedział Zwiadowca — kosmoloty Alfa, Beta, KB 803 i KB 804 schodzą do wieży startowej. Uwaga, powrót kosmolotów.

Prawdą jest, że tym razem głos jego grzmiał niczym sto tysięcy triumfalnych fanfar.

— Och, jesteście! — szepnął Alek. — Jak ja się wam wytłumaczę? Jak...

Ale urwał. Uprzytomnił sobie bowiem, że Pezet ogłosił powrót czterech kosmolotów, a więc... a może...

Jeszcze nie bardzo wierząc sobie ani Zwiadowcy — nie bardzo wierząc nawet całemu światu, że istnieje — Alek rzucił się ku windzie.

— Do wieży, Zwiadowco! — krzyczał. — Do wieży! Zdążył!

Znalazł się w Głównej Komorze wieży przed wszystkimi.

Potem otwarły się dolne przejścia z obu stron Komory Głównej, czyli przejścia z kosmolotów Alfę i Bety. Załogę Alfę prowadził pilot Marim, załogę Bety — pilot Orm Soggo.

Nikt jeszcze nie przemówił ani słowa, tylko wszyscy uśmiechali się do Alki.

Potem otwarło się przejście specjalne — dla załóg kosmolotów bojowych.

W pierwszym z nich ukazali się Ion i Alka. Byli jeszcze bardzo bladzi. Pod oczami mieli sińce, drobne ślady krwi w kącikach ust i w nozdrzach — świadectwa lotu bez kombinezonów ochronnych.

Alek rzucił się ku nim. Biegł trochę na ślepo, bo łyzy przesłaniały mu wzrok.

— Jesteście... — szepnął, myśląc, że krzyczy. — Jesteście...

A wtedy w drugim przejściu ukazał się Robik. Był taki jak zawsze — spokojny i uśmiechnięty. Ponieważ jednak dziób kosmolotu, w którym Robik leciał, został „muśnięty” płomieniem pozytronowego miotacza, nie mogło się obyć bez pewnych strat. Robik miał

osmoloną twarz i lewy bark. Chował też wstydliwie za plecy lewą dłoń. Na widok wpatrzonych w siebie ludzi skłonił się grzecznie.

— Dzień dobry — powiedział. — Udało się nam uniknąć niebezpieczeństwa.

I skromnie przystanął przy Ionie, który powiedział tylko: „Och, Robiku”.

Wtedy obaj piloci załóg kosmolotowych, Marim i Orm, wystąpili do przodu. Przemówił starszy wiekiem Marim:

— W imieniu załóg Alfę i Bety, czyli w imieniu stałej załogi mechanoplanety z Dziesiątego Tysiąca, noszącej miano Zwiadowcy, składam podziękowania obecnemu tu Ionowi Soggo oraz Alce i Alkowi Rojom za uratowanie nam życia. Równocześnie zawiadamiamy Bazę Główną składając wniosek o odznaczenie was trojga Gwiazdą Solarną.

Ion i Bliźnięta tylko westchnęli. Gwiazda Solarna — dla nich? Legendarny order ratowników kosmicznych — dla nich? Pierwsza Alka odzyskała swobodę myśli.

— Dziękujemy — powiedziała.

— Dziękujemy — odezwał się Zwiadowca. — Prosimy na obiad. Podano do stołu.

Wtedy w Komorze Głównej Zwiadowcy wybuchł wielki gwar i śmiech. Rodzice porwali dzieci w ramiona, z ramion zaś rodziców wyrwały całą trójkę ramiona inne. Hieronimus Broszkidze astmatycznie sapał ze wzruszenia. Włodzimiera Alfieri pocałowała Iona tak czule, że ten zamarł z zachwytu, co najwyraźniej rozżłościło Alkę. Rozejrzała się ze złym błyskiem w oczach.

— Stało się jedno skandaliczne głupstwo — powiedziała takim głosem, że na chwilę zrobiło się cicho, a speszony Marim spytał niepewnie, o co jej chodzi. Ona zaś naprawdę była zła.

— Czy ktoś pamiętał o tym, by zdobyć próbki radiochłonnych meteorów? — spytała z morderczą uprzejmością.

Dorośli spojrzeli na siebie niemal ze strachem. Nikt o to nie zadbał, ponieważ wpierw nie mieli na to głowy, a potem czasu.

— No, tak — powiedziała Alka. — Nie ma próbek. A Rzeka uciekła i takiej drugiej okazji nie będziemy mieli. Jest to wielka strata dla geologii.

„Co za wspaniała jęzga! — pomyślał z zachwytem Ion. — Jakby prosto ze starożytności”.

Ale wtedy wtrącił się w sprawę sam Zwiadowca.

Najpierw włączył głośniki wolnego odbioru radiowego — i Główną Komorę wieży startowej wypełnił obłąkany hałas, krzyk, bełkot i jęk tysiąca potępionych głosów. Niezliczone Czandry wołały: „Bądź spokojny, Ion”, stu Marimów krzychało: „Uwaga na Trytonie”, stu Rojów wzywało Alkę i ktoś jeszcze mówił o sektorze AM 168, 13 — dokoła tego wszystkiego zaś odbywał się jakiś bez porównania szerszy jeszcze targ niezrozumiałych słów, okrzyków i westchnień, nad którymi królował przerażająco delikatny i nieustanny śmiech Alki.

— Cisza! — krzyknął wściekle Alek. Umilkło: Zwiadowca wyłączył głośniki. Alek uśmiechnął się do siostry.

— Teraz przypominam sobie — powiedział nieco wyniośle — że w czasie akcji kazałem Zwiadowcy sprowadzić próbki.

Alka milczała z nie najmądrzejszym wyrazem twarzy. Za to astrogeologowie Sent Birum i Erika Voss rzucili się ku Alkowi krzyżąc: „Niech żyje”!

— Ile tego jest? — pytała gorączkowo Erika.

Do astrogeologów dołączyli się też oczywiście niesłuchanie rozradowani akustycy i łącznościowcy.

— Ile tego jest? — spieszył się Alek. — Właściwie nie bardzo pamiętam.

Tu podniósł głowę:

— Ile tego jest, Zwiadowco? — spytał.

— Dwa i trzy — odpowiedział. — Razem pięć.

— Czego pięć?

— Pięć ton — wyjaśnił spokojnie.

Kiedy zaś w Komorze Głównej znowu podniósł się śmiech i wyglądało tak, że ludzie nie zamierzają się uspokoić, Pezet najwyraźniej — zaczął gderać.

— Uwaga — powiedział. — Przypominam: obiad stygnie.

Wtedy podniósł się wielki krzyk: „Jeeeść!”, i taśma transporterów ruszyła w stronę obiadowych teras jadalnych.

Ion jeszcze przez chwilę pozostał w komorze. Przytrzymał Alkę i Alka i wszyscy troje podeszli do Robika.

— Robiku — powiedział Ion.

— Słucham cię, Ion.

— Jesteś wspaniały, Robiku — rzekł Ion.

— To prawda — potaknęła Alka. Robik uśmiechnął się.

— Nie w każdej sytuacji byłem dziś taki.

— Och, nie szkodzi — oburzył się Alek.

— W każdym razie udało się — powiedział Robik — choć mało brakowało żebym... znikł.

— Och, Robiku — szepnął Alek ze wstydem. — Przecież wiesz, jacy my jesteśmy nieprecyzyjni.

Robik zaśmiał się.

— Idźcie jeść.

— A ty? — spytała Alka.

— Ja... — trochę się spieszył — ...ja muszę sobie zreperować lewą dłoń. Po obiedzie spotkamy się nad basenem. Dobra?

— Dobra! — zawołali.

Patrzył za nimi, jak wyjeżdżali z wieży, potem znikł na błękitnym kwadracie szybkiej windy.

Oni zaś znów jechali ruchomą ścieżką wśród kwiatów, w słońcu.

— Jak to wszystko było możliwe? — spytała Alka.

— I czy to w ogóle było? — spytał Alek.

— Było — odparł Ion.

Alka zaś po chwili powiedziała:

— To wszystko było możliwe tylko z dwóch powodów.

— Z jakich? — spytał Alek.

— Po pierwsze, dlatego, że roboty nie znają zasady poświęcenia.

— A po drugie? — spytał Ion.

— Po drugie — rzekła w zamyśleniu — bo roboty, nie znając zasady poświęcenia się, nie znają granic poświęceń.

Alek pokręcił głową.

— Z tego, co mówisz, jestem skłonny wyciągnąć jeszcze jeden wniosek — mruknął niby do siebie.

— Słuchamy — powiedziała wietrząc kpiny.

Alek jednak wcale nie zamierzał kpić.

— Zostaliśmy uratowani dlatego — wyjaśnił — że jesteśmy ludźmi, którzy nie tylko są skłonni do poświęceń, ale umieją też budować roboty nie znające granic poświęcenia.

— Nie bądź taki mądry — ofuknęła go, a Ion zaczął się śmiać. Wtedy rozległy się głosy:

— Dzieci! Na obiad! Alek rozłożył ręce:

— Macie! Już znowu „dzieci”.

Obiad zresztą był świetny. Smakował zaś tym lepiej, że jadło się go o godzinę później niż zwykle.

## Ósmego października

\*\*\*

Rankiem ósmego października Ion Soggo budzi się z uśmiechem. Jego wzrok pada na postać Robika. Robik widząc, że Ion otworzył oczy, podnosi na powitanie rękę.

Potem Ion gimnastykuje się, mówiąc przy tej okazji kilka bardzo rytmicznych zdań, które Robik jednak wyśmiewa za to, że są absolutnie bezsensowne.

W chwilę później Ion broni w drzwiach łazienki, jak w bramce. Udaje mu się chwycić koszulkę, szorty, pantofle, kurtkę, skarpety, ale haniebnie przepuszcza ręczniki i kąpielówki.

— Dwa zero na moją korzyść — stwierdza Robik, a potem obaj wyskakują przez okno.

— Hej, Bliźniaki! — woła Robik.

Alek i Alka również wyskakują przez okno swojej sypialni.

— Patrzcie! — woła Alka wskazując na trzepoczącego skrzydłami błękitnego motyla.

— Modraszek junosza — mówi Robik — czyli Lysandra Bellargus.

— Bardzo mi miło — kłania się motylowi Alek.

A Ion marszczy czoło; pociera nos w zamyśleniu i mówi do siebie:

— To już kiedyś było.

Nikt jednak nie zwraca na to szczególnej uwagi, a sam Ion natychmiast o owym wrażeniu z łatwością zapomina.

Po śniadaniu, jak zwykle, małe pływanie, a po pływaniu kładą się na trawiastej, miękkiej jak zielony ręcznik plażce i trochę się opalają.

Ion leży na plecach i patrzy w górę, bo na ekranie sztucznego nieba ukazują się płynący powoli obłok, który zmienia kształty lekko i pięknie, stając się kolejno rybką, drzewem i pióropuszem.

— Który dziś? — pyta leniwie.

— Ósmy października — mówi Alka. Alka uśmiecha się:

— A którego roku?

— Jeszcze osiemset sześćdziesiątego drugiego, wczesnej ery kosmicznej — mówi z dumą Alka. — Jeśli jednak dolecimy...

— Dolecimy na pewno — przerywa jej Ion.

Alka patrzy nań czule, ale bez żadnego krygowania się i bez żadnych udawań.

— Jeśli więc dolecimy, a potem zdołamy wrócić — ciągnie dalej Alka — to rok ten stanie się pierwszym rokiem średniej ery kosmicznej.

Chłopcy przez chwilę milczą. Milczy też Robik. Nad ogrodem botanicznym rozpina się tęcza deszczu.

Oto mija niepełne dziewięć stuleci od dnia, w którym płomień prymitywnej ziemskiej rakiety osmalił powierzchnię Marsa. Jest ósmy października 862 roku wczesnej e.k. (ery kosmicznej). Przed ośmioma dniami z układu słonecznego wyruszył pierwszy statek galaktyczny, zbudowany przez ludzi po to, by zdobyć już nie planety, lecz gwiazdy. Statek ten nosi nazwę Starej Ojczyzny.

Imię jego: „Ziemia”.

Statek ten w trzecim dniu swej podróży przekroczył próg Wielkiej Szybkości — Wielką Bariere. Mimo to nim rozpocznie pierwsze swe hamowanie w gwiazdozbiornie Centaura, miną blisko cztery lata. Cztery lata — to dużo. Warto jednak poświęcić ten czas, by zacząć siodłać Centaura.

„Ziemia” jest wielkim statkiem o wszelkich cechach mechanoplanety. Budowano go w oparciu o doświadczenia zdobyte na Zwiadowcy. Niektóre obiekty — jak np. ogród botaniczny, terasy jadalne, baseny pływackie i place sportowe — żywcem są skopiuwane ze

Zwiadowcy. Trzon załogi „Ziemi” stanowi była załoga Zwiadowcy. W kierownictwie załogi znajdują się osoby następujące: Dolores Li, Czandra Roj, Helena Soggo, Jan Roj, Nazim Sumero, Mike Antonow, Hieronimus Broszkidze, Kyamoto, Orm Soggo.

Na „Ziemi” znajdują się również wybrani z miliardów kandydatów bardzo młodzi ludzie, ci, którzy wygrali konkursowe egzaminy na pilotów oraz badaczy Stopnia Galaktycznego.

Między nimi zaś znajdują się również słynni bohaterowie pamiętnej katastrofy w sektorze Dziesiątego Tysiąca.

Znamy ich: Alek i Alka Rojowie oraz Ion Soggo, odznaczeni Gwiazdą Solarną.

Oto oni: leżą nad brzegiem basenu kąpielowego, naprzeciw ogrodu botanicznego, na lewo od głównych laboratoriów. Za dziesięć minut początek zajęć naukowych w wizjotece. Robik przypomni o tym w porę, nie spóźnią się więc.

Na razie można zatem jeszcze przez chwilę lenić się w ciepłe sztuczne słońca „Ziemi”, prażąc w jego promieniach wilgotną skórę, przeciągać zmęczone pływaniem mięśnie.

W końcu Alek wstaje.

— Wiecie, co wam powiem? — mówi bardzo serio. — Wcale mi się to nie podoba, że tak łatwo planujemy sobie pierwszy rok nowej ery.

Alka patrzy nań z uwagą.

— Dlaczego? — pyta.

— Bo uważam — powiada Alek z coraz bardziej buntowniczą miną — że jeśli nawet zdobędziemy Centaura, to jednak nadal będziemy się obracać w kręgu jednej galaktyki. Jednej i tej samej. Więc co? Nie lepiej poczekać, aż przeskoczmy z jednej do drugiej? Nie powinniśmy przecież zawęzać swoich ambicji do j e d n e j tylko galaktyki.

— Zgadzam się z tobą — mówi Alka.

— On ma rację — mówi do Robika Ion.

— Ósma trzydzieści — stwierdza Robik. — Czas na zajęcia. Ruchoma, ceglasta ścieżka niesie ich jak spokojny strumyk w stronę laboratoriów uczniowskich. Zdążają też ku nim, z innych stron, inni młodzi ludzie, wymachując z daleka na powitanie dłońmi.

— Wiecie co? — mówi znów Alek. — Ja zgłaszam wniosek do kierownictwa „Ziemi”. Niech prześlą go do Głównej Rady Nauki.

— Poprzemy cię — potakuje energicznie Ion. Potem bierze Alkę za rękę.

— Poprzemy go? — pyta.

Alka uśmiecha się do Iona i przez chwilę nie zwracają uwagi na nikogo ani na nic. Po prostu — patrzą sobie w oczy.

\*

Jak rozstrzygnięta zostanie sprawa wniosku Alka Roja?

Na razie nie wiemy. Musi zostać przekazany Głównej Radzie Nauki, przedyskutowany, przegłosowany. Aby zaś w ogóle nabrał sensu, „Ziemia” musi wpierw osiągnąć gwiazdozbiór Centaura, osiedlać którąś z jego planet — i szczęśliwie wrócić do ojczystego układu.

A to musi potrwać.

Na razie „Ziemia” biegnie przez Galaktykę, przez jej mrok i ciszę, z szybkością, jakiej nawet światło mogłoby jej zazdrościć. Nie jest to mało. Ale może istotnie nie powinniśmy zbyt zawęzać swych ambicji?

Sprawa jest, jak dotąd, jeszcze otwarta i wszystko zależy od samej „Ziemi”. Na razie wypada życzyć jej przede wszystkim szczęścia na dalekich, gwiazdnych drogach.

Powodzenia — „Ziemi”!

## **Spis treści**

Ósmego marca  
5—175

Ósmego października  
177—182